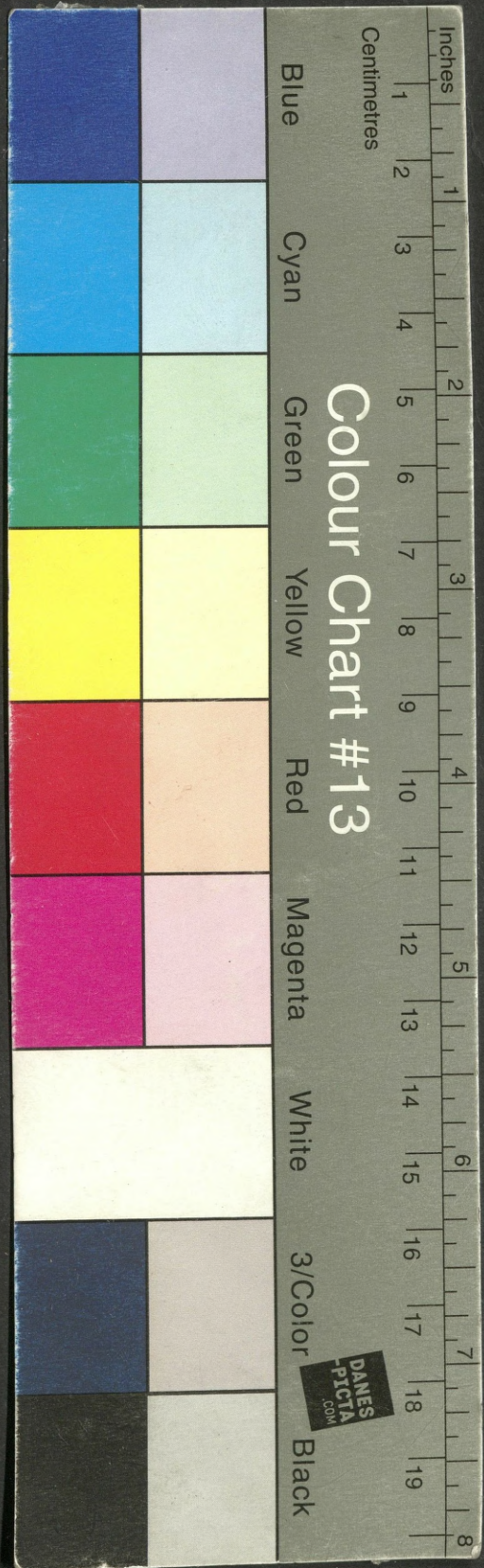
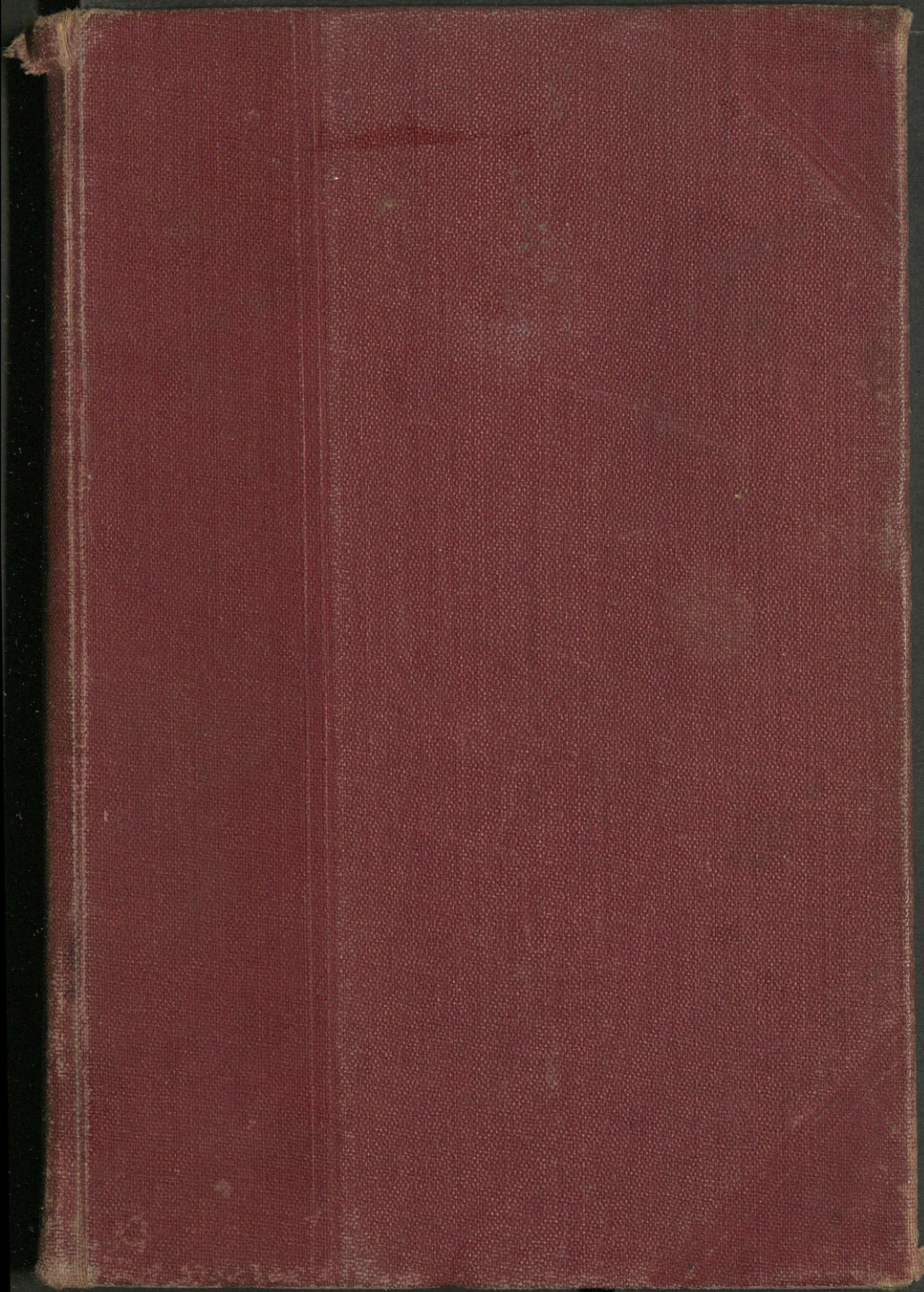


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

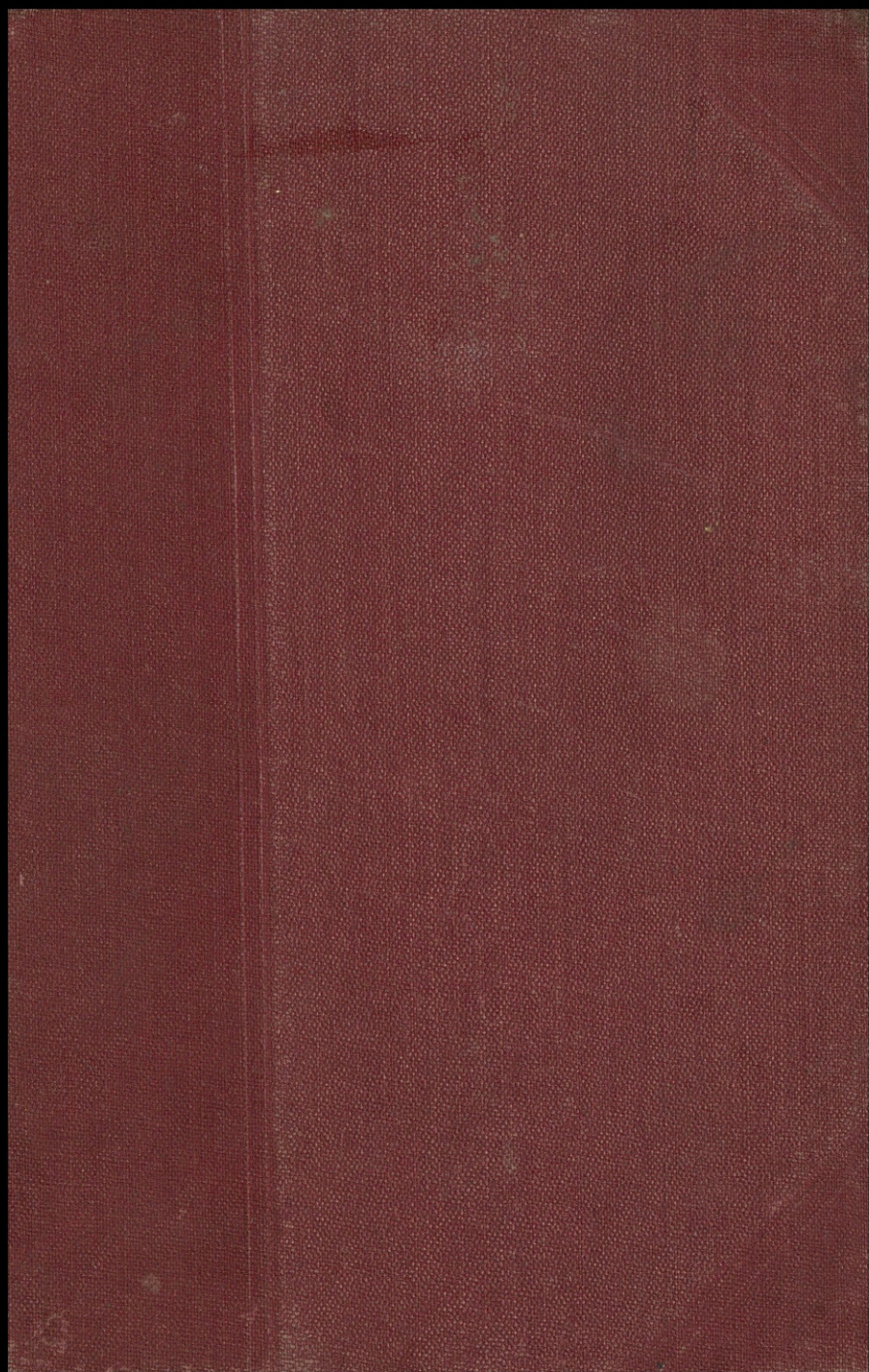


Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:	Z przesyłką pocztową:
Rocznie . (52 tomy) . rs. 10	Rocznie . (52 tomy) . rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów)	3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów)	1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

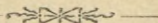
Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.



Kedakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 554.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki L. 4

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 94.

PAMIĘTNIKI
SIERŻANTA BOURGOGNE'A.

W przekładzie
i z przedmową

Walerego Przyborowskiego



TOM II.

Cena 40 k.

W prenum. 50 1/2 k.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

42. Nowy-Swiat 42.

—
1899.

PA MIĘTNIKI
Sierzanta Bourgogne'a

o wyprawie do Rosyi

w r. 1812.

W przekładzie i z przedmową

Walerego Przyborowskiego.

— — — — —
Tom II.
— — — — —

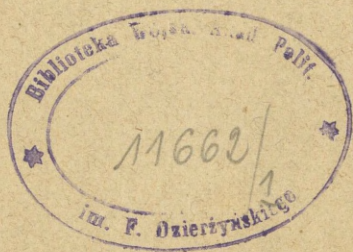
WARSZAWA.

DROKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Июля 1899 года.



I.

Moja podróż z Picartem.— Rana Picarta.— Kozacy —
Konwój więźniów francuskich.— Postój w lesie.—
Gościnność polska.— Napad szaleństwa.— Odnaj-
dujemy armię.— Cesarz i Święty batalion.— Przej-
ście przez Berezynę.

Po bitwie pod Małym Jarosławcem Picart roz-
łączył się ze swoim pulkiem dlatego, że wysłano go
z konwojem, ochraniającym część wozów cesarskich.
Oddział ów posuwał się naprzód o jakie dwa dni
przed całą armią, dlatego nie uczuli tak bardzo głodu
i nędzy, jak my, zresztą było ich tylko 400 ludzi.
W Smoleńsku zaopatrzyli się w suchary i mąkę na
kilkanaście dni, w Krasnem zaś, do którego przybyli
na dwadzieścia cztery godziny przed Rosyanami, a tak-
że i w Orszy, dostali mąki. Mieścili się wszędzie
doskonale, podczas gdy my, co zaczęliśmy odwrót
z 15,000 ludzi, z których pozostała nam zaledwie
połowa, mieliśmy tylko lasy i bagna za mieszkanie,
za pożywienie zaś koninę i to nie zawsze tyle, aby
nią głód zaspokoić, za napój wodę, również nie zawsze.

Niedola mego starego towarzysza rozpoczęła się dopiero w chwili naszego spotkania.

Picard wyjaśnił mi pochodzenie ran człowieka, który pozostał przy ognisku. Raniony został w potyczce ulanów polskich z nieprzyjacielem o g. 3-ej. Oto co mi o niej opowiedział:

— Napadło na nas więcej niż 600 kozaków. Przyjeliśmy ich strzałami, czując się i tak bezpiecznymi po za wozami, tworzącymi czworobok wokół nas. Nieprzyjaciel odstąpił od nas, pozostawiając jedenaście trupów i mnóstwo rannych i stratowanych końmi. Ci uratowali się, ale w drodze spotkała ich część oddziału ulanów polskich, dowodzonych przez samego generała Dąbrowskiego, zmuszając ich do ucieczki i biorąc wielu do niewoli. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego owego kalmuka porzucono na drodze.

Odpowiedziałem mu na to, że prawdopodobnie dlatego, że zanadto był poraniony, a co ważniejsza, że nie miano czem go wyżywić.

— Po głośnem hura—ciągnął dalej Picart—nastąpiło pewne zamieszanie. Prowadzący wozy chcieli pierwsi przebyć wąwóz, oddzielający nas od lasu, aby jaką taką znaleźć w nim zasłonę od nieprzyjaciela; część zaś, w której byłem i ja, spodziewając się znaleźć trochę wyżej swobodne przejście, skierowała się na lewo. Śnieg, padający przez całą noc, zakrył zupełnie dość głęboką i szeroką szczelinę, w którą wpadły pierwsze wozy, pociągając za sobą ludzi i konie. Mnie pozostawiono z dwoma strzelcami w tem miejscu, abym pilnował skrzyni, mówiąc, że przyślą za chwilę ludzi. Ale w godzinę potem

już w nocy dziewięciu maruderów, przechodząc tamtędy, ujrzało skrzynię i nie zważając na nasz opór, rozbilo ją.

Widząc, że nic nie poradzimy, zaczęliśmy zabierać wszystko, co nam pod ręce podpadło, z myślą oddania tym, do kogo należało. Było już za późno, bo co lepsze, to pozabierali, mnie się dostał tylko ten biały płaszcz. Jednej rzeczy pojąć tylko nie mogę, w jaki sposób owych dwóch strzelców zdołało uciec, abym ja tego nie zauważył.

Powiedziałem Picartowi, że owi maruderzy pochodzili z wielkiej armii i gdyby był wypytywał się ich, byłiby mu dużo więcej o losach jej opowiedzieli, niż ja to uczynić mogłem.

— Zresztą, biedny mój Picarcie, zrobili bardzo dobrze, zabierając pożyteczne dla nich rzeczy, bo i tak byłby zabrał je nieprzyjaciel, którego tylko patrzeć.

— Masz rację — odpowiedział Picart — trzeba chyba naszykować broń.

— Muszę jednak odnaleźć pierw fuzycę — rzekłem — bo od lat sześciu nie rozstawałem się z nią ani na chwilę, znam ją tak doskonale, że czy to w nocy, czy wpośród tysiąca innych, poznam ją, dotknąwszy się tylko, lub usłyszawszy dźwięk, jaki wydał upadając.

Wkrótce też znalazłem ją.

Wyczyściwszy buty, o które musieliśmy dbać bardzo, aby nie mieć nóg odmrożonych, upiekliśmy kawał konia, którego zabraliśmy z sobą znaczny zapas, a najadłszy i napiwszy się śniegu z wódką, zapakowaliśmy upieczone mięso w torby i stojąc i grze-

jąc się obok ognia, rozmyślaliśmy nad tem, co mamy robić.

— Ha! — rzekł Picart — w którąż mamy iść stronę?

— Ależ—odrzekłem mu—musimy iść prędzej, bo owa piekielna muzyka zbliża się do nas.

— Możemy się omylili. Przecież może to być pobudka naszych grenadyerów? Znasz wszakże pieśń:

Fillettes, auprès des amoureux,
Tenez, bien votre sérieux, etc.

Przerwałem mu gwałtownie, mówiąc, że od kilkunastu dni pobudki nie grają, bo kawaleryi już nie mamy, a z jej resztek utworzono szwadron, nazwany Świętym, którym dowodzi najstarszy marszałek Francyi, że generałowie służą w nim jako oficerowie i pułkownicy, a oficerowie za prostych żołnierzy, że główną część jego stanowi batalion, zwany także Świętym. Z całej 40,000 kawaleryi, pozostało tylko 1,000 ludzi.

I nie dając mu czasu na odpowiedź, upewniać go zacząłem, że był to sygnał odjazdu kawaleryi rosyjskiej i że to on właśnie pobudził go do wyjścia ze skrzyni.

— O! co to, to nie, mój przyjacielu, tylko to, że od kilku już chwil widziałem twoje przygotowania do podłożenia pod nią ognia.

Zaledwie skończył te wyrazy, gdy schwycił mnie gwałtownie za ramię, wołając:

— Cicho! Na ziemię!

W mgnieniu oka leżeliśmy obaj na ziemi, przy-

krywając płaszczem tlejące ognisko. Po nad nami przejeżdżała rosyjska kawalerya przez jaki kwadrans w jak największej ciszy, poczem Picart podniósł się i rzekł:

— Chodź za mną!

Trzymając się pod rękę, ruszyliśmy w przeciwną stronę.

Uszedłszy dość spory kawałek drogi, szepnął Picart:

— Odpocznijmy, jesteśmy bezpieczni choć na chwilę. Poszczęściło się nam, bo gdyby ten niedźwiedź ujrzał swoich, z pewnością byłby ich ścigał na nas i Bóg jeden tylko wie, na czemby się to skończyło! Zapomniałem o bardzo ważnej rzeczy, po którą musimy się wrócić, a mianowicie po kociołek nieocenionej wartości.

Widząc, że nie podzielam jego zdania, krzyknął gwałtownie:

— Ruszajmy, lub będziemy skazani na śmierć głodową!

Ognisko było już prawie wygasłe, a biedny kozak wił się w strasznych cierpieniach, tarzając się po śniegu, z głową prawie w ogniu. Nie mogliśmy mu nic pomódz, położyliśmy go tylko na skórze baraniej, aby mógł wygodniej umrzeć.

— Oczy błyszczą mu się, jak zapalone świece, patrzy się na nas uparcie, nie umrze jeszcze tak prędko—rzekł do mnie Picart.

Naszukaliśmy się długo tego kociołka i znaleźliśmy go w końcu, lecz strasznie pogięty i połamany, na co jednak Picart nie zważał i zabrał go.

Chcieliśmy się dostać do lasu na górze, który

chroniłby nas od zimna i nieprzyjaciela. Po kilkakrotnem obsunięciu się ze szklistej góry, wydostaliśmy się na drogę, którą tylko co przebyła rosyjska kawalerya. Odпочąwszy trochę, poszliśmy na prawo, przyśpieszając kroku, zaledwie jednak uszliśmy jakie trzydzieści kroków, Picart wpadł w dół, przykryty śniegiem. Wydostawszy się, zaczął przeklinać Boga przyjaznego Rosji i cesarza Napoleona, że tak długo siedział w Moskwie.

— Piętnaście dni starczyłoby na zjedzenie i wypicie tego, co tam było, ale siedzieć po to cały miesiąc i oczekiwać zimy, nie, to na niego niepodobne i trudno go poznać po tem. Tak—powtórzył—był to błąd straszny i gdyby tu był on sam, powiedziałbym mu to, dodając jeszcze, że ludzi się tak nie traktuje! Boże mój! przez szesnaście lat przyzwyczaiłem się do zwycięstw! W Egipcie, w piaskach Syryjskich cierpieliśmy bardzo, lecz wszystko to było niczem w porównaniu z temi śnieżnymi pustyniami, które przebiegamy. Gdyby to jeszcze było wszystko! Trzeba chyba mieć kamień w piersiach, aby się temu oprzeć!

— Chodźmy, mój biedny Picarcie—odrzekłem mu na to — to nie jest odpowiednia chwila do rozmowy. Chodźmy teraz na lewo, może tam jest lepsza droga.

Ruszył, nic nie mówiąc, badając drogę bagnetem.

Po niebie z niepohamowaną szybkością sunęły straszne czarne chmury, pędzone północnym wiatrem, zwiastujące i zapowiadające huragan i dzień okrutny. Wicher szalał już po lesie, gnąc wierzchołki nieboty-

cznych drzew z przeraźliwym szumem i popychając nas w przeciwną stronę tej, w którą się udać mieliśmy. Po godzinnej walce dotarliśmy przecież do miejsca tak upragnionego w chwili, gdy śnieg zaczął padać dużemi płatami.

Huragan był bardzo gwałtowny, wyrwał z łozieniami olbrzymie drzewa, grożące nam przytłoczeniem, dlatego to zmuszeni byliśmy zatrzymać się na brzegu lasu, chroniąc się pod dwie sosny.

Tupiąc nogami, doczekaliśmy się przecież chwili, w której wichur uspokoił się cokolwiek. Zwróciłem na to uwagę Picarta, proponując mu przytem zmianę miejsca.

— Ależ to konieczne — odrzekł — bo tu trzeba chyba być z żelaza, aby mózg dłużej, niż godzinę wytrzymać.

Przebrnęliśmy już prawie połowę jeziora, które leżało koło lasu, gdy Picart zatrzymał się, rozglądając się wokół. Spytałem się oczyma o przyczynę tego. Odpowiedział mi szeptem: „Sza!“ I ciągnąc mnie na prawo po za krzaki, zapytał:

— Czy nic nie widzisz?

— Nic, a ty?

— Dym, jakiś biwak widocznie.

Przyszła mi wtedy pewna myśl do głowy, z którą podzieliłem się zaraz z z Picartem.

— A co zrobimy, jeżeli ogień, który widzimy, należy do kawalerii rosyjskiej, którąśmy rano widzieli? Myślę, że trzeba nam postąpić tak, jakby to byli oni. Odjeżdżając, popełniliśmy wielki błąd, nie nabijając broni koło ognia, teraz, gdy ręce nam zgrabiąły i lufy strzelb naszych pełne są śniegu,

nie zrobimy tego. Trudno, posuwać się musimy, by-
eby tylko ostrożnie.

Śnieg padał bardzo drobny, niebo rozjaśniło się
zokolwiek. W dali, na brzegu jeziora po za krzakiem,
chudy koń ogryzał korę. Koń ów należał prawdo-
podobnie do rosyjskiej kawaleryi, która pozostawiła
go, bo był raniony. Koń zarżał naraz i podnosząc
głowę, zaczął się do nas zbliżać. Nie śmieliśmy się
ani ruszyć, ani przemówić. Dyabelskie stworzenie
stało jednak koło nas, a my ze strachu, żeby jego
właściciele nie przyszli, nie oddychaliśmy prawie.
Lecz na widok rany zaczęliśmy się uspakajać i po-
suwając się ostrożnie, dotarliśmy do miejsca opu-
szczonego biwaku, pokrytego szczątkami broni i sie-
dmiu na wpół zjedzonymi końmi. Po tych szczątkach
sądziłyśmy, że spędziło tu noc około dwustu ludzi.
Rozejrzawszy się wokół, roznieciliśmy sobie dobry
ogień.

Śnieg tymczasem przestał padać, wicher ustał
i nastąpiła niczem niezamącona cisza. Przygotowa-
niem kolacyi zajął się Picart, a choć mieliśmy zapas
pieczonego mięsa, postanowiliśmy zachować je na
gorsze czasy, a teraz zjeść to, co było. Przy pomo-
cy toporka urąbał kawał mięsa.

Ogrzawszy się trochę, usiadłem, czekając na
kolacyę, o której myśl napelniała mnie radością.
Cóż dziwnego, w takiej, jak nasza, niedoli, naj-
drobniejsza rzecz czyni człowieka nad wyraz szczę-
śliwym!

Ponieważ jednak kociołek służyć nam nie mógł
do niczego, Picart zabrał się do jego naprawy, przy-
śpiewując sobie ulubioną swą pieśń, którą zawsze

spiewał, maszerując na czele pułku w czasie nocnych wycieczek:

C'est ma mie l'aveugle,
C'est ma mie l'aveugle,
C'est ma fantaisie,
J'eu suis amoureux!

Słyszając jego silny głos, zrobiłem mu uwagę:

— Pomyśl przecież, stary mój druhu, że to nie pora do śpiewu!

Lecz Picart uśmiechnął się tylko i spiewał dalej:

Elle a le nez morocux
Et les yeux chassieux;
C'est ma mie l'aveugle,
C'est ma fantaisie,
J'eu suis amoureux!

Widząc, że mnie to wcale nie bawi, przestał i pokazując kociołek, rzekł do mnie:

— Czy pamiętasz dzień bitwy pod Eylau, gdyśmy stali w ścieśnionych szeregach dywizjami na prawo od kościoła?

— Ależ naturalnie, był to dzień podobny do dzisiejszego. Pamiętam go doskonale, bo jakiś Rosyanin wyciągnął mi z worka kociołek. Musisz i ty to dobrze pamiętać?

— Jabym tego nie pamiętał! — wykrzyknął Picart.

— Dlatego się o to pytam, że wątpię, aby potrzeba mogła naprawić twój kocioł.

— Nie, choćby to były takie głowy, jak głowy Grzegorza i Lemoine'a.

— Jak ty dotrzesz ich nazwiska pamiętasz.

— Nie zapomnę ich nigdy, bo Grzegorz był moim najserdeczniejszym przyjacielem. Miałem dnia tego pełen kocioł sucharów i grochu.

— Tak — rzekł Picart — dobre to były czasy! Czy też Bóg pozwoli nam dożyć podobnych?

W czasie rozmowy naszej śnieg nappełnił kociołek, w który nakładliśmy tyle mięsa, że moglibyśmy zabrać jeszcze z sobą.

Oczekując na kolację, przejrzałem z ciekawości worek, jaki podniosłem wczoraj na drodze. Zawierał tylko trzy indyjskie szale, dwie brzytwy i kilkanaście listów, pisanych po francusku, a datowanych ze Stuttgartu do pana Jacques, oficera z pułku dragonów. Listy te pochodziły od siostry i były pełne najczulszej miłości. Zachowałem je do chwili, gdy dostałem się do niewoli, gdzie mi je zabrano.

Tymczasem Picart myślał tylko o jedzeniu. Siadając pod drzewem, odwrócony plecami na północ, otworzył swój worek i wyciągnął z niego chustkę, w której miał sól i kaszę. Na widok tego zdumiałem, bo oddawna nie jadłem zupy osolonej solą, tylko prochem. Picart tymczasem, nie zważając na mnie, mieszał z powagą zupę, oczekując, aby mięso się dogotowało.

Byłem strasznie zmęczony i szalenie mi się spać chciało; to też wyraziłem chęć chwilowego spoczynku.

— Dobrze — odpowiedział Picart — spocznij pod drzewem, a ja tymczasem dopilnuję zupy. Nie bój się, to nie przeszkodzi mi czuwać nad naszym bez-

pieczeństwem, zajmę się zaraz oczyszczeniem i nabiciem broni. A wiele masz ładunków?

— Trzy paczki, każda po piętnaście sztuk.

— Dobrze; ja mam cztery, razem więc mamy sto pięć ładunków. Wystarczy nam to na zgladzenie dwudziestu pięciu kozaków, jeżeliby się ukazali. Śpij więc spokojnie!

Nie dałem sobie tego dwa razy powtarzać, zawińawszy się w skórę, z nogami opartymi o ognisko, zaraz zasnąłem.

Spałem pewnie dość długo snem głębokim, gdy rozbudził mnie Picart, mówiąc:

— Dosyć, towarzyszu, śpisz już pewnie dwie godziny. Zjedźże teraz, a ja się położę, bo czuję zmęczenie. Karabiny są oczyszczone i nabite, uważaj tylko dobrze, a gdy cokolwiek odpocznę, ruszymy dalej.

Ułożył się, a ja zabrałem się do jedzenia z wilczym prawdziwie apetytem. Nigdy w życiu nie jadłem pewnie tyle i z taką przyjemnością. Stary mój przyjaciel zachował dla mnie kawałek suchara wielkości dużego palca, dla zaostrenia zębów po mięsie.

Najadłszy się, wstałem, aby czuwać. Nie upłynęło pięciu minut, gdy ranny koń zarżał kilkakrotnie i leciał galopem na sam środek jeziora. Odpowiedziało mu kilka głosów. Nie namyślając się długo, wdrapałem się na wysokie drzewo, zkąd ujrzałem niewielki oddział kawaleryi, przechodzącej przez jezioro. Było ich zaledwie dwudziestu trzech. Obudzilem natychmiast Picarta, choć z trudem, bo spał tak silnie, że go aż za nogi pociągnąłem.

— A co tam takiego?

-- Do broni, Picarcie! Prędko! Wstawajcie! Nieprzyjaciel na jeziorze!

— Co mi tam po nich, trzeba mi było pozwolić spać, bo dopiero zasnąłem!

— Żałuję mocno, mój drogi, ale rozkazałeś mi przecież zaraz cię uprzedzić, a może być, że idą i z drugiej strony!

— Prawda i to! Podte to nasze zajęcie! Ale gdzież oni są?

— Na lewo od nas!

Przez ten cały czas nie spuszczałem z oczu nieprzyjaciela, który zatrzymał się, aby napoić konie, gdyż widać było, jak rąbali łańcami lód wokół.

Postanowiliśmy, o ile to możliwe było, wycofać się niepostrzeżenie, spodziewając się, że niedługo osiągniemy naszej armii. Mogła być wtedy godzina 11, do czwartej więc moglibyśmy zrobić dosyć drogi. Żaden z nas nie myślał o tem, że armia nasza może być daleko, bo Rosyanie czekali na nas przy Beręzynie, gdzie się miały zebrać wszystkie szczątki.

Śpieszyliśmy się bardzo. Picart napełnił worek pozostałem mięsem, ja zaś worek mój i ładownicę. Postanowiliśmy iść brzegiem lasu, gdyż, jak utrzymywał Picart, mieliśmy zawsze możność schronić się w nim w razie napadu, a w przeciwnym trzymać się mogliśmy drogi, która szła obok.

W końcu ruszyliśmy, obciążeni zapasami. Opowiadał mi, że zawsze, ile razy mieli w pułku coś do niesienia, on wybierał sobie jedzenie, gdyż stopniowo pozbywał się ciężaru; dla przykładu przytoczył mi Ezopa. Naraz rozległa się strzelanina po drugiej stronie jeziora.

— Cofnąć się w las!—rzekł Picart.

Wkrótce uspokoiło się wszystko.

Wicher, szalejący zrana, zerwał się teraz z większą jeszcze siłą. Czarne chmury pokryły niebo, czyniąc las ów jeszcze bardziej ponurym, tak, że obawialiśmy się zapuścić wgląb.

Gdy tak rozmawialiśmy nad kierunkiem drogi naszej, rozległo się na nowo strzelanie, lecz o wiele bliższe, niż pierwszym razem. Dwa plutony kozaków starało się otoczyć siedmiu maruderów, którzy schodzili z niewielkiego wzgórza po drugiej stronie jeziora i gdzie zapewne spędzili o wiele lepszą noc, niż my. Widzieliśmy, jak dzielnie odpierali napastników, jak stopniowo zbliżali się do lasu, w którym byliśmy i gdzie o wiele łatwiej było im się bronić.

Kozaków było trzydziestu. Rozdzielili się na dwa plutony, z których jeden stanął tuż przed nami, chcąc przeciąć im drogę.

Broń mieliśmy nabitą i postanowiliśmy przywitać nieprzyjaciela ogniem, gdy się ku nam zbliży, ponieważ położenie naszych stawało się coraz trudniejszym. Picart, który nie spuszczał z oczu walczących, odezwał się:

— Będę do nich strzelał, a ty zajmij się tylko nabijaniem broni, ale, aby zrobić między nimi zamieszanie, strzelimy raz pierwszy razem.

Nasi walczyli ciągle; Picart poznał tych, którzy wczoraj rozbili mu skrzynię, ale było ich teraz tylko siedmiu. Pluton rosyjski zbliżył się do nas na jakie czterdzieści kroków, z czego skorzystaliśmy i na komendę Picarta: „Baczość! ognia!“ strzeliliśmy razem, zabijając jednego, pozostali rozsypali się, dwóch tylko

zajęło się rannym w lewą rękę. Picart, nie tracąc czasu posłał im drugą kulę, która zraniła konia, wtedy tamci porzucili wszystko, uciekając gwałtownie. Naraz rozległy się dzikie wrzaski i ujrzeliśmy, jak otoczyli naszych, do tego przyłączył się i krzyk nieszczęśliwego rannego, którego towarzysze ciągnęli po łodzie, bo iść sam już nie miał siły.

Jeden z kozaków, pozostawiony prawdopodobnie dla śledzenia nas, patrzył się jednak tam, gdzie nas już nie było, zwiedziony wystrzałem. Widzieliśmy go dobrze i dlatego to Picart nie mógł się powstrzymać, posłał mu kulę, kładąc trupem na miejscu, gdyż spadł z konia, wymachując rękami.

Na strzał nasz kozacy odwrócili się zdziwieni; cofnęli się trochę, z czego skorzystali nasi maruderzy, nabili broń i wysłali kilka kul, które zabiły czterech kozaków. Krzyki wściekłości rozległy się wokoło, walka rozpoczęła się stanowcza, a my posunęliśmy się o dwanaście kroków naprzód. Tu czterech naszych walczyło przeciw piętnastu, a trzech pozostałych śpieszyło do lasu.

Szykowaliśmy się już dać im pomoc, gdy burza, grożąca nam oddawna, wybuchła z szaloną siłą. Śnieg zaczął padać straszliwymi płatami, zakrywając nam wszystko, tak, że przez jakie sześć minut zmuszeni byliśmy trzymać się mocno jeden drugiego, aby wicher nas nie porwał. W jednej chwili rozjaśniło się zupełnie, o cztery kroki przed nami stali Rosyanie, którzy, ujrawszy nas, wydali dzikie okrzyki, nie ośmielając się jednak rzucić na nas. Broni użyć nie mogliśmy, gdyż ręce nasze zgrabiały od zimna, do niczego nie były zdolne, wystawiwszy więc tylko

bagnety, usuwaliśmy się powoli w głąb lasu, a oni oddalili się galopem.

Przy wejściu do lasu trzech naszych maruderów było otoczonych ze wszystkich stron kozakami. Chcieliśmy im pomóc, ale w tejże samej chwili ujrzeliśmy ich znikających na środku jeziora, razem z kilku nieprzyjaciołmi. Nieszczęśliwi doszli do miejsca, w którym wczoraj pojono konie, łód, który je pokrył, nie był dość mocny, aby utrzymać ciężar tylu ludzi i załamał się, pochłaniając wszystkich.

Stanęliśmy jak wryci z przerażenia. Pozostali kozacy nie śpieszyli z pomocą swym towarzyszom, lecz ochłonawszy z chwilowego osłupienia, zaczęli uciekać na wszystkie strony. Z miejsca, na którym staliśmy, słychać było doskonale rozdzierające serce krzyki, wychodzące z przerębla. Kilkakrotnie na powierzchni ukazywały się końskie głowy, poczem woda się zakotłowała i wszystko się uspokoiło.

W jakiś czas potem ukazało się na jeziorze dziesięciu kawalerzystów z dowódcą na czele. Kilku z nich zbliżyło się do owego przekłętego miejsca i zagłębiwszy tam swoje lance, odskoczyło gwałtownie, poczem wszyscy oddalili się szybko. Straciliśmy ich z oczu, a po chwili zapanowała cisza.

Wróciliśmy w milczeniu do naszego ogniska. Po kilku minutach Picart przerwał je, mówiąc:

— Straszną mam ochotę palić, pójdę poszukam, może który z zabitych posiada tytoń.

Zwróciłem mu uwagę na to, że wyprawa ta jest niebezpieczną, ponieważ nie wiemy dobrze, gdzie się podziałła reszta kozaków. I rzeczywiście, w tejże

chwili ujrzeliśmy tłum wieśniaków i żołnierzy z długimi żerdziami, spieszącymi na pomoc nieszczęśliwym, a za nimi jechał wóz, zaprzężony w dwa konie.

— Trzeba się pożegnać z tytoniem — odezwał się Picart.

Musieliśmy uciekać z obawy, aby nie zachciało im się zajrzeć do naszego biwaku, gdzie mogli przypuszczać, że nas jeszcze zastańą. W głębi lasu zatrzymaliśmy się; doskonale widać ztąd było wszystkie poruszenia kozaków.

Posunęli się następnie w stronę ciał kozaków. Dwaj pierwsi, których podnieśli, żyli jeszcze, a wywnioskowaliśmy to ztąd, że kładli ich bardzo ostrożnie na wóz. Pozostałych bez żadnych ceremonij wpakowali na wóz i odjechali w pięciu. Większa część zaś zbliżyła się do przerębla, szykując się do wydobycia ztamtąd tych, którzy się potopili.

Widząc ich przy tej robocie, ruszyliśmy w dalszą drogę. Zrobiło się trochę cieplej, a mogło być wtedy południe.

Naraz, obróciwszy się po za siebie, Picart ujrzał dwóch kozaków idących za nami po śladach naszych na śniegu, rozzłościł się bardzo i rzekł:

— Jeżeli nas ujrzą, położenie nasze zbyt przyjemnem nie będzie, gdyż będą śledzili nas ciągle. Przypieszmy więc kroku i gdy las się cokolwiek przerzedzi, wejdźmy weń, a wtedy zobaczą z kim, mają do czynienia.

Po chwili zatrzymał się znów, a gdy już ich nie ujrzał, zaczął wtedy przeklinać:

— Do tysiąca dyabłów, rachowałem na nich,

że dostarczą mi tytoniu. Tymczasem zlekli się wi-
dać i boją się śledzić nas dalej.

Maszerowaliśmy ciągle, trzymając się blisko
brzegu lasu, aby w razie niebezpieczeństwa schronić
się tam. Wkrótce jednak musieliśmy skierować się
na prawo, bo droga w lesie zawałoną była drzewa-
mi, poczem obejrzelśmy się po za siebie, i tu ujrze-
liśmy dwóch owych kozaków, idących za nami o ja-
kie trzydzieści kroków. Jeden z nich dojrzał nas
prawdopodobnie, bo przyspieszył kroku, tak jakby
chciał upewnić się o czemś, następnie przystanął,
oczekując na drugiego. Mogliśmy ich widzieć do-
skonale, nie będąc sami widziani, bo schowaliśmy się
w las. Zamiarem naszym było, aby oddalić ich
o ile można najdalej od swoich, aby ci w razie wal-
ki nie pospieszili im na pomoc.

Lecieliśmy tak blisko godzinę, gdy naraz za-
grodziła nam drogę wysoka góra śniegu, tak, żeśmy
zmuszeni byli cofnąć się kilka kroków i szukać do-
godnego przejścia. Przez ten czas kozacy zbliżyli się
ku nam o tyle, że kule nasze mogłyby były z ła-
twością dosięgnąć ich, ale Picart, znający dobrze
wszystkie podstępny wojenne, rzekł:

— Przyjmiemy ich po drugiej stronie, bo trudno
będzie dostać się do nich.

Znalazłszy wygodne przejście, przedostaliśmy
się na drugą stronę, prawie jednocześnie z kozakami,
którzy przeskoczyli ową zaporę. Chcieliśmy skorzy-
stać z tej chwili, gdy oni wydostawali się powoli
z zagłębienia pod górę, aby odpocząć, bo już sił nam
brakło, lecz Picart, obejrzawszy się, ujrzał ich tuż za
nami, gotujących się do schwytania nas wtedy, gdy-

śmy sądzili, że pojechali naprzód. Natychmiast wkroczyliśmy do lasu i zrobiwszy kilka skrętów, wróciliśmy napowrót. Szli oni powoli jeden za drugim. Zawróciliśmy się na nowo i biegnąc szybko, dopadliśmy do jakiejś jodły, bardzo rozgałęzionej, pod którą schroniliśmy się.

Ten, który maszerował pierwszy, mógł być oddalony o jakie kroków czterdzieści. Picart odezwał się do mnie:

— Strzelisz pierwszy, mój sierżancie, ale poczekaj chwilę, niech się zbliży.

Kozak tymczasem dał znak towarzyszowi do przybliżenia się. Poczem zaczęli przypatrywać się naszym śladom, które ich widocznie zaniepokoiły, jakby przeczuwali to, co ich spotkać miało. Nie namyślając się długo, posłałem mu kulę, która trafiła go w piersi. Wydawszy okrzyk bólu, chciał ratować się ucieczką, ale Picart wyskoczył, i chwytając konia za uzdę, groził mu lancą, wołając:

— Do mnie, towarzyszu! Pamiętaj o sobie! Uderz na drugiego!

Drugi zbliżył się tymczasem i wystrzelił z pistoletu prosto w głowę Picarta, który upadł, puszczając konia. Rzuciłem mu się zaraz na pomoc, a tamten odjechał galopem na jakie sto kroków od nas. Nie mogłem go zabić, bo nie miałem nabitej strzelby, co przy naszych zgrabiałych rękach nie było rzeczą łatwą. Picart, o którym myślałem, że jest niebezpiecznie raniony lub martwy, podniósł się a kozak, którego trafiłem, spadł z konia martwy zupełnie.

Picart nie tracił czasu, kazał mi trzymać konia

a sam pośzedł do tego, który go ranił, i wysłał mu kulę, której tenże uniknął kryjąc się pod konia, a następnie uciekł pełnym galopem. Nabawiwszy broń, wrócił Picart do mnie, wołając:

— Zwycięstwo jest przy nas, ale spieszmy się, zaczynając od praw należnych nam, jako zwycięzcom! Zobacz, czy niema on czego przy sobie, coby się nam przydać mogło, poczem uciekajmy z koniem.

Na moje pytanie, czy nie jest rannym, Picart odpowiedział, że o tem później mówić będziemy, a wyciągając kozakowi z za pasa pistolety, z których jeden był nabity, odezwał się:

— Głupiec ten udaje zabitego, chwilami otwiera oczy, upewniam cię, że nic mu nie jest.

Odebrałem mu pałasz i piękną małą ładownicę, ozdobioną srebrem, w której poznałem ładownicę chirurga naszej armii. Zawiesiłem ją sobie na szyi, a szablę rzuciłem w krzaki. Pod płaszczem miał dwa francuskie uniformy, jeden kirasyera, a drugi czerwonego ułana z gwardyi, i oznakę oficera legii honorowej, którą mu Picart natychmiast zerwał. W kieszeniach znaleźliśmy więcej niż trzysta franków w sztukach pięciofrankowych, dwa srebrne zegarki, pięć orderów, wszystko zabrane umierającym lub zabitym, lecz wszystko zmuszeni byliśmy porzucić. Jestem pewien, że gdybyśmy szukali dłużej, tobyśmy jeszcze wiele więcej znaleźli rzeczy.

Pozbieraliśmy broń zwyciężonego, schowaliśmy ją w krzaki, i zabieraliśmy się do odjazdu. Picart szedł pierwszy, trzymając konia za uzdę, a ja za nim, I wtedy to napadła mnie ochota przejrzania

mantelzaka, uwieszonego u siodła, a który należał do oficera kirasyerów naszej armii.

Wsunąłem weń rękę, i uczulem coś, co było podobne do butelki. Powiedziałem o tem zaraz Picartowi. Natychmiast otworzyliśmy mantelzak, z którego wyciągnęliśmy butelkę, zawierającą coś podobnego do wódki. Nie omyliliśmy się. Picart napił się jej, mówiąc:

— Do ciebie, mój sierzanciel!

Gdym jej trochę skosztował, uczulem, że coś nadzwyczaj przyjemnego rozeszło mi się po ciele. Zdobycz ta dla nas wartą była więcej, niż wszystko razem, a ponieważ zgodziliśmy się na to obaj, że trzeba ją oszczędzać, postanowiliśmy wydzielać ją sobie porcyami z malej wazki z chińskiej porcelany, którą miałem z Moskwy.

Zagłębiwszy się w las, szliśmy z wielkim trudem, z przyczyny olbrzymich drzew zagradzających nam drogę i po kwadransie takiej przekłętej podróży wydostaliśmy się na szeroki gościniec, idący w kierunku wielkiego traktu, po którym miała przejść armia, a który, o ile nam się zdawało, mógł być oddalony o jakie dwie lub trzy mile.

Spojrzałem na Picarta i przeraziłem się. Twarz całą miał zakrwawioną, krew tworzyła mu sople na brodzie i wąsach. Zwróciłem uwagę na jego ranę w głowie, na co mi odrzekł, że krew ta chwilowo tylko ciekła, że teraz włożył już czapkę i że zresztą nic poważnego w tem niema. Dodał jeszcze, że upadł wtedy nie od tej rany, ale że potknął się o nogę konia i stracił równowagę.

— A zresztą—ciągnął dalej—teraz nie jest od-

powiednia pora do zajmowania się tem. Pogadamy o tem wieczorem.

Zaproponowałem Picartowi dla nietracenia czasu, abyśmy obydwaj wsiedli na konia.

— Siadajmy—rzekł.

Usadowiliśmy się, Picart na przodzie, ja za nim, i trzymając na pogotowiu karabiny, ruszyliśmy w drogę truchtem, a czasem nawet i galopem. Chwilami zagradały nam drogę drzewa poprzewracane, których Picart postanowił użyć jako barykady dla nieprzyjaciół, w razie, gdyby nas gonili. Zszedł zaraz z konia i przy pomocy mego topora pościął mnóstwo sosen i jodeł na te, które już tam były, tak, że chcąc je usunąć, potrzebaby było na to ze dwudziestu pięciu ludzi, poczem odjechaliśmy klusem, obaj weseli bardzo. Po kwadransie takiej jazdy Picart zatrzymał się, mówiąc:

— Czy nie czujesz, jak strasznie ciężko niesie ten koń?

Odpowiedziałem mu na to, że koń mści się na nas za zabicie swego pana.

— Tam do dyabła, mój sierzancie, zdaje mi się, że ta troszka wódki zakręciła ci w głowie! To i lepiej, gdyż lubię bardzo widzieć cię takim!

Aby tak bardzo nie cierpieć od trzęsienia, Picart podesłał białą skórę, i w ten sposób mogliśmy jechać jeszcze przez kwadrans, ale zupełnie wolno, bo chwilami śnieg dochodził koniowi do brzucha. W końcu przecież dotarliśmy do jakiejś drogi, którą wzięliśmy za główną. Zanim jednak ruszyliśmy nią, trzeba było wpierv przedsięwziąć trochę ostrożności,

Zeskoczyliśmy z konia i trzymając go za uzdę, zagłębiliśmy się w las na lewo od drogi, aby móżdżek wszystko widzieć, nie będąc sami widzianymi. Po kilku minutach drogi przekonaaliśmy się, że trakt ów prowadzi rzeczywiście do Berezyny i że po nim przechodziła armia, a świadczyły o tem liczne trupy rozrzucone po całej drodze i nawpół przykryte śniegiem; świeże ślady wskazywały, że armia przechodziła tędy niedawno, ślady te szły w kierunku naszej drogi, krew zaś, widniejąca na śniegu, wzbudziła w nas myśl, że konwój więźniów francuskich, eskortowanych przez Rosyan, przeszedł także niedawno.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że znaleźliśmy się na tyłach armii rosyjskiej i rzeczywiście możliwem było, że wkrótce nadejdzie kilka jej oddziałów. Co było robić? W każdym razie trzeba było iść drogą. Tego samego mniemania był i Picart.

— Przyszła mi doskonała myśl—odezwał się.— Ja pójdę naprzód, ty z tyłu, ja będę patrzył się, czy czego nie widać przed nami, ty zaś z głową odwróconą, czy nam nie zagraża co na tyłach.

Wykonanie tego projektu połączone było z wielu trudnościami, szczególnie dla mnie, gdyż oparłszy się o plecy Picarta, maszerowałem w tył. Tworzyliśmy razem jakby jedną osobę, o podwójnym wzroku z przodu i z tyłu. Przedtem napiliśmy się trochę wódki, obiecując sobie zachować resztę na chwile bardziej niebezpieczne i ruszyliśmy w drogę w tym smutnym i ponurym lesie.

Wicher północny stawał się coraz ostrzejszym, zdawało mi się, że dłużej w podobnem położeniu wy-

trzymać nie będę zdolnym, na szczęście, było dosyć jasno, tak, żeśmy przedmioty nawet oddalone doskonale widzieć mogli, a co najważniejsza i drogę. Marszerowaliśmy pewnie z pół godziny, gdy na skrócie drogi ujrzeliśmy siedmiu wieśniaków, wyglądających tak, jakby nas oczekiwali.

Podzieleni byli na dwa szeregi, pod wodzą najstarszego. Ubranie ich składało się z baraniego kożucha, z łapci z kory drzewnej, obwiązanych łykiem. Zbliżywszy się, powitali nas po polsku; zdawali się być bardzo zadowolonymi, dowiedziawszy się, że jesteśmy Francuzami. Zmuszeni byli iść aż do Mińska, gdzie stała armia rosyjska, z którą mieli uderzyć na nas. Rozmówiwszy się z nimi, ruszyliśmy dalej, a gdy już widać ich nie było, spytałem się Picarta, czy dobrze zrozumiał to, co wieśniacy mówili o Mińsku, jednym z głównych naszych posterunków na Litwie, gdzie mieliśmy pełne magazyny żywności. Odpowiedział mi na to, że zrozumiał ich doskonale, i że jeżeli jest to prawda, to w ładnym znajdujemy się położeniu, dzięki Austryakom, którzy głównie przyczynili się do tego. Nie mogłem pojąć, co wspólnego mogli mieć Austriacy z Mińskiem. Zabierał się już do wytłómaczenia mi tego, gdy zatrzymał się naraż, mówiąc:

— Zobacz no, zdaje mi się, że przed nami idzie jakiś oddział?

Spostrzegłem coś czerwieniejącego w dali, co skryło się na jakiś czas, aby później ukazać się w całej pełni.

Byli to Rosyanie.

Zawróciwszy się natychmiast na prawo, skryli-

śmy się w lesie, lecz tu koń nasz, zrobiwszy może cztery kroki, zapadł po brzuch w śnieg, zrzucając mnie z siebie. Pociągnąłem za sobą i Picarta i spadliśmy obaj w dół na jakie sześć stóp głębokości, z którego z trudem wydobyliśmy się. Koń zdołał tymczasem uciec, torując nam drogę w głąb lasu, lecz po jakich czterdziestu krokach musieliśmy zawrócić napowrót, bo drzewa były zanadto ścieśnione i tamowały dalsze przejście. Koń był tu także, przywiązaliśmy go więc do jakiegoś drzewa, a sami w obawie, aby nas nie zdradził, oddaliliśmy się spiesznie, poczem ukrywszy się w krzakach, z których mogliśmy widzieć wszystko doskonale, nie będąc widzianymi sami, przybraliśmy obronną pozycję. Picart zapytał się wtedy, czy butelka z wódką nie została zgubioną lub zbitą. Na szczęście—nie. Podczas, gdy ja zajęty byłem odkorkowywaniem butelki, aby się trochę pokrzepić, Picart oczyszczał nasze karabiny ze śniegu.

Uplłynęło może jakie pięć lub sześć minut na wyczekiwaniu nieprzyjaciela, który ukazał się wkrótce, poprzedzany przez dziesięciu lub dwunastu Tatałów, uzbrojonych w piki i łuki, po bokach zaś szli wieśniacy, uzbrojeni w najrozmaitszą broń, a wśród nich przeszło dwustu jeńców francuskich, idących z trudnością; wielu z nich było rannych, wielu miało nogi odmrożone i podierało się olbrzymiemi kijami, wielu padło koło nas na ziemię, aby nie powstać więcej. Domyślić się każdy może, cośmy przechodzili za męki, widząc naszych braci tak strasznie nieszczęśliwych! Picart nie mówił nic, ale po jego ruchach domyślałem się, że postanowił uderzyć na

eskortujących, lecz w tejże chwili nadjechał jakiś oficer, który rozkazał zatrzymać się, poczem zwracając się do więźniów, rzekł dobrą francuzczyzną:

— Dlaczegoż nie idziecie prędzej?

— Nie możemy — odpowiedział jeden z żołnierzy, rozciągniętych na śniegu — a co do mnie, to wolę tu umrzeć teraz, niż dalej nieco później!

Oficer odpowiedział im na to, że powinni mieć jeszcze trochę cierpliwości, że niezadługo nadejdą wozy, na które pokładą najslabszych.

— Tego wieczora — dodał — będzie wam o wiele lepiej, niż gdybyście byli z cesarzem Napoleonem, który dostał się do niewoli razem z całą gwardyą nad brzegami Berezyny, na której wszystkie mosty zostały zniszczone.

— Napoleon jeńcem z całą swą armią! — wyszeptał stary żołnierz. — Niech Bóg wam przebaczy! Ale widać z tego, co mówicie, że nie znacie ani jego, ani jego armii. Nie poddałoby się nigdy, chyba by wszyscy pomarli, przysięgli to sobie! Widzisz więc, że jest to niemożliwem!

— Chodźmy — rzekł na to oficer — oto są wozy.

W tejże chwili ukazały się trzy furgony, napełnione chorymi i rannymi, pięciu z nich wyrzucono na ziemię, a na miejsce ich położono innych. Oficer dowodzący rozkazał wieśniakom oddać zdarte ubranie z martwych więźniom, którzy bardzo go potrzebowali, a ponieważ rozkaz jego nie został natychmiast spełniony, zmusił ich do posłuszeństwa, uderzywszy kilkakrotnie wieśniaków. Usłyszeliśmy

jeszcze, jak odezwał się na podziękowanie do naszych w te słowa:

— I ja jestem Francuzem, od lat dwudziestu jestem w Rosyi, straciłem tu ojca, ale mam jeszcze matkę. Być może, że okoliczności pozwolą mi wkrótce wrócić do Francyi. Wiem o tem dobrze, że to nie przewaga zwyciężyła naszych, ale tylko niemożliwa temperatura Rosyi.

— I brak żywności—dodał jeden z rannych—gdyby nie to, bylibyśmy już pewnie w Petersburgu.

— To prawdopodobne—odrzekł oficer.

Poczem ruszono w drogę.

Gdyśmy stracili już ich z oczu, odnaleźliśmy naszego konia, który szukał trawy pod śniegiem. Przyjazny los zesłał nam wygasające ognisko, które rozdmuchaliśmy i jako tako mogliśmy się rozgrzać. Wyruszywszy w drogę rozglądaliśmy się na wszystkie strony, aby nas kto nie zaskoczył, gdy usłyszeliśmy naraz jęki i po chwili ukazał się jakiś nieszczęśliwy, prawie zupełnie nagi. Ubrany był tylko w jakąś starą kapotę, nawpół spaloną, na głowie miał podartą czapkę, nogi owinięte w lachmany i przywiązane sznurami do spodni, składających się z samych dziur. Nos miał zmarznięty i odpadający, uszy były w ranach, u prawej ręki pozostał mu tylko jeden palec, inne odpadły mu zupełnie. Był to jeden z tych nieszczęśliwych, których Rosyanie porzucali na drodze; z tego, co mówił, nic zrozumieć nie mogliśmy. Na widok ognia zabłyszczały mu oczy, rzucił się nań z chciwością; chcieliśmy mu dać trochę wódki, ale prawie połowa została straconą, gdyż

nie mógł otworzyć zębów, tak mu one strasznie szczękały.

Tymczasem jęki, jakie wydawał, zaczęły milknąć, drżał tylko całym ciałem, poczem zbladł straszliwie i nie wydawszy żadnego głosu, przewrócił się. Picart chciał go podnieść, lecz był to już trup. Cała ta scena nie trwała więcej, niż dziesięć minut.

Cokolwiekbądź się stało, nie wywierało najmniejszego wpływu moralnego na mego starego towarzysza. Tak też było i teraz, wstał, wziął karabin i nie mówiąc ani słowa, ruszył w drogę, a ja poszedłem za nim, trzymając konia za uzdę. Gdy się las trochę przerzedził, zaproponowałem, abyśmy wsiedli na konia.

Po godzinnej jeździe, nie spotkawszy nikogo, tylko same trupy, przybyliśmy na jakieś miejsce, które wzięliśmy za koniec lasu, ale była to tylko polanka, wpośród której stało mieszkanie dosyć duże. Była to stacya pocztowa. Wkoło niego, poprzywiązywane do drzew, stały konie. Z domu wyszło ośmiu kawalerzystów w białych płaszczach, w wysokich kaskach na głowie, bardzo podobnych do kirasyerów, z którymi biliśmy się pod Krasnem w nocy z 15 na 16 grudnia; wsiedli oni na konie i odjechali w przeciwną stronę, z której przychodziliśmy.

Zawróciliśmy napowrót do lasu, ale było niemożliwą rzeczą zrobić tam nawet dwadzieścia kroków. Zdawało się, że żadna ludzka istota nie postawiła tam nogi; drzewa tak były strasznie ściśnięte, że zmuszeni byliśmy wyjść z niego i iść brzegiem, narażając się na niebezpieczeństwo, spotkania nieprzy-

jaciela. Biedny koń zapadał się co chwila po sam brzuch.

Nastąpiła noc, a my nie uszliśmy jeszcze i połowy drogi. Aby odpocząć chwilę, weszliśmy na jakąś ścieżkę, a zszedłszy z konia, napiliśmy się najpierw wódki, której już nie wiele pozostało w butelce.

Ponieważ w tem miejscu było dużo zrąbanego drzewa, postanowiliśmy się zatrzymać trochę dalej. Gdy zajęty byłem rozpakowywaniem kociołka, a Picart worka, odezwał się tenże w te słowa:

— Prędej, trzeba myśleć o najważniejszej rzeczy, a mianowicie o ogniu; dawaj jaki kawałek bieleziny.

Oberwałem kawałek z mojej koszuli i dałem Picartowi, który zrobił z niej miech, a następnie przy pomocy prochu rozpałił ogień, przyczem nastąpił ogłuszający huk, który wzniecił w nas obawę, aby nas nie odkryto.

Biedny Picart od chwili, gdy ujrzał więźniów i gdy usłyszał o smutnem położeniu armii i cesarza, zmienił się bardzo. Wpłynęło to na jego usposobienie, a chwilami skarżył się na ból głowy, który pochodził nie z rany zadanej przez kozaka, ale z jakiejś innej przyczyny, której nie umiał wytłómaczyć. Po tym huku przez dość długi czas nie otworzył ust, nasłuchując szczekania psów, które nam odpowiadały. Wtedy odezwał się, że pewnie za chwilę przyjdą zabić tu nas, jak dzikie zwierzęta. Zacząłem go uspakajać, choć może więcej jeszcze strwożony byłem niż on tem, że się pewnie nikomu nie chce o takiej porze i na taki czas wyruszać z domu.

Drzewo, leżące wkoło nas, było nadzwyczaj suche, nie upłynęło więc kilku minut nawet, gdy płonął przed nami duży ogień. Znaleźliśmy obok drzewa sporo słomy, co napełniło nas niewypowiedzianą radością, zdawało się, iż Opatrzność czuwa nad nami i Picart, który ją znalazł, tak się do mnie odezwał:

— Odwagi! przyjacielu, oto co nas uratuje, przynajmniej na tę noc. Jutro Bóg dokona reszty, a wszystko się skończy, gdy spotkamy się z cesarzem, o czem bynajmniej nie wątpię!

Picart myślał tak, jak wszyscy starzy żołnierze, ubóstwiający cesarza, że razem z nim nic nam zagrażać nie może, że dla niego niemożliwych rzeczy niema.

Daliśmy koniowi trochę słomy, a resztę rozslaliśmy na ziemi, zamierzając przespać się na niej. Picart zajął się upieczonem mięsem, które rozgrzać trzeba było i odezwał się do mnie w te słowa:

— Czy wiesz, że ciągle stoją mi w myśli słowa rosyjskiego oficera?

— Jakież znów?—zapytałem się go.

— A to! że cesarz jest jeńcem z całą armią, lecz czuję, że to kłamstwo, bo to jest rzeczą niemożliwą. A jednak nie może mi to wyjść z głowy! Tego przeboleć nie, mogę uspokoję się dopiero, gdy się złączę z armią. Przedtem jednak musimy coś zjeść, trochę się napić i cokolwiek odpocząć!

Obejrzałem butelkę, ale wódki było w niej bardzo mało, bo Picart nigdy nie powstrzymywał się, aby ją zachować na gorsze chwile. Pragnął tylko zabić Tatara, ażeby zdobyć nową, bo zdawało mu się,

że każdy z nich musi mieć koniecznie butelkę przy sobie.

Czas był dosyć przyjemny. Jedliśmy, choć nie z wielkim apetytem, koninę. Picart ciągle mówił do siebie:

— Mam czterdzieści luidorów w pasku i siedem sztuk dukatów rosyjskich, każdy po pięć franków. Oddałbym to wszystko z całej duszy, aby się znaleźć w pułku.—Ale—dodał, uderzając mnie po kolanach— one nie są w pasku, bo go nie mam, ale są zaszyte w mojej kamizelce, a ponieważ nie wiem, co mi się może przytrafić, oddaję ci je.

— Ha! — odezwałem się — brakuje tylko testamentu! A dla teźże samej przyczyny zrobię to samo, co i ty. Mam osiemset franków w złocie i biletach bankowych. Możesz tem rozporządzać w razie, gdy umrę, nie złączysz się z pułkiem!

Grzejąc się, machinalnie wsunąłem rękę do ładownicy, którą podniosłem przy dwóch umierających Badeńczykach i natrafiłem na coś twardego. Wyciągnąwszy to poznałem, że jest to tytoń do palenia. Co za odkrycie dla mojego biednego Picarta! Ucieszył się bardzo, gdym mu go wręczył, a ponieważ nie miał fajki, zaczął go żuć, a ja poprzestałem na małym cygarze, które zrobiłem sobie sam, okręciwszy tytoń w kawałek papieru z listu.

Blizko dwie godziny już odpoczywaliśmy, choć mogła być wtedy dopiero godzina 7-ma, pozostawało więc nam około dwunastu godzin przed dalszym marszem. Przed kilku minutami oddalił się Picart dla zaspokojenia swojej potrzeby i jakoś strasznie długo nie wracał, co zaczęło mnie niepokoić, gdy naraz

usłyszałem jakiś szmer z przeciwnej strony. Będąc pewny, że to ktoś inny, zerwałem się, i chwyciłem broń, ale w tejże chwili wysunął się Picart, który, widząc mnie w tej pozycji, pochwalił i dając znak milczenia, szepnął, że dwie jakieś kobiety przeszły drogą, niosąc pakunek, i że zatrzymały się teraz na odpoczynek o kilka kroków ztąd.

— Pójdziemy za ich śladami — odezwał się — dojdziemy pewnie w ten sposób do wsi, a przynajmniej do jakiejś chaty, w której znajdziemy schronienie, a to tem pewniejsze, że ciągle dochodzi do nas szczekanie psów.

— Ależ — odpowiedziałem mu na to — natrafić możemy tam na Rosyan!

Lecz kazał mi się zdać zupełnie na niego.

I oto ruszamy w nocy lasem, nie wiedząc sami, w którą stronę, za jedyne przewodniki mając tylko ślady czterech nóg, które, jak mówił Picart, należały do owych kobiet. Skręciły one naraz na prawo, co nas zbilo trochę z tropu, gdyż tym sposobem oddalaliśmy się od głównego traktu, czasami znów ginęły nam zupełnie, Picart kładł się aż na ziemię, szukając ich rękami, bo oczyma dojrzeć ich nie można było.

Picart ciągnął za sobą konia, ja zaś trzymałem się jego ogona. W ten sposób uszliśmy spory kawałek drogi, gdy naraz odkryły się przed nami dwie drogi; nie wiedząc, którą wybrać, gdyż każdą szły owe ślady, zdaliśmy się na instykt koński, a żeby nam nie uciekł, trzymaliśmy go mocno za uzdę. Nakoniec Bóg zlitował się nad naszą nędzą: rozległo się

ujadanie psa, a trochę dalej stanęło przed nami dość duże domostwo.

Zanim weszliśmy do niego, musieliśmy obejść je trzykrotnie naokoło dlatego, że wejście zakryte było słomą, idącą od dachu do samej ziemi, oprócz tego tak zasypane śniegiem, że nic nie było dziwnego, żeśmy go odrazu nie spostrzegli. Picart, dostawszy się pod słomę, zapukał lekko, ale nikt mu nie odpowiedział, gdy i na powtórne pukanie nic nie usłyszał, domyślił się, że dom jest niezamieszkały i zabierał się do wyważenia drzwi siłą, gdy słaby głos się odezwał, poczem otworzono drzwi i ukazała się jakaś stara kobieta, trzymająca kawałek zapalonego łuczywa, które upuściła ze strachu na widok Picarta i uciekła.

Towarzysz mój podniósł łuczywo i posunął się naprzód kilka kroków. Ponieważ przywiązałem już konia, wszedłem i ja i spostrzegłem go ze światłem w rękę, otoczonego chmurą dymu i rzucającego spojrzenia na lewo i na prawo. Gdy ujrzał, że weszłam, przerwał milczenie i głosem, o ile mógł najśłodszy, pozdrowił w najlepszej polszczyźnie, na jaką go stać było, niewidzialnych. Powtórzyłem je drżącym głosem. Na to ukazał się jakiś starzec, który ujrzawszy Picarta, zaczął krzyczeć:

— Ach! to są Francuzi, to dobrze!

Powiedział to po polsku, następnie po niemiecku. Odpowiedzieliśmy mu w tymże języku, że jesteśmy Francuzami z gwardyi Napoleona. Na imię Napoleona i jego gwardyi dzielny Polak ukłonił się i chciał nam ucałować nogi. Po chwili ukazały się dwie młode kobiety, które zbliżyły się do nas, wyra-

żając, o ile umiały, swą radość, a w których Picart poznał spotkane w lesie.

Po pięciu minutach pobytu u tych zacnych ludzi, gorąco, do którego nie byłem przyzwyczajony, zaczęło działać na mnie tak silnie, że zbliżywszy się do drzwi, padłem zemdłony na ziemię.

Picart podbiegł mi na pomoc, ale stara kobieta i dwie jej córki podniosły mnie już i usadowiły na krzesła, poczem, uwolniwszy od kotła, skóry niedźwiedziej i całego uzbrojenia, zaprowadziły mnie w głąb mieszkania i położyły do łóżka, nakrytego baranim kożuchem. Kobiety widocznie litowały się nad naszym stanem, szczególnie nademną, gdyż byłem jeszcze młody i ucierpiałem więcej niż mój towarzysz: straszna nędza uczyniła mnie tak mizernym, że bez wzruszenia nie można było spojrzeć na mnie.

Starzec poszedł zająć się koniem, a cały dom stał na nasze usługi. Picart pomyślał o wódce, którą miałem w ładownicy, przyniósł ją i dał mi kilka kropli, po których uczułem się o wiele lepiej.

Stara kobieta ściągnęła mi buty, których nie zdejmowałem z nóg od Smoleńska, to jest od 10-go listopada, a teraz był już d. 23-ci. Jedna z młodych dziewcząt przyniosła dużą miskę pełną gorącej wody, umieściła ją obok mnie i umyła mi nogi bardzo ostrożnie jedną po drugiej zwracając uwagę na ranę na prawej. Otrzymałem ją w 1807 roku w bitwie pod Eylau; do tego czasu nigdy nie dawała mi się uczuć, ale teraz otworzyła się i w owej chwili straszny sprawiała mi ból.

Druga z nich, starsza, myła nogi Picart'owi który, zmieszany tem, pozwalał na to bardzo spo-

kojnie. Odezwałem się do niego, że jakieś natchnienie Boskie skierowało go na ślady dziewcząt.

— Tak—odpowiedział—ale wtedy, gdy widziałem je przechodzące, nie przypuszczałem nigdy, aby nas mogło spotkać tak dobre przyjęcie. Nie powiedziałem ci jeszcze, że głowa straszliwie mnie boli, a szczególnie teraz, gdy odpocząłem trochę. Zobaczysz sam, że przekłeta kula owego kozaka drasnęła mnie nieco głębiej, niż przypuszczałeś!

Mówiąc to, odwiązał rzemyki, które podtrzymywały jego czapkę baranią na głowie i zaledwie zdjął czapkę, ukazała się krew.

— Widzisz — odezwał się. — Ale to nic, kula przeszła tylko po skórze!

Starzec zdjął mu ostrożnie skórę, a dziewczyna umyła mu głowę. Wszyscy otoczyli go, spiesząc z pomocą, a biedny Picart był tem tak rozrzewniony, że lzy mu się puściły z oczu. Dla ostrzyżenia włosów potrzebne były nożyczki, przypomniałem sobie o ładownicy chirurga, którą odebrałem kozakowi; gdy mi ją przyniesiono, znaleźliśmy w niej: dwie pary nożyczek, mnóstwo instrumentów chirurgicznych, bandaże i szarpie. Po obmyciu rany i obcięciu włosów stara kobieta wysysała ranę, następnie włożyła trochę szarpi i obwiązała mu ją, kula zaś ugrzęzła w wełnie czapki baraniej. W ładownicy znalazła się także fajka, którą Picart pochwycił z radością, natychmiast też nasypał w nią tytoniu i zapalił, było to po raz pierwszy od wyjścia ze Smoleńska.

Gdy nogi nasze zostały już umyte, wytarto je skórkami owczemi, które następnie służyły jako dywany, a mnie przyłożono jeszcze na ranę jakiegoś

ziela, posiadającego podobno cudowną moc. Objąsnił, jak się mam z niem obchodzić i dano trochę na zapas.

Uczuliśmy się o wiele zdrowsi. Dziękowaliśmy z całej duszy za starania, jakie nam okazano, na co dzielny Polak dał nam do zrozumienia, że doprawdy czuję się bardzo nieszczęśliwym, nie mogąc nic więcej dla nas uczynić!

Zaproponowałem Picartowi przejrzenie mantelzaka, który był jeszcze na koniu. Poszedł po niego i przyniósł go. Znaleźliśmy w nim dziewięć indyjskich szali, haftowanych jedwabiem.

— Dajmy po dwa naszym księżniczkom i jeden starej — rzekł Picart — a resztę zachowajmy na przyszłość!

Natychmiast zrobiliśmy ten podarunek, który został przyjęty z wielkiem zadowoleniem. Oprócz szali, znaleźliśmy jeszcze trzy pary oficerskich szlif, trzy zegarki srebrne, siedem krzyżów honorowych, dwie łyżeczki srebrne, więcej niż dwanaście tuzinów złoconych guzików huzarkich i sześć biletów po sto rubli każdy. Spodziewałem się znaleźć tam koszule, ale omyliłem się bardzo; była to rzecz niezbędna dla mnie, szczególnie teraz, gdy gorąco ożywiło robactwo, które też zaczęło straszliwie mnie pożerać.

Młode dziewczyny z oczyma szeroko rozwartymi trzymały dary nasze, nie mogąc zrozumieć, że to ma być dla nich, ale największą radość sprawiły im złote kolczyki i pierścionki, które wsunąłem im sam na palce. Tej, która obmyła mi nogi, dałem ładniejsze.

Starcowi daliśmy duży zegarek i dwie brzytwy, oraz monetę rosyjską, wartości trzydziestu fran-

ków. Zauważywszy, że oczy miał ciągle utkwione w wielki krzyż komandora z portretem cesarza, daliśmy mu go. Opisać jego radości nie jestem w stanie, całował go nieustannie, przyciskał do piersi, w końcu zawiesił sobie na szyi, dając nam do zrozumienia, że rozstanie się z nim, ale razem z życiem.

Prosiliśmy o kawałek chleba. Przyniesiono nam go, tłómacząc się, że dlatego nie dawano go dotąd, bo jest bardzo niedobry. I rzeczywiście niemożliwym był do jedzenia, bo był z czarnej mąki, pełen słomy i ziarn. Pochodził od Rosyan. O trzy mile ztąd dziś rano Francuzi pobili nieprzyjaciela, odbijając mu więźniów, a wiadomość tę przynieśli Polakom żydzi, od których oni kupili ów chleb. Chociaż od miesiąca nie miałem w ustach chleba, nie mogłem go ugryźć tak strasznie był twardy, tembardziej, że już oddawna wargi moje były poranione i krwawiły co chwila.

Przyniesiono nam kawałek baraniny, kilka kartofli, ogórków i marynowanych korniszonów. Dali nam wszystko, co mieli sami, obiecując postarać się o coś lepszego. Oczekując na to, włożyliśmy baraninę do kotła, chcąc ugotować sobie zupy. Starzec powiedział nam, że o pół mili ztąd leży wieś, do której schroniło się mnóstwo żydów z zapasami żywności i od których spodziewa się dostać czegokolwiek. Chcieliśmy mu za to zapłacić, ale nie chciał nic wziąć, utrzymując, że to, cośmy mu dali i jego córkom, dostateczną będzie za wszystko zapłatą i że jedna z nich z matką wyruszyła już w drogę.

Posłania nasze składały się ze słomy i kożu-

chów. Picart położył się spać, ja zrobiłem to samo. Obudziło nas gwałtowne szczekanie psa.

— Dokonale—rzekł stary Polak—to moja żona i córka wiacają już.

Po chwili weszły, przynosząc nam mleka, trochę kartofli i mąki, które zdobyły za pieniądze, brakowało tylko wódki, którą wszystką zabrali Rosyanie. Podziękowaliśmy im serdecznie za zrobienie prawie dwóch mil po śniegu, w nocy i w tęgi mróz, z narażeniem się na pożarcie przez wilki lub niedźwiedzie, których nie brak w lasach litewskich.

Zrobiwszy sobie zupę, spożyliśmy ją natychmiast; to znacznie dodało nam sił, poczem oparliśmy głowę na rękach, zamyśliłem się głęboko.

Zbudził mnie Picart, pytając się, o czem tak poważnie myślę?

— Myślę, stary mój druhu — odrzekłem mu na to — że gdybym nie był z tobą i gdyby nie podtrzymał mnie honor i przysięga, pozostałbym tu w tym lesie z tymi zacnymi ludźmi.

— Bądź spokojny—odpowiedział — miałem sen, który zdaje mi się, że był proroczym. Śniło mi się, że byłem w koszarach wojskowych w Courbevoie, że zjadłem kawał kiszki nadzianej kaszą, popijając ją winem z Suresnes.

Chciałem zasnąć, ale ból uczuwany w udzie, zmęczonem szalonym marszem, nie pozwalał mi na to. Picart spał już oddawna, gdy rozległo się szczekanie psa. Mieszkańcy domu zdziwili się tem bardzo, starzec podniósł się i schwyciwszy za pikę, podszedł do drzwi, a za nim jego żona i ja, wzięwszy przedtem karabin nabity. Słyszeliśmy, jak otworzono pier-

wsze drzwi; starzec zapytał się, kto tam jest, a jakiś nosowy głos odpowiedział mu:

— Samuel.

Wtedy żona powiedziała mężowi, że żyd ze wsi. Dowiedziawszy się, że był to żyd, wróciłem na posłanie, pozbierawszy przedtem wszystkie nasze rzeczy.

Spąłem jakie dwie godziny, a obudził mnie Picart na baranią zupę. Skarżył się ciągle na ból w głowie, z którego też pochodziły zapewne owe sny, gdyż opowiadał, że śniło mu się, że był w Paryżu i Courbevoie, że tańczył i pił z grenadyerami, zabitymi w bitwie pod Eylau.

Gdyśmy się posilali, żyd ofiarował nam butelkę wódki, którą Picart zabrał natychmiast, a spróbawwszy, odezwał się, że wódka nie warta była nic. Była to kartoflanka, najgorszy gatunek wódki.

Podzieliłem się z Picartem myślą, jaka przyszła mi do głowy, a mianowicie, że żyda możnaby użyć za przewodnika, którą to myśl Picart pochwalił i miał już żydowi zaproponować, gdy koń nasz zerwał się czegoś przestraszony, a psy gwałtownie ujadać zaczęły. W tejże samej chwili usłyszeliśmy wycie kilkunastu wilków, dobijających się do drzwi, bo zwęszyły naszego konia. Picart schwycił za karabin, chcąc ich odegnać, ale powstrzymał go nasz gospodarz, zwracając uwagę na blizkie sąsiedztwo Rosyan. Musiał poprzestać na pałaszu i płonącej gałęzi, z którym wybiegł przeciw wilkom, zmuszając ich do ucieczki. Wrócił po chwili, mówiąc, że wycieczka ta wpłynęła bardzo korzystnie na ból głowy, który przeszedł mu prawie zupełnie.

Żyd wypytywał się, czy nie mamy czego do zamiany, lub sprzedania. Przypomniałem Picartowi o naszym zamiarze, ażeby żyd doprowadził nas do Borysowa, lub pierwszego francuskiego posterunku.

Zapytałem się go, jak może być daleko ztąd do Berezyny. Odpowiedział mi na to, że wielkim traktem blisko dziewięć mil. Daliśmy mu do zrozumienia, że chcielibyśmy dostać się tam jaką inną drogą i aby nas nią doprowadził, daliśmy mu naprzód trzy pary epoletów i bilet bankowy storublowy, wartości pięciuset franków, ale położyłem za warunek, że epolety pozostaną u naszego gospodarza, a pieniądze wypłacę mu, gdy pokaże białą jedwabną chustką, która dostanie się potem młodszej dziewczynie, tej, która mnie myła nogi, i że on, Samuel, odda gospodarzom dwadzieścia pięć rubli. Żyd zgodził się na wszystko, zwracając uwagę na niebezpieczeństwa, jakie nam zagrażać będą, gdy nie pójdziemy wielką drogą. Gospodarz nasz wyraził swój żal, że nie jest młodszy o lat dziesięć, gdyż poprowadziłby nas tam, ale dał tyle rad żydowi co do drogi, że ten zgodził się nas prowadzić, obejrzawszy przedtem wszystko, cośmy mu dali, czy było w dobrym gatunku.

O godzinie 9-ej rano wyruszyliśmy w drogę, dnia 24 listopada. Cała rodzina polska odprowadziła nas kawałek, żegnając bardzo długo i serdecznie.

Przewodnik nasz szedł naprzód, trzymając konia za uzdę. Picart mówił ciągle, zatrzymując się chwilami. Naraz usłyszałem, że nie idzie wcale i obejrzawszy się, ujrzałem go maszerującego ze sprezentowaną bronią, jakby na paradzie. Po chwili zaczął krzyczeć grzmiącym głosem:

— Niech żyje cesarz!

Zbliżyłem się natychmiast do niego i biorąc go za ramię, rzekłem:

— Co ci to, Picarcie!

Obawiałem się, czy nie zwaryował.

— Co? — zapytał się, jak człowiek budzący się — alboż my nie jesteśmy na przeglądzie wojska?

Przeraziłem się naprawdę i odpowiedziałem mu, że przegląd ma być nie dziś, ale jutro i trzymając go silnie, przyśpieszyłem kroku, by dogonić żyda. Dwie łzy płynęły mu po policzkach:

— Co ja widzę — odezwałem się — stary żołnierz płacze!

— Pozwól mi płakać — odpowiedział — przynosi mi to ulgę! Smutek mnie gryzie i jeżeli jutro nie dojdziemy do pułku, to będzie po mnie!

— Bądź spokojny, będziemy tam dziś jeszcze, a najpóźniej jutro rano. Jakto, ty mój dzielny towarzyszu, rozczulasz się jak baba?

Nie wiem, co się ze mną dzieje! Ale to robi mi dobrze. Wszystko to głupstwo, I ja przechodziłem to samo owego wieczoru, gdyśmy się spotkali, a serce moje napełniło się nadzieją od chwili, w której nie byłem już sam jeden.

W czasie naszej rozmowy przewodnik nasz zatrzymywał się często, nadśluchował i rozglądał się dokoła.

Naraz rzucił się Picart na ziemię, rozkazując tonem ostrym:

— Milczenie!

— Otóż i koniec! — szepnąłem do siebie. —

Mój stary towarzysz zwaryował! Co ja z nim pocznę?

Tymczasem ten, podniósłszy się, zaczął krzyczeć o wiele ciszej niż przedtem:

— Niech żyje cesarz! Jesteśmy uratowani!

— Jakto? — odezwałem się.

— Tak — powiedział — posłuchaj no!

Rzeczywiście, usłyszałem wyraźnie odgłos armat.

— Oddycham — odezwał się — cesarz nie jest więc jeńcem, jak nam powiedział ten emigrant. Ta wiadomość sprawiła mi tyle bólu, że umierałem prawie z wściekłości i smutku. Chodźmy teraz w stronę strzałów.

Żyd upewniał nas, że strzały owe pochodzą od strony Berezyny. Stary mój druh był tak wesoły że zaczął sobie przyśpiewywać:

Les Autrichiens disaient tout bas;
 Les Français vont vite en besogne,
 Prenous, tandis qu'ils n'y sont pas,
 L'Alsace et la Bourgogne,
 Ah! tu l'eu souviendras, la-ri-ra,
 Du départ de Boulogne.

Po godzinie marszu droga stała się prawie nie do przebycia, do tego stopnia, że zaczęło się zdawać naszemu przewodnikowi, że zmylił drogę. Strzały słychać było jednak coraz bliżej i wyraźniej. Mogło być wtedy południe. Naraz wszystko ucichło. Zerwał się szalony wicher i śnieg zaczął padać, ale tak gęsty, że o kilka kroków przed sobą nic nie widzieliśmy. Zaczynałem się już niepokoić, choć nie dawałem poznać tego po sobie, a Picart przeklinał wi-

cher, jako przyczynę zamknięcia armat. Krążyliśmy blisko godzinę, nie mogąc znaleźć drogi, zatrzymywani co chwila przez drzewa, lub też zapadaliśmy się w śnieg. Zmęczeni strasznie, zatrzymaliśmy się w końcu i napiwszy się trochę owej wstrętnej żydowskiej wódki, zdecydowaliśmy się dojść do głównego traktu, przedtem jednak spytałem się żyda, czy w razie nieodszukania drogi umiałby doprowadzić nas do owych poczciwych Polaków. Zapewnił nas, że doprowadzi, lecz chcąc się w tem upewnić, Picart ponacinał drzewa, koło których przechodziliśmy.

Zrobiwszy jakie pół mili w tym kierunku, natrafiliśmy na jakąś karcznię. Siły nas opuszczały już, dlatego postanowiliśmy zatrzymać się w niej na jakie pół godziny, by odpocząć i pożywić się, jak również nakarmić konia. Wewnątrz znaleźliśmy suche drzewo, dwie szerokie ławy i trzy kozuchy, które postanowiliśmy zabrać z sobą; mogły się one przydać nam bardzo w razie spędzenia nocy w lesie.

Rozgrzaliśmy się i zjedliśmy kawałek koniny, której żyd nie chciał tknąć, ale wyciągnął trochę chleba z owsianej mąki, pełnego słomy, którym musiał się z nami podzielić. Przysięgał na Abrahama, że nic więcej nie ma przy sobie. Następnie napił się każdy trochę wódki; żyd nie chciał pić jej z kieliszka, z którego myśmy pili, tylko nalał ją sobie na rękę i tak wypił.

Do następnej karczmy była jeszcze dobra godzina drogi, dlatego postanowiliśmy wyruszyć zaraz, by nas noc nie zaskoczyła. Droga była strasznie

męcząca, ale przewodnik nasz zaczął pocieszać nas, że trochę dalej będzie o wiele lepszą.

Dla dopełnienia miary naszych nieszczęść, śnieg zaczął sypać, zakrywając nam zupełnie drogę, w końcu żyd rozplakał się, mówiąc, że nie wie, gdzie jesteśmy. Chcieliśmy zawrócić, ale śnieg padał właśnie w tamtą stronę, zmuszeni byliśmy schronić się pod drzewo i oczekiwać na zmianę pogody. Zaczęliśmy drzeć z zimna. Picart przeklinał, chwilami zaś mruczał pod nosem:

Ah! tu l'eu souviendras, la-ri-ra,
Du départ de Bouiogne!

Żyd zaś powtarzał: „Boże! mój Boże!“ Ja tylko milczałem, lecz myśli moje były nie wesole. Bez skóry niedźwiedziej i bez czapki rabina prawdopodobnie zmarzłbym był wtedy.

Gdy pogoda cokolwiek się poprawiła, probowaliśmy zorientować się, ale po burzy nastąpiła straszna cisza, że nie można było poznać, gdzie jest południe, a gdzie północ. Ruszyliśmy na los szczęścia, ale po chwili zauważyłem, żeśmy krążyli tylko wkoło. Picart nie przestawał kląć, ale teraz przeklinał żyda.

Po jakimś czasie dotarliśmy do niewielkiej polany, która wzbudziła w nas nadzieję odnalezienia drogi, ale próżne były poszukiwania. Naraz ujrzałem, jak Picart rozgląda się na wszystkie strony, wymachując pałaszem. Żyd, myśląc, że przyszła ostatnia jego godzina, zaczął przeraźliwie krzyczeć i uciekać, ale zabrakło mu sił i padłszy na kolana, błagał o zmiłowanie tego, który nie zamierzał mu nic złego uczy-

nić; Picart wyciągnął pałasz dlatego, by odciąć gałęz a sosny i rozpoznać po tem kierunek drogi. Po chwili wyrzekł:

— Ruszajmy na południe.

Nie mieliśmy czasu do stracenia, bo noc zbliżała się, ruszyliśmy zaraz, uważając ciągle, by nie stracić obranego kierunku. W jakie pół godziny natrafiliśmy w końcu na drogę dość szeroką, w której żyd poznał właściwy gościniec. Była godzina czwarta. Przebywszy dość duże zamarznięte jezioro, ruszyliśmy ową drogą, ale zaledwie dostaliśmy się na nią, ujrzeliśmy czterech ludzi, przypatrujących się nam. Przygotowaliśmy się do obrony, ale widząc, że więcej się boją nas, niż my ich, podeszliśmy do nich. Byli to żydzi, znajomi naszego, przybywający ze wsi, położonej na wielkim trakcie i zajętej przez Francuzów. Była ona tak spustoszoną, że nie pozostało ani jednej w niej chaty. Oddaloną była od nas tylko o dwie mile, ale żydzi nie radzili iść tam dzisiaj, bo moglibyśmy byli zabłądzić, ale proponowali spędzić noc w stodole, poczem opuścili nas, życząc dobrej nocy. Niezadługo potem dostaliśmy się do owej stodoły, pełnej słomy i drzewa. Rozpaliliśmy sobie zaraz ognisko i zjedliśmy kawałek koniny. Dla bezpieczeństwa postanowiliśmy czuwać po kolei co dwie godziny i mieć gotową nabitą broń.

Spąłem dość długo, gdy zbudzony zostałem przez konia, który rżał, czując zbliżających się wilków. Picart wziął długi kij; obmotał go słomą, którą zapaliwszy, pobiegł do wilków, odpędzając ich na chwilę. Wrócił dumny ze zwycięstwa, zaledwie jednak położył się na słomie, gdy one po-

wróciły z jeszcze większą wściekłością. Wtedy, wia-
wszy szczapę płonącego drzewa, rzucił ją na jakie
dwanaście kroków, poczem rozkazał żydowi nanosić
tam suchego drzewa dla rozpalenia ogniska. Wilk
nie ukazały się już więcej.

Koło godziny 4-ej obudził mnie Picart, spra-
wiwszy przyjemną niespodziankę, ugotował bowiem
zupę z kaszy i mąki. Zjedliśmy wszystko z dosko-
nałym apetytem. Pomyśleliśmy także i o koniu. Po-
prawiwszy sobie obuwie, wziąłem kawałek węgla,
napisałem na podłodze dużemi literami, następujące
słowa:

„Dwaj grenadyerzy z gwardyi cesarza Napo-
leona, zbłąkani w tym lesie, przepędzili noc z dnia
24 na 25 listopada 1812 roku w tej chacie. W wi-
gilię dnia tego przygarnięci zostali przez złą i lito-
ściwą polską rodzinę“.

Poczem podpisałem się.

Ruszyliśmy zaraz w drogę i po jakich pięćdzie-
sięciu krokach koń nasz nie chciał iść dalej. Żyd
wskazał nam dwóch wilków, siedzących przy drodze.
Picart strzelił i obaj zniknęli. W pół godziny potem
byliśmy uratowani.

Spotkaliśmy najpierw dwunastu żołnierzy nie-
mieckich, należących do armii. Zatrzymaliśmy się,
by zasięgnąć od nich wiadomości. Spojrzeli na
nas, nic nie mówiąc. Znajdowali się wszyscy w opła-
kanym stanie, trzech z nich ledwie żyło. Ponieważ
żyd spełnił już swe zadanie, daliśmy mu wszystko,
co miał obiecane, polecając tylko, by raz jeszcze po-
dziękował w naszym imieniu rodzinie polskiej.

Oddaliliśmy się o jakie dziesięć kroków, gdy

Niemcy otoczyli nas naraz, domagając się, byśmy im oddali na zabicie konia. Dwóch schwyciło już za uzdę, ale Picart, który był trochę głuchy, krzyknął, że jeżeli nie puszczą natychmiast uzdy, to rozprawi się z nimi, a ponieważ Niemcy nie ustępowali, wyciągnął szablę i uderzył nią silnie jednego z napastników, a następnie, oddając mi uzdę, stanął twarzą do Niemców, mówiąc:

— Zbliźcie się, jeżeli macie odwagę!

Widząc, że żaden z nich nawet się nie ruszył, wyjął z kotła trzy spore kawałki mięsa i dał im je, ja zaś ze swej strony dodałem im jeszcze ze trzy funty.

Trochę dalej natrafiliśmy na dwa prawie wygasłe ogniska, otoczone żołnierzami. Dwóch z nich odpowiadało nam, a jeden krzyknął:

— Towarzysze, zabijcie konia, a mnie dajcie trochę krwi!

Nic na to nie odpowiedzieliśmy, tylko ruszyliśmy dalej, a kiedyśmy weszli nakoniec na trakt, odezwał się do Picarta:

— Jesteśmy przecież uratowani!

Jakieś indywiduum, w nawpół spalonym ubra-
niu, odezwało się, patrząc na mnie drwiąco i wzru-
szając ramionami:

— Jeszcze nie.

Wiedział lepiej niż ja, co zaszło.

Po kilku chwilach drogi spotkaliśmy oddział saperów, składający się z trzydziestu ludzi, samych inżynierów. Byli to ci, co stali w Orszy, a ponieważ dopiero od czterech dni połączyli się z nami, nędza i głód nie dała im się jeszcze uczuć. Szli ku Bere-

zynie. Spytałem się oficera, czy nie wie, gdzie jest gwardya. Odpowiedział na to, że idzie za nami i jeżeli zechcemy trochę poczekać, to niezadługo ją ujrzymy. Radził nam jeszcze, byśmy ukryli konia, dlatego, że cesarz rozkazał oddawać wszystkie artyleryi lub rannym. Poszliśmy za jego radą i ukryliśmy go w krzakach.

Nie jestem w stanie opisać całej nędzy i wszystkich obrazów opuszczenia, jakie widziałem i w jakich brałem udział, jak również i tego, co miałem jeszcze przenieść i czego miałem być świadkiem, a co pozostawiło po sobie w mojej duszy straszne i niezatarte wspomnienia.

Było to 25 listopada, około godziny 7-ej rano. Rozmyślałem nad tem wszystkim, gdy ukazały się pierwsze pułki armii. Zwróciłem na nie uwagę Picarta. Pierwsi jechali generałowie, kilku na koniach, reszta pieszo, następnie wyżsi oficerowie, szczątki batalionu dziewiątego, uformowanego w dniu 22-im, a który już po trzech dniach nie istniał. Piesi postępowali z trudnością, bo prawie wszyscy mieli odmrożone nogi, obwinięte w łachmany i kawalki kozuchów, umierający z głodu. Za nimi szły szczątki kawaleryi z gwardyi, a następnie dopiero cesarz pieszo z kijem w ręku, ubrany w szary płaszcz, podbity futrem, na głowie miał aksamitną amarantową czapkę, obłożoną czarną lisiurą. Po prawej stronie szedł także pieszo król Murat, a po lewej książę Eugeniusz, wice-król włoski, następnie marszałek Berthier, książę Nefchâtel, Néy, Mortier, Lefebre i inni

marszałkowie i generałowie, których korpusy już nie istniały.

Gdy minęli nas, cesarz wsiadł na konia, jak również i większa część tych, co mu towarzyszyli. Całemu temu orszakowi towarzyszyło od 700 do 800 oficerów i podoficerów, starających się utrzymać porządek. Były to szczątki 60,000 ludzi. Za nimi szła pieszo gwardya cesarska w wielkim porządku. Biedny Picart, który nie widział armii od miesiąca, patrzył na nią w milczeniu, ale jego gwałtowne ruchy pozwalały domyślać się, co cierpi. Duże łzy płynęły mu po policzkach i spadały na wąsy, na których zamieniały się w lód. Naraz odezwał się:

— Doprawdy, sam nie wiem, czy śpię, czy czuwam. Płaczę na widok cesarza, idącego pieszo, jego tak niegdyś olbrzymiego i napełniającego nas taką dumą! Czyś zauważył, jak się na nas spojrzal?

Rzeczywiście, przechodząc, obrócił cesarz w naszą stronę głowę. Patrzył się na nas, jak zwykle przypatrywał się opuszczonym gwardzistom, szczególnie w tych dniach nędzy; spojrzenie jego miało taki wyraz, jakby nas chciał przez nie natchnąć zaufaniem i odwagą. Picartowi zdawało się, że cesarz go poznał, zresztą było to możliwem.

Picart z obawy, by nie wydać się śmiesznym, ściągnął swój biały płaszcz, a następnie, choć jeszcze ciągle bolała go głowa, zdjął swój czepiec. Wkrótce zapomniał o sobie, by płakać nad straszliwem położeniem cesarza i swych towarzyszków.

Nakoniec ukazali się starzy grenadyerzy. Po długu mnie, brakowało ich więcej, niż połowy. Gdy się zbliżył batalion Picarta, połączył się z nim, mówiąc:

— Oto jestem z wami, towarzysze, i nie opuszczę was już nigdy, aż do śmierci.

Zaraz go otoczono i zabrano konia, a ja poszedłem za nimi, by otrzymać swą część, ale zaczęto wołać:

— Koń należy do pułku, ponieważ jest w nim jego właściciel!

— Prawda — odpowiedział Picart — że należę do waszego pułku, ale sierżant zabił pierwotnego właściciela konia.

— Jeżeli tak — odezwał się jeden ze znajomych mi oficerów — dostanie i on swą część!

Gdy pułk się zatrzymał, jeden z oficerów zaczął wypytywać Picarta, z kąd przychodzi i jakim sposobem znalazł się na przodzie, i że patrol, z którym był wysłany, wrócił już od trzech dni. Ponieważ odpoczynek trwał dość długo, opowiedział mu swoje przygody, dopytując się co chwila o swych przyjaciół, lecz prawie wszyscy zginęli. W końcu, z obawą, spytał się o swego serdecznego towarzysza:

— A gdzie jest Rougeau?

— W Krasnem — odpowiedział mu doboosz.

— Rozumiem!

— Tak — ciągnął doboosz — zabity został granatem, który oberwał mu dwie nogi. Przed śmiercią nazaczył cię wykonawcą swego testamentu, prosił mnie, bym ci oddał jego krzyż, zegarek i mały worek z pieniędzmi i rozmaitemi rzeczami, które masz oddać jego matce, a w razie, gdybyś nie mógł dojść do Francji, byś powierzył tę misję komu innemu.

Kończąc te słowa przy całym pułku, doboosz, imieniem Patrycy, dobył ze swego worka wszystkie te przedmioty, mówiąc do Picarta:

— Oddaję ci je takimi, jakimi otrzymałem je z rąk umierającego, on wydobył je z worka, który podłożyliśmy mu pod głowę, poczem zaraz skonał.

— Jeżeli tylko mieć będę szczęście powrócić do Francji, wypełnię chętnie ostatnią wolę mego towarzysza — odpowiedział Picart.

Ponieważ ruszano już, pożegnałem się z nim, obiecując mu, że przyjdę do niego wieczorem na biwaku.

Pułk mój stanowić miał awangardę. Za grenadierami szło 30 tysięcy ludzi, o rękach i nogach odmrożonych, bez broni, bo i tak użyćby jej nie mogli. Generałowie, pułkownicy, oficerowie, żołnierze, kawalerzyści i maruderzy wszystkich narodowości maszerowali zgnębieni, ubrani w płaszcze dziurawe i popalone, poobwijani w rozmaite futra, byleby się tylko zabezpieczyć od zimna. Szli, nie skarżąc się owszem, gotowi walczyć w razie napadu nieprzyjaciela.

Ta masa ludzi, przechodząc, pozostawiała zawsze po sobie martwych i umierających. Blisko godzinę czekałem na przejście wojska. W końcu ściągnął długi szereg najnędzniejszych, idących tylko machinalnie. Był to już ostatni stopień nędzy i pewno nie przeszli już Berezyny. Nakoniec szły resztki młodej gwardyi, tyralierzy i kilku wołyżerów, dowodzonych przez pułkownika Luron w bitwie pod Krasnem. Za nimi szła artylerya i kilka furgonów. Po chwili ukazali się strzelcy, razem z którymi pułk nasz tworzył brygadę; liczba ich zmniejszyła się znacznie, wreszcie ujrzałem moich. Adjutant, major Rouston, dostrzegł mnie pierwszy i wykrzyknął

— To ty, biedny Bourgogne'u! Myśleliśmy już, że nie żyjesz, a oto jesteś wśród nas! Czy nie spotkałeś gdzie naszych?

Odpowiedziałem mu na to, że od kilku dni kryliśmy się we dwóch po lasach, aby nie spotkać Rosyan. Rozstawszy się z majorem, zająłem swoje miejsce w szeregach. Towarzysze, gdy się dowiedzieli o mojem przybyciu, otoczyli mnie kołem, dopytując się, co się ze mną działo. Byłem tak wzruszony. witając się z nimi, jakbym dostał się do rodziny. Rzuciwszy okiem po towarzyszach, ujrzałem, że liczba ich znacznie się zmniejszyła. Brakowało kapitana, powiedziano mi, że jedzie w dali na koniu, gdyż odpadły mu wszystkie palce u rąk i nóg.

Połączyliśmy się ze strzelcami. Chciało mi się straszliwie spać, jak może nigdy jeszcze w życiu, a tu trzeba było maszerować. Towarzysze wzięli mnie pod ręce, nie dając zasnąć. Na szczęście, mróz dnia tego był o wiele mniejszy, inaczej byłbym pewnie zasnął na wieki.

Nad wieczorem doszliśmy do Borysowa. Cesarz zamieszkał w pałacu, wokoło którego rozłożyła się biwakiem gwardya. W nocy mróz znacznie się zwiększył. Nazajutrz d. 26-go zajęliśmy pozycję nad brzegiem Berezyny, a cesarz od samego ranka znajdował się już w Studziance, niewielkiej wiosce, leżącej na wzgórzu nad rzeką.

Przez całą noc pracowano nad budową mostu; dzielni ci ludzie stali w wodzie po ramiona, wśród kry i lodu, narażając swe życie dla uratowania armii. Mówiono mi, że sam cesarz przynosił im wino.

O godzinie 2-jej w południe ukończono pierwszy

most. Budowa jego była mozolną i trudną. Zaraz też przeszedł po nim korpus marszałka Oudinot, aby odeprzeć Rosyan, chcących przeszkodzić przebyciu rzeki. Drugi most dla kawaleryi i artyleryi ukończono o godz. 4-ej.

W kilka chwil po naszym przybyciu nad Berezynę położyłem się spać, zawiąawszy się w niedźwiedzią skórę, a mimo to drżałem, jak w febrze. Miałem gorączkę, zdawało mi się, że jestem u ojca, że zajadam kartofle, szynkę i popijam ją piwem. Nie wiem, jak długo trwał ów stan, ale przypominam sobie, że towarzysze dali mi doskonałego gorącego rosolu z konia, po którym spociałem się, pomimo mrozu. Przepędziłem resztę dnia i nocy, nie ruszając się już wcale.

Nazajutrz d. 27-go czułem się trochę lepiej, ale strasznie byłem osłabiony. Dnia tego cesarz przebył Berezynę z częścią gwardyi i tysiącem ludzi z korpusu marszałka Ney'a. Pułk nasz pozostał na brzegu. Usłyszałem naraz, że ktoś mnie woła, obejrzałem się i poznałem Péniaux, który dowiedziawszy się, że jestem chory, szukał mnie, aby przyjść mi z pomocą. Podziękowałem mu za dobre chęci, przyczem zacząłem wątpić o mojem przejściu przez Berezynę i dostaniu się do Francyi, prosząc go, aby za powrotem do kraju odwiedził moich rodziców i opowiedział im moje smutne losy. Ofiarował mi pieniądze, ale mu za nie podziękowałem, gdyż miałem przeszło 800 franków, które oddałbym chętnie za kartofle, szynkę i piwo.

Pokazał mi jeszcze dom, w którym stanął cesarz, dodając, że prześladuje nas fatum, bo dom ów

był składem mąki, ale Rosyanie wszystko zabrali. Uściskał mi rękę i poszedł na most.

Gdy odszedł, zrozumiałem dopiero, że coś mi mówił o składzie mąki w domu, gdzie stał cesarz. Wstałem bardzo słaby i pociągnąłem w tamtą stronę. Ponieważ cesarz go opuścił, drzwi wszystkie były pootwierane. Przebiegłem wszystkie pokoje, pełne śladów mąki, ale teraz próżne, dopiero w jednym spostrzegłem w podłodze dziury. Usiadłem i wy dobyłem z nich mąkę, pomieszana z ziemią, którą starannie schowałem w chustkę. Po godzinie takiej pracy zdobyłem ze dwa funty mąki i wyszedłem szczęśliwy i zadowolony. Skierowałem się w stronę biwaku naszego, przy którym grzało się kilku żołnierzy z gwardyi, pomiędzy którymi był znajomy mi muzykant. Zacząłem dawać mu znaki, aby szedł za mną, a dla zachęty pokazałem mu paczkę z mąką. Gdy przyszedł do mnie niechętnie, zaproponowałem mu, abyśmy upiekli do spótki placek, na co się chętnie zgodził. Gdyśmy go upiekli dałem mu połowę, a pozostałą podzieliłem się z tymi, co prowadzili mnie pod ręce.

Obok ogniska siedział jakiś stary żołnierz w pełnem uzbrojeniu; spytałem się go, coby to miało znaczyć. Odpowiedział mi śmiechem. Był on chory, śmiech ten był śmiechem śmierci, gdyż w nocy umarł. Żona jego była markietanka, straciła wszystko: wozy, konie, pakunki i dwoje dzieci. Pozostała jej tylko rozpacz i umierający mąż. Nieszczęśliwa, jeszcze młoda, siedziała na śniegu, trzymając głowę umierającego męża na kolanach. Nie płakała, bo boleść jej była już za wielką. Wsparta o jej ramię, stała mło-

da, trzynastoletnia dziewczyna, piękna jak anioł. Było to ostatnie jej dziecic, płaczące gwałtownie. Łzy jej kapaly i zamarzały na ojcowskiej twarzy. Ubrana była w szary żołnierski płaszcz i kozuch. Nikogo nie było obok, coby je mógł pocieszyć. Zrobiliśmy wszystko, aby je uratować, lecz czy udało się to, nie wiem. A podobne sceny widzieć można było na każdym kroku.

Towarzysze moi wypytywali się, jak spędziłem trzy dni mojej nieobecności. Opowiedzieli mi, że w czasie marszu dnia 23-go spostrzegli na drodze 9 korpus, ustawiony batalionami, który wołał: „Niech żyje cesarz!“ Nie widzieli go od pięciu miesięcy. Korpusowi temu nie brakowało żywności nigdy i nie cierpiał on takiej nędzy, jak my, to też na widok nasz oniemieli i wierzyć nie chcieli, że to ta sama armia, która szła do Moskwy taka piękna i liczna, a wraca teraz taka zniszczona i mała.

Drugi korpus, dowodzony przez marszałka Oudinot, również 9, pod wodzą marszałka Victora księcia de Bellune i polski, pod wodzą generała Dąbrowskiego, nie chodził do Moskwy, ale pozostał na Litwie. Od kilku dni walczyły one z Rosyanami, którym odebrali znaczną część bagaży. Nieprzyjaciel, oddalając się, spalił jedyny most na Berezynie, co zmusiło nas do zatrzymania się w lasach, wszystkich złączonych razem.

Kobiety i dzieci rozpaczały i głośno płakały. Zauważono, że mężczyźni o wiele więcej cierpieli tak moralnie, jak i fizycznie, niż kobiety. Widziałem je, znoszące z godną podziwu odwagą wszystkie niewygody i trudy. Przynosiło to nam wstyd, że nie

umieliśmy znosić tego z taką odwagą i rezygnacją. To też zginęło nie wiele kobiet, nie licząc tych, które potopily się w Berezynie.

Noc zastała nas dosyć spokojnych. Każdy schronił się do swego biwaku. I zadziwiająca stała się wtedy rzecz, przez całą noc z dnia 27 na 28 ani jedna osoba nie przeszła przez most. Spałem całą noc, choć miałem febrę i gorączkę, gdy obudził mnie wystrzał armatni. Był już dzień, 7 godzina rano. Wstawszy i wziąwszy broń, przeszedłem most absolutnie sam jeden, nie powiedziawszy o tem nikomu,

Gdy znalazłem się już na drugiej stronie, ujrzałem po prawej stronie jakiś duży barak, w którym spał cesarz i gdzie się jeszcze znajdował. Ponieważ drżałem ciągle w febrze, zbliżyłem się do ogniska, przy którym kilku oficerów rozpatrywało mapę, ale przyjęto mnie bardzo nieprzyjaźnie, tak, że zmuszony byłem oddalić się. Jeden z żołnierzy z naszego pułku zawiadomił mnie, że pulk nasz przechodzi już most, poczem uda się na pomoc marszałkowi Oudinot, walczącemu po lewej stronie. Postanowiłem połączyć się z wojskiem, mówiąc sobie, że lepiej zginąć od kuli, niż umrzeć z głodu i mrozu. Na drodze spotkałem naszego kaprała, wlokącego się z trudem, poszliśmy razem ku pułkowi, podtrzymując się nawzajem. Niedaleko napotkaliśmy ognisko, do którego poprowadziłem go, gdyż miał ciągle febrę. Za ledwie dotarliśmy do ognia, kula karabinowa trafiła go w piersi, kładąc trupem na miejscu. Na ten widok nie mogłem powstrzymać się od okrzyku: „Biedny Marceli! Jesteś nareszcie szczęśliwym!“ W tej

że chwili usłyszałem, że i marszałek Oudinot ranionym został.

Pułkownik, który przyszedł do nas, widząc mnie tak ciężko chorego, rozkazał mi dojść do mostu i tam oczekiwać na naszych, aby zebrać ich razem i dopiero złączyć się z pułkiem. Gdy do niego dotarłem, panował już na nim straszliwy nieład. Ludzie, którzy nie skorzystali z wolnego przejścia w nocy i rankiem, cisnęli się teraz jeden przez drugiego, aby przebyć most.

W chwili, gdy nadszedłem, podszedł do mnie nasz kapral, przewany Dużym Janem, dopytując się mnie z płaczem, czy nie widziałem gdzie jego brata. Na moją przeczącą odpowiedź powiedział mi, że od bitwy pod Krasnem nie opuszczał go ani na chwilę, ponieważ był chory na febrę, dopiero dziś rano przez jakąś dziwną fatalność został z nim gwałtownie rozdzielony, że szukał go wszędzie, dopytując się o niego towarzyszków, że przebył w ten sposób most, że jeżeli go nie znajdzie, to zginie.

Zaproponowałem mu, aby pozostał ze mną przy moście, że tu możemy czekać na niego, ale zacny ten chłopiec nie chciał czekać, tylko, oddając mi broń swą i worek, prosił, abym je zachował w razie, gdyby nie powrócił, poczem chciał wrócić na drugą stronę. Zatrzymałem go, wskazując na zmarłych i konających, których most był pełen, a którzy zagradzali drogę innym, chwytając często idących za nogi, aby razem z nimi stoczyć się później w nurty Berzyny. Lecz Duży Jan nie słuchał mnie wcale. Z oczyma utkwionemi w ten przerażający widok stał koło mnie; chwilami zdawało mu się, że widzi

swego brata wpośród tego tłumu i wtedy, słuchając tylko głosu rozpaczy, wdzierał się na trupy, ale natychmiast spychano go z powrotem. Był on bardzo silnym, to też nie ustąpił im, ale w końcu dotarł do tego, który miał być jego bratem. Przekonawszy się o swej pomyłce, tembardziej postanowił dostać się na brzeg przeciwny, ale nic odwieść go nie mogło, nabrał tylko nowych sił, podniósł się, chwytając za nogi jakiegoś kirasyera, ten znów dla utrzymania równowagi schwycił się swego towarzysza, który przewrócił się i wpadł do Berezyny, pociągając za sobą Dużego Jana i kirasyera. Powiększyli liczbę trupów i tak już znaczną.

Obaj kirasyerzy zniknęli pod lodem, ale Duży Jan był od nich szczęśliwszym, gdyż schwycił się grzywy jakiegoś konia, na którego grzbiet wydostał się później, błagając o pomoc przechodzących. Saperzy rzucili mu linę, którą schwycił i obwiązał się nią wokół, poczem wyciągnęli go na drugi brzeg. Nie widziałem go już więcej, dowiedziałem się tylko później, że znalazł swego brata, ale już konającego i z tego powodu wpadł w rozpacz. Tak zginęło trzech braci; trzeci z nich był w pułku 2-im ułanów. Po powrocie do Paryża widziałem się z jego rodziną, która dopytywała się mnie o nich. Nie mogłem odebrać im całej nadziei, powiedziałem więc, że dostali się do niewoli, choć byłem pewny, że zginęli wszyscy.

Podczas tej klęski gwardziści ciągle jeździli, szukając suchego drzewa dla cesarza. Każdy oddawał to, co miał najlepszego, nawet umierający zdoływali się na te słowa: „Weźcie to dla cesarza!”

Koło godziny 10-ej most, zbudowany dla kawalerji, zapadł się pod jej ciężarem, pociągając za sobą mnóstwo ludzi. Nieład jeszcze się zwiększył, gdyż teraz ścisnęli się wszyscy na pierwszy, tak, że nawet myśleć o swobodnem przejściu nie można było. Ludzie, konie, wozy, markietanki z dziećmi, wszystko kotłowało się razem, pomimo nawoływań marszałka Lefebre, który stał przy wejściu, aby utrzymać jaki taki porządek, lecz w końcu zmuszony został do przebycia mostu, porwany burzą ludzką.

Zebrałem już wkoło siebie pięciu naszych żołnierzy, z których trzech zgubiło swą broń. Oczywiście miałem ciągle utkwione w most; ujrzałem jakiegoś człowieka w białym płaszczu, schodzącego z mostu, a popychanego przez tłum, który już na lądzie przewrócił go, lecz ten powstał, choć z trudem, aby za chwilę paść znów przy naszym ognisku. W takim położeniu pozostał chwilę, a sądząc, że już nie żyje, zbliżyłem się do niego, aby zerwać zeń płaszcz, gdy podniósł głowę i poznawszy mnie, rzucił się z jękiem do moich kolan, wołając:

— Och, sierżanciel! Co za nieszczęście! Straciłem wszystko: wozy, konie, futra, bieliznę! Pozostał mi tylko smutek, który pochodzi aż z Hiszpanii. Lecz i ten straciłem w czasie przebycia mostu, niesiony przez innych!

Był to puszkarz naszego oddziału. Zwróciłem mu uwagę na to, że powinien uważać się za szczęśliwego i dziękować Opatrzności, że pozwoliła mu przenieść dotąd taką nędzę.

Liczba ludzi, ciągle się zwiększająca koło naszego ogniska, zmusiła nas do opuszczenia go i do

rozpalenia niedaleko drugiego. Nieład zwiększał się ciągle, a w chwili, gdy marszałek Victor został zaatakowany przez Rosyan i kule padać zaczęły w zbite masy, dosięgnął straszliwych rozmiarów. Dla opełnienia miary nieszczęść, zaczął dąć szalony wicher i padać gęsty śnieg. Nieporządek ów trwał cały dzień i noc; przez cały ten czas Berezynę napelniała się trupami ludzi i koni, wozami pełnymi rannych i chorych, a tumult zwiększył się jeszcze, gdy koło godziny 8-ej wieczorem marszałek Victor rozpoczął odwrót po górach z ciał ludzkich, pozostawiając na drugim brzegu 9-ty korpus, który miał przejść ostatni.

Cofnąłem się z siedemnastu ludźmi z pułku i sierżantem Rossière, prowadzonym przez żołnierza dlatego, że prawie oślepił i ciągle miał febrę. Przez litość dałem mu swą niedźwiedzią skórę, która wskutek śniegu padającego straszliwie zmokła, a później wysuszona przy dużym ogniu, tak stwardniała, że była niemożliwą do użycia i musiałem ją porzucić, przykrywszy nią przedtem kilku umierających.

Przebyliśmy bardzo złą noc. Wielu żołnierzy z gwardyi cesarskiej zmarło. Koło godziny 7-ej rano dnia 29 listopada podszedłem do mostu zobaczyć, czy niema tam naszych żołnierzy. Ci nieszczęśliwi, nie korzystając z wolnego przejścia w nocy, rzucili się znów całą masą na most, do spalenia którego czyniono już przygotowania. Wielu rzucało się w nurty rzeki, spodziewając się przepłynąć ją, ale żaden nie zdołał wylądować. Stali w wodzie po ramiona, ale schwytani silnym mrozem, ginęli nędźnie. Naraz ujrzałem na moście markietankę z mężem, który niósł dziecko na głowie. Było to nad moje siły,

nie mogłem się już na to patrzeć. Oddalając się, ujrzałem, jak jakiś wóz z rannym oficerem wpadł w wodę z końmi i ludźmi, otaczającymi go. W końcu odszedłem od mostu. Po chwili podłożono pod most ogień i wtedy to zaczęły się dziać sceny niemożliwe do opisanía. Szczegóły, jakie tu opisałem, są zaledwie podmalowaniem tego okropnego obrazu.

Dowiedziałem się, że pułk już wyruszył, opuszczając wczorajszą pozycję. Rozkazałem wtedy ludziom, których zebrałem, aby każdy udał się do swego oddziału.

Okolo godziny 9-ej ruszyliśmy. Przedostawszy się przez kawał ziemi z ogromnemi wybojami, na których pozostały niezniszczone przez Rosyan mosty, zatrzymaliśmy się, aby czekać na opóźniających się. Pokazało się słońce. Usiadłszy na worku Dużego Jana, zasnąłem, ale zbudził mnie oficer Tarin przy pomocy towarzyszy. Był to już sen śmierci i straszliwie gniewałem się, że mnie zbudzono.

Ciągle przybywali ludzie od strony Berezyny. Całowano się i witano tak, jak gdybyśmy przebyli Ren, od którego oddaleni byliśmy o 400 mil. Zdawało się już nam, że uratowaliśmy się i dlatego załowano tych, którzy pozostali jeszcze w tyle.

II.

Z Berezyny do Wilna. — Żydzí.

Od pół godziny maszerowałem na przedzie oddziału i spotkałem się z sierżantem strzelców, którego znałem. Ponieważ miał minę dość zadowolona

(rzecz bardzo rzadka), spytałem się go, czy nie ma czego do jedzenia?

— Mam — odpowiedział — kilka kartofli, które znalazłem w tej wiosce!

Spojrzałem wokoło i spostrzegłem, że rzeczywiście byliśmy we wsi, a nie zauważyłem tego dotąd, bo szedłem ciągle ze spuszczoną głową.

Na słowo kartofie zatrzymałem się, pytając się, w której chacie je znalazł. Pobiegłem tam śpiesznie o tyle, o ile mi nogi pozwalały, i znalazłem szczęśliwie po długich poszukiwaniach trzy małe kartofle, które ugotowałem na wpół na jakimś opuszczonem ognisku w obawie, aby mnie kto nie dojrzał, poczem zjadłem je z kawałkiem koniny, lecz bez apetytu, gdyż febra, dokuczająca mi od dni kilku, odebrała mi go. Jeżeliby potrwać miała jeszcze dni parę, zginąłbym wtedy niezawodnie.

Nadszedł pułk, zająłem w nim moje miejsce i ruszyliśmy do Zieimbina, gdzie znajdował się już cesarz z częścią gwardyi. Stał, patrząc się na drogę ku Borysowowi, ponieważ dano znać, że Rosyanie idą tamtędy. Wysłano na zwiady, ale nieprzyjaciel nie ukazał się dnia tego wcale. Cesarz nocował w Kamieniu z ½ połową gwardyi, a my rozłożyliśmy się biwakiem w okolicy.

Dnia 30-go listopada doszła nas wieść, że marszałek Oudinot, raniony pod Berezyną, dostał się do niewoli w czasie obrony Plesznicy, w której się schronił. Rosyanie, zdumieni spotkanym oporem, ugrupowali się na sąsiednim wzgórzu, z kąd kierowali oblężeniem do chwili, w której ukazały się wojska konfederacyi nadreńskiej i część gwardyi cesarskiej.

Przechodziliśmy koło chaty, w której zamknęli się nasi w liczbie dwudziestu pięciu i nie mogliśmy zrozumieć tego, że dwa tysiące kozaków nie ośmieliło się jej zdobyć, mając tak nielicznego przeciwnika, który walczył, co prawda, mężnie aż do śmierci.

Nazajutrz dnia 1-go grudnia wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Po godzinnym marszu dotarliśmy do wsi, w której schronili się strzelcy, oczekując na nas, aby ruszyć dalej razem. Dopytywałem się, czy nie dostanie tu czego. Powiedziano mi, że żydzi tu mają wódkę. Prosiłem, aby mnie tam zaprowadzono. Zwróciłem się do żyda o długiej brodzie, dość grzeecznie. z zapytaniem, czy niema wódki do sprzedania, na co odpowiedział mi opryskliwym tonem:

— Nie mam nic, Francuzi zabrali mi wszystko!

Nie mogłem mu na to nic odpowiedzieć, ponieważ znałem dobrze tę rasę ludzi, domyśliłem się, że tylko z obawy, iż nie dostanie za wódkę pieniędzy, tak mówił. Naraz młoda czternastoletnia dziewczyna zeskoczyła z pieca i zbliżając się do mnie, rzekła:

— Jeżeli dasz mi ten galon, to ja ci dam kieliszek wódki za niego!

Zgodziłem się na to chętnie. Wtedy zerwała mi srebrny galon, wartości 39 franków, a który zdobyłem w Moskwie, i zamieniła mi go kawałkiem sznurka. Gdybym pozwolił, zabrałaby mi ładownicę srebrną z chirurgicznymi narzędziami, poczem przyniosła kieliszek wstrętnej wódki, którą wypilem ledwie, tak mi się już żołądek ścisnął.

Młoda żydowka ofiarowała mi jeszcze małeńki serek, wielkości kurzego jaja, który starannie schowałem do tornistra.

Zaledwie wyszedłem na podwórze, gdy niedobra wódka uderzyła mi do głowy, zamiast pójść do żołądka. Zacząłem potaczać się i tańczyć, ale nie upadłem ani razu. W ten sposób dostałem się do pułku, gdzie wyprawiać zacząłem gorsze jeszcze rzeczy, gdyż wzięwszy jednego towarzysza pod ramię, zacząłem z nim tańczyć, przyśpiewując sobie. Zgrupowano się wokół mnie, dopytując się, co mi się stało. Za całą odpowiedź tańczyłem i śpiewałem dalej, dopiero sierżant z naszego pułku, wzięwszy mnie pod ramię, odprowadził kilka kroków, pytając się, zkad wracam. Odpowiedziałem mu, że piłem wódkę.

— A gdzie?

— Chodź za mną—odrzekłem.

Zaledwie jednak uszedłem kilka kroków, gdy uczulem, że chwyta mnie ktoś za ramię. Był to jeden z moich przyjaciół, sierżant Liégeois, który chciał dowiedzieć się, co mi się stało.

Gdy dostaliśmy się do żyda, powiedziałem im, że jeżeli mają galony, to dostaną wódki. Liégeois miał dużą futrzaną czapkę, otoczoną złotym galonem. I tym razem młoda żydówka zamieniła go na wódkę. Zaledwie jednak uszliśmy kilka kroków, gdy szaleństwo ogarnęło mnie na nowo, ale teraz i Liégeois odczuł to samo. Sierżant, chcąc nas doprowadzić do pułku, wziął nas obu pod ręce, ale przechodząc koło rowu, Liégeois stoczył się na stos trupów, leżących w nim, pociągając za sobą obu nas. Sierżant wydał okrzyk przerażenia, ale ponieważ nic mu się nie stało, podniósł się, pomagając i nam powstać, następnie zaczął przeklinać, a Liégeois śmiał się i tańczył.

Bylibyśmy się ztamtąd o własnych siłach nie wydostali, na szczęście, przechodził obok oddział Westfalczyków, którzy wydobyli nas, poczem usadowili na wozach, na których uspokoiliśmy się trochę. Złączywszy się z pułkiem, ruszyliśmy w drogę; po przejściu dobrej mili spotkaliśmy księcia Eugeniusza, wicekróla włoskiego, idącego na czele kilku oficerów i kilkunastu grenadyerów z gwardyi królewskiej. Był to dzień bardzo męczący, straciliśmy bowiem wielu ludzi. Wieczorem dotarliśmy do opuszczonej wioski, w której znaleźliśmy trochę słomy. Koniny było dosyć, lecz brakowało nam kotłów do gotowania jej, trzeba było zjeść ją upieczoną, za to przespaliśmy się pod dachem. W nocy kilkakrotnie zmuszony byłem wychodzić wskutek gorąca, do którego nie byłem oddawna przyzwyczajony.

Dnia 2-go grudnia opanowała mnie znów febra, uczuwałem takie zmęczenie, że po upływie godziny znalazłem się na końcu oddziału. Przeszedłem jakąś wioskę, w której było mnóstwo maruderów, nie zatrzymując się wcale. Trochę dalej stało kilku wojskowych koło ogniska, którzy byli zajęci pieczeniem mięsa. Przechodził wtedy tamtędy generał Maison, ujrzawszy ich, zaczął zwolywać, aby szli za nim, jeżeli nie chcą być wzięci przez rosyjską kawaleryę, której tylko co nie widać. Ludzie ci, zdemoralizowani i zgłodniali, nie słuchali już nikogo, zresztą nie chcieli im się opuszczać ogniska. Ruszyłem dalej, spotykając ciągle żołnierzy, których prosiłem, aby mnie nie opuszczali. Obiecali mi, że pójdą ze mną, gdyż jest im wszystko jedno, w którą mają iść stronę.

Wieczorem zatrzymaliśmy się w lesie dla spędzenia nocy. Zebrało się tu już mnóstwo żołnierzy z rozmaitych korpusów, pomiędzy nimi i grenadyery z 1-go pułku gwardyi, których dopytywałem się o Picarta. Powiedziano mi, że widziano go wczoraj, ale sprawiał zupełnie wrażenie waryata.

Dotąd nie przejrzałem jeszcze worka, który dostałem od Dużego Jana, ale teraz, będąc przekonany, że tenże nie żyje, otworzyłem go w obecności dwóch ludzi. Nie znalazłem w nim nic nadzwyczajnego, tylko chustkę z trochę kaszy. Jeden z naszych miał kociołek, ugotowaliśmy ją sobie zaraz. Były tam jeszcze zniszczone buty, ale ani jednej koszuli, której potrzebowałem tak bardzo.

Noc nie była zbyt mroźną, ale nad ranem zerwał się północny wichur, przynosząc z sobą dwadzieścia stopni mrozu. Zmuszeni byliśmy wyruszyć zaraz, nie chcąc zmarznąć na miejscu, nie wiedząc, gdzie idziemy i gdzie jesteśmy. Mróz zelżał trochę w czasie dnia, wieczorem dotarliśmy do opuszczonych domów z wygasającymi ogniskami, w których zatrzymaliśmy się na noc.

Nazajutrz był szalony mróz. Doprawdy, nie wiem sam, jak zdołałem przepędzić ów dzień, tak byłem cały dzień jak nieprzytomny; szliśmy za Polakami, którzy kierowali się ku Warszawie. Jeden z nich, mówiący po francusku powiedział, że znajdujemy się o pół mili od drogi, prowadzącej do Wilna. Chcieliśmy skierować tam swe kroki, ale zabłądziliśmy. Na drodze spotkaliśmy mnóstwo zgłodniałych i zmarzniętych żołnierzy, którzy dowiedziawszy się, że zabłądziliśmy, zaczęli płakać, jak dzieci.

Wieczorem rozłożyliśmy się biwakiem pod sośnami. Zabiwszy konia, rozdzieliliśmy go między sobą, poczem każdy piekł swą część. Postanowiono, że co godzina zmieniać się będą strażę, które postawiliśmy z obawy przed nieprzyjacielem, ścigającym nas ciągle. Około północy zerwał się szalony wichur, połączony ze śniegiem, który nie pozwalał nam zasnąć. Jakże gorzko owej nocy żałowałem mej niedźwiedziej skóry.

Nadedniem ruszyliśmy w drogę, pozostawiając siedmiu ludzi na biwaku, z których trzech już nie żyło, a czterech leżało bez przytomności.

Około godziny 8-jej rano dostaliśmy się na główną drogę, a około 4-jej po południu weszliśmy do wsi Molodeczno, w której nocował cesarz. Szukaliśmy tu napróżno jakiej chaty, wszystkie były już zajęte, znaleźliśmy tylko jakąś stodołę bez dachu, napół już zajęta.

Dowiedziałem się później, że cesarz z tej wsi datował swój dwudziesty dziewiąty buletyn, w którym zawiadamiał o zniszczeniu armii, a który sprawił tak silne wrażenie we Francji.

Dnia 5 bardzo rano ruszyliśmy dalej, idąc machinalnie za innymi i nie wiedząc, dokąd idziemy. Ten, który zatrzymał się na chwilę, nie potrzebował się obawiać zgubienia drogi, gdyż setki trupów służyć mu mogły za doskonałych przewodników. Byliśmy wieczorem o tyle szczęśliwsi na biwaku niż dni poprzednich, że można było kupić trochę mąki, z której ugotowaliśmy sobie zupę, lecz spać trzeba było pod gołym niebem. Nazajutrz ruszyliśmy do Smorgoni. Droga pełna była szczątków wielkiej armii,

większość ciągnęła wsparta na kijach, z brodami i włosami pokrytymi lodem. Ten, który nie miał sił iść dalej, był człowiekiem zgubionym, bo nikt nie był w stanie dać mu pomocy.

Droga cała pokryta była zwłokami ludzi i zwierząt. Ztracano wszelkie poczucie litości nie tylko dla innych, ale i dla siebie samych. Dnia 6 grudnia wtargnęliśmy do Smorgoni i przy samem wejściu dowiedzieliśmy się, że cesarz odjechał do Francji, pozostawiając naczelne dowództwo królowi Muratowi. Wielu jego nieprzyjaciół skorzystało z tego, aby rzucić cień na Napoleona, ale odjazd ten był koniecznym; ze względu na spisek Maleta obecność cesarza była niezbędną we Francji, nie tylko dla stosunków administracyjnych, ale i dla zorganizowania nowej armii. Po mieście chodziły jakieś indywidua, doskonale wyglądające, które oburzały się na odjazd cesarski. Jestem przekonany, że byli to angielscy agenci.

W tym zgiełku zgubiłem mych towarzyszków, ale nie myślałem o ich odszukaniu, bo trzeba było postarać się o nocleg. Poszedłem za jakimś oficerem badeńskim, przypuszczając, że musi mieć mieszkanie. I nie omyliłem się; rzeczywiście, wszedł do jakiegoś żyda, zapraszając za sobą kilku z nas. Trzeba przejść taką nędzę i niedolę, jak my, aby zrozumieć całe szczęście, jakie się uczuwa na myśl spędzenia wygodnie nocy.

W tym samym pokoju spał na kanapie chory na febrę jakiś oficer. Opowiedział mi, że choruje już od Orszy, ale teraz zostanie tu napewno, bo nie ma sił iść dalej:

— Biedna matka—dodał—co się z nią stanie, gdy się dowie o mym losie.

Oficer badeński starał się go pocieszyć, obiecując mu dostarczyć sani i koni, które go dowiozą do Wilna, nam zaś obiecał dać zupy i mięsa, ale w nocy odjechał ze swymi współrodakami. Co do biednego oficera, to temu znacznie zwiększyła się febra i przez całą noc miał gorączkę, a my nie mieliśmy ani zupy, ani mięsa, na które tak bardzo liczyliśmy.

Dnia 7-go wypoczęci odjechaliśmy wczesnym rankiem, czyniąc jak najmniej szmeru, aby nie usłyszał nas chory oficer, bo żadnej pomocy dać mu nie mogliśmy. Po godzinie drogi odpoczęliśmy w jakiejś opuszczonej stodole, może w pół godziny potem przybyła gwardya cesarska, a także i nasz pułk, do którego przyłączyłem się natychmiast. Towarzysze zaczęli się dopytywać, czy nie posiadam czego do jedzenia, a gdy odpowiedziałem im przecząco, zaczęli przeklinać i odwracać się odemnie.

Nazajutrz dnia 8 mróz znacznie się zwiększył, do tego stopnia, że żołnierze podpalali domy, aby się tylko rozgrzać. We wnętrzu tych domów byli nieszczęśliwi, wielu z nich zginęło w płomieniach, nie mając sił do ucieczki.

Okolo południa doszliśmy do niewielkiego miasta, którego imienia nie pamiętam. Miano tu rozdać trochę żywności, ale partyzanci przed naszym przybyciem rozgrabili wszystkie magazyny.

Ruszyliśmy dalej, tonąc w trupach i umierających. Na drodze spotkaliśmy opuszczonego konia, którego natychmiast zabito, ale ponieważ żaden z nas

nie miał topora, poprzestaliśmy tylko na krwi, zbie-
rając ją skrzętnie do kotła, następnie zaczęliśmy ją
gotować, dodając do smaku prochu zamiast soli. Za-
ledwie jednak ugotowała się ona nawpół, pokazał się
zdala oddział kozaków. Spiesznie wypiliśmy ją taką,
walając sobie krwią z pośpiechu ręce, ubranie
i twarze, przez co natraliśmy odrażającego wy-
glądu.

Nad wieczorem doszliśmy do dużej wsi, odda-
lonej o jakie trzy lub cztery mile od Wilna. Zamie-
rzałem przespać się w stajni, gdzie stanęła większość
oddziału, ale rozkazano mi udać się na posterunek
policyjny. Kilku towarzyszków poszło za mną dobro-
wolnie, spodziewając się, że znajdą tam lepsze po-
mieszczenie, ale omylili się bardzo, gdyż był to bu-
dynek wzniesiony na wzgórzu i wystawiony na wi-
chry, tak, że pomimo silnego ognia, niemożliwą było
rzeczą pozostawać w nim choć kilka minut.

Była to ta sama wieś, w której mieszkaliśmy
przed pięciu miesiącami, jadąc z Wilna do Moskwy,
i w niej to zgubiłem małe pudełko, pełne pierścieni,
kolczyków i fotografii mych kochanek, których mi
nigdy nie brakowało w żadnym kraju. Żałowałem
bardzo tej kolekcji.

Rano dnia 9 ruszyliśmy do Wilna przy dwu-
dziestu ośmiu stopniach mrozu. Dwie dywizye Fran-
cuzów i Neapolitańczyków, liczące blisko 10,000 lu-
dzi, połączyły się z nami; doszło ich do Wilna tylko
dwa tysiące, gdyż tak strasznie byli zdziesiątkowani
w tym okropnym dniu. Ludzie ci byli doskonale
odziani, nie brakło im nic, nawet żywności, gdyż
niedawno opuścili zimowe leże na Litwie i Pomorzu.

Gdy nas ujrzeni, litowali się bardzo nad nami, ale po upływie dwóch dni wyglądali jeszcze gorzej niż my. Z początku mniej zdemoralizowani, wspomagali jeden drugiego, ale gdy spostrzegli, że stają się sami ofiarami swego poświęcenia, stali się jeszcze gorszymi, niż my egoistami.

Nadzieja blizkiego dojścia do Wilna, w którem mieliśmy znaleźć żywność, dodała mi sił, a właściwie dla tejsze nadziei czyniłem nadludzkie wysiłki, pomimo dwudziestu ośmiu stopni mrozu. Zdawało się, że idziemy wpośród lodowej atmosfery. Ileż to razy żałowałem dnia tego mojej niedźwiedziej skóry, która tyle razy uratowała mi życie. Prawie już nie odychałem, nos miałem pokryty skorupą lodową, wargi popękane do krwi, z oczu zmęczonych ciekły mi łzy, ścinające się natychmiast w lód, tak, że nie już nie widziałem. W końcu zmuszony byłem zakryć sobie twarz futrem, jakie miałem na sobie, i w taki to sposób doszedłem do stodoly, którą podpalono dla rozgrzania się. Odetchnąłem trochę łżej.

Wdali ujrzeliśmy wieże Wilna. Chciałem przyspieszyć kroku, ale zatamowali mi drogę starzy strzelcy, maszerujący w porządku dwoma rzędami, zajmując sobą całą drogę. Starzy ci wojacy zwalczali cierpienia, aby tylko utrzymać ład, ale było to niemożliwem. Rzucono się jak dzikie zwierzęta na przedmieścia. Wchodząc tam, ujrzałem pod drzwiami jakiegoś domu martwego grenadyera, mego przyjaciela. Wielu ginęło z głodu w ten sposób, tak, że przedmieście pokryte było trupami. Dla naszego batalionu przeznaczono dom, bo choć w nim było już

kilku Badeńczyków, jeszcze zostało dość dla nas miejsca.

Rozdano nam wołowe mięso, ugotowaliśmy sobie z niego rosół, na który rzuciliśmy się wszyscy żarłocznie. Jeden z mych przyjaciół, nazwiskiem Poton, szlachcic bretoński, czekał z niehamowaną niecierpliwością na swój kawałek, a ponieważ oddalony był od rozdzielającego, rzucono mu go; schwycił go zrećnie i pożarł konwulsyjnie.

Wkroczyliśmy do miasta około południa, w godzinę potem poszedłem na poszukiwania chleba i wódki. Prawie wszystkie drzwi były pozamykane, bo mieszkańcy, choć nasi przyjaciele, przelękli się widoku 60-tysięcznej armii wynędzniałej tak bardzo i której większość wyglądała na furyatów; wielu rzucało się jak wściekli do drzwi magazynów.

Widząc, że nic nie zdobędę, zdecydowałem się wrócić na przedmieście, gdy usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciwszy się, ujrzałem Picarta, który rzucił mi się na szyję, całując i płacząc z radości, bo powiedziano mu, że już umarłem. Podzielił się ze mną mąką, którą posiadał, a co do wódki, obiecał zaprowadzić mnie do jakiegoś żyda, który miał jej dosyć. Prosiłem, aby mnie tam zaprowadził przedtem niż rozdadzą nam żywność, czego byłem pewny, gdyż magazyny były przepełnione.

Nie zapomnę nigdy w życiu, jakie dziwne wrażenie wywarł na mnie zamieszkały dom, zdawało mi się, że nie widziałem go już setki lat. Picart dał mi trochę wódki, którą przelknąłem z trudem, a następnie kupiłem butelkę za 20 franków, którą starannie schowałem do ładownicy. Na chleb musieliśmy cze-

kać do wieczora. Zdawało mi się, że jeżeli zjem kawałek, to cała niedola, jaką przeszedłem, pójdzie w zapomnienie.

Żyd opowiedział nam, że ci, co przyszedli pierwsi, zrabowali już wszystko, ale radził nam, abyśmy u niego pozostali i przenocowali, a on dostarczy nam wszystkiego i nie pozwoli tu wejść nikomu. Zgodziłem się na to chętnie i rozciągnąłem się na ławce obok pieca.

Zacząłem dopytywać się Picarta, z kąd pochodzi zażyłość jego z gospodarzem, który traktuje go jak swe dziecko. Odpowiedział mi na to, że przedstawił im się jako syn żydowski, że przez całe piętnaście dni, przez które stali w tem mieście, chodził z nimi do synagogi, za co miał codziennie wódkę.

Nie śmiałem się już bardzo dawno, ale teraz powstrzymać się nie mogłem i rozśmiałem się głośno, tak, że krew pocięła mi z warg.

Picart opowiadał mi dalej o swych podstępach, gdy rozległy się naraz strzały armatnie. Gospodarz nasz wpadł pomieszany, nie wiedząc co mówić, w końcu wyjąkał, że przyszedł oddział żołnierzy bawarskich, ścigany przez kozaków, przez te same wrota, któremi weszliśmy.

Picart, schwyciwszy za broń, zbliżył się do mnie, nie mającego ochoty się ruszać, mówiąc:

— Chodź, towarzyszu, boć my gwardziści cesarscy, powinniśmy pierwsi stanąć do boju. Zresztą nie możemy przecież zezwolić, aby dzicz ta zjadła chleb obiecany nam na wieczór! Jeżeli masz tylko siły, chodź ze mną, a połączymy się z walczącymi, zgnieciemy lekko napastników.

Ruszyłem z Picartem. Kilku leciało na pomoc, ale większość, obojętna na wszystko, co się dzieje, nie ruszyła się nawet z domów.

Okolo bramy miasta stał pułk grenadyerów i strzelców, a ponieważ był to pułk Picarta, przyłączył się do nich. Po lewej stronie maszerowało kilku naszych, poszedłem z nimi, nie wiedząc również, jak i oni, gdzie idziemy i pod czyjem dowództwem. Trzeba było przejść dość dużą górę, na której padało wielu. Na w pół drogi przewróciłem się i ja i choć pomagał mi powstać jakiś Litwin, z trudem się podniosłem. Prosiłem go, aby mnie nie opuszczał, dając mu za to cztery franki i trochę wódki. Wieśniak był z tego tak bardzo zadowolony, że gdybym był chciał, zaniósłby mnie na ramionach.

Po wielu trudach dotarliśmy w końcu na wierzchołek wzgórza, gdzie Prusacy bili się już. Dwustu ludzi, po większej części gwardzistów, walczyło z kawaleryą nieprzyjacielską. Ponieważ pozycja nasza była bardzo niedogodna, zaczęliśmy się cofać ku miastu, w którym panował straszliwy popłoch; szykowano się do ucieczki, napełniając wozy, sanie, czem kto miał. Popłoch ten sprawili złodzieje, którzy pojawili się z rozpoczęciem odwrotu i o których wspominałem już, że spodziewali się obłowić porządnie.

Przechodząc przez przedmieście nie miałem wcale ochoty stanąć w tym domu, co i nasz batalion, ale chciałem iść do miasta, raz dla obiecanego mi chleba, a także i dlatego, ażeby wiadano, że przyjmowałem udział w potyczce. Szukałem wszędzie Picarta, ale powiedziano mi, że udał się z grenadyera-

mi, przeznaczonymi na straż około króla Murata, który szykował się do odjazdu, aby zanocować w Kownie.

Postanowiłem poszukać mieszkania króla Murata. Szukając, przeszedłem około domu, gdzie mieszkał marszałek Ney, przed drzwiami stało kilku grenadyerów, grzejących się około ognia, na widok którego uczulem nieprzewycięzoną chęć rozgrzać się trochę. Ci, widząc mnie tak bardzo nieszczęśliwym, zrobili mi miejsce. Wielu z nich wyglądało doskonale i byli dostatnio ubrani.

Gdym wyraził im z tego powodu moje zdziwienie, odrzekli mi, że nie chodzili wcale do Moskwy dlatego, że ranieni przy oblężeniu Smoleńska, umieszczeni zostali w Wilnie, w którym przebywali dotąd. Zapytałem się ich, czyby nie mogli dać mi chleba. Odpowiedzieli mi to samo, co i żyd, że jeżeli wrócę lub zostanę z nimi do wieczora, to z pewnością dadzą mi go, ponieważ jednak musiałem wracać na przedmieście, obiecałem grenadyerom, że powrócę wieczorem i że za każdą bułkę zapłacę im po pięć franków. Przedtem jeszcze powiedzieli mi, że niedawno temu przybył do marszałka jakiś niemiecki generał, który zawiadomił go, że jeżeli nie chce wpaść w ręce rosyjskie, to powinien zaraz odjechać. Marszałek zamiast odpowiedzi, wskazał mu na setkę grenadyerów, grzejących się na podwórzu, mówiąc, że z nimi kpi sobie ze wszystkich kozaków całej Rosyi i że pozostanie w mieście.

Spytałem się, ilu ich jest na straży.

— Około sześćdziesięciu—odpowiedział doboż, siedzący na skrzyni—a wszyscy doskonale wygląda-

jący. Ciągłe jestem z marszałkiem od chwili przebycia Dniepru i wiem dobrze, jak to się wojuje z kozakami. Boże ty mój! Żebym tylko nie miał odmrożonej ręki i żeby nie było takiego mrozu, to walczyłbym z nimi cały dzień.

Wróciwszy na przedmieście, znalazłem w przeznaczonym nam domu wszystkich moich towarzyszków, uśpionych na podłodze. Byłem strasznie zmęczony, zrobiłem więc jak i oni i położyłem się spać.

Około godziny 2-iej w nocy obudziłem się. Zerwałem się spieszenie i wychodząc na schadzkę z grenadyerami, oznajmiłem towarzyszom, że idę szukać chleba, bo teraz najlepsza ku temu pora, gdy wszyscy są uśpieni, i że mam na to bilet bankowy rosyjski. Kilku powstało, aby iść za mną, ale nie miało sił, jeden tylko sierżant Bailly poszedł, a inni dali nam pieniądze.

Była jasna księżycowa noc, za to mróz był tak silny, że nie wiele brakowało, abyśmy zawrócili się napowrót.

Po drodze nie spotkaliśmy nikogo, nawet straży, tak, że gdyby nieprzyjaciel wszedł do miasta, zaskoczyłby wszystkich niespodzianie. W jednym domu na lewo ujrzałem dobywające się przez szparę światło, schyliłem się i ujrzałem piekarnię, w której pieczono chleb. Towarzysz mój zastukał. Na zapytanie, czego sobie życzymy, odpowiedzieliśmy:

— Otwórzcie, jesteśmy generałami.

Zaprowadzono nas do dużego pokoju, w którym na podłodze leżało kilku wyższych oficerów.

Gruba tłusta baba stała przy drzwiach do pi-

wnicy. Zapytałem się jej, czy niema chleba do sprzedania. Odpowiedziała, że nie, a jeżeli wierzyć nie chcemy, to możemy zejść na dół do piekarni. Jeden z oficerów podniósł się i poszedł z nami. Rozejrzawszy się wkoło, nie ujrzeliśmy nic, i już zaczynałem wierzyć, że baba powiedziała prawdę, gdy naraż, schyliwszy się, dojrzałem pod dzieżą wielki kosz. Wyciągnąwszy go, przekonaliśmy się, że zawierał siedem dużych bochenków białego chleba, od trzech do czterech funtów wagi. Co za szczęście! Co za zdobycz dla nas, cośmy go nie jedli od dwóch miesięcy. Wzięliśmy dla siebie cztery, a oficer trzy pozostałe, był to Fouché, adjutant major w pułku młodej gwardyi. Wyszliśmy z piwnicy, a odchodząc, pożegnaliśmy babę zapewnieniem, że wrócimy rano. Aby się nas co prędzej pozbyć, nie przypuszczając nawet, że mamy tak cenną zdobycz, otworzyła nam sama drzwi.

Na ulicy, porzuciwszy strzelby, pożerać zaczęliśmy chleb, jak krwiożercze stworzenia. W tejsze chwili zbliżyło się do nas dwóch ludzi z zapytaniem, czy nie mamy czego do zamiany lub sprzedania. Byli to żydzi. Rozpocząłem od tego, że powiedziałem im, iż posiadam storublowe bankowe bilety, ile mi za nie dadzą.

— Pięćdziesiąt — odpowiedział pierwszy po niemiecku.

— Pięćdziesiąt pięć — rzekł drugi.

Targ w targ stanęło wreszcie na sześćdziesięciu siedmiu z warunkiem, że dodadzą nam jeszcze kawy z mlekiem. Zgodzono się na to.

Żyd zaprowadził nas do bankiera, gdyż sam

był tylko faktorem. Bankier, także żyd, domagał się banknotów, mieliśmy ich dziewięć, pomiędzy niemi moich trzy. Gdy je otrzymali, zaczęli je oglądać na wszystkie strony, poczem poszli do drugiego pokoju, a my zasiedliśmy na ławkach. Faktor został z nami, za chwilę jednak zawołano go do drugiej izby.

Oczekiwanie dość długie zniecierpliwiło nas. w końcu, zaczęliśmy wołać, ale nikt się nie odezwał. Wpadłem wtedy na myśl, że chcą nas okraść, podzieliłem się nią z towarzyszem, który zaczął uderzać karabinem o stół. Gdy się nikt nie ukazał, poszliśmy do drugiego pokoju, gdzie siedziało kilku żydów. Towarzysz mój rzucił się na faktora, domagając się pieniędzy. Żydzi widząc, że gotowi jesteśmy na wszystko, wypłacili nam pieniądze dwie trzecie części w złocie. Poczem wzięwszy żyda za ramię, wyszliśmy z nim, domagając się obiecanej nam kawy. Zaprowadził nas do siebie.

Gdyśmy się najedli, towarzysz mój chciał wrócić na przedmieście, ale ja czując się zanadto chorym i sfatygowanym, postanowiłem pozostać u żyda, tembardziej, że znajdowało się już u niego dwóch kawalerzystów. Włożywszy pieniądze w pas, a chleb w worek, rozłożyłem się na kanapie i zasnąłem około godziny 4-ej rano.

W pół godziny potem chwyciły mnie gwałtowne bóle, po których nastąpiły wymioty i ból serca. Zacząłem przypuszczać, że zostałem otruty i uczulem się zgubionym przy mym upadku sił, tak, że nie mogłem podnieść butelki z wódką. Poprosiłem jednego z kawalerzystów, aby mnie napoił, poczem zrobiło mi się trochę lepiej i zasnąłem. Jak

długo spałem, nie wiem, ale gdy się obudziłem, spostrzegłem z rozpaczą, że ukradziono mi chleb, zostawiając mi kawałek w ładownicy i butelkę z wódką, wiszącą mi z boku, jak również i czapkę rabina. Położenie moje było rozpaczliwe, bo oprócz rozstrojonego zdrowia, miałem odmrożoną prawą nogę, na której otworzyła się stara rana. Pierwszy staw środkowego palca u prawej ręki ledwie się już trzymał, a mróz poprzedniego dnia tak strasznie rozjątrzył mi nogi, że nie mogłem włożyć butów. Musiałem obwinąć je w gałgany, nasmarowawszy je przedtem maścią, którą otrzymałem od Polaków, a na to dopiero kawalki kozucha, który przywiązałem sznurkiem. To samo zrobiłem sobie z prawą ręką.

Zabierałem się do wyjścia, gdy żyd zaczął mnie namawiać, abym został, proponując, że ma ryż do sprzedania. Kupiłem go chętnie, przypuszczając, że przyniesie mi ulgę, ale przedtem spytałem się go, czy nie ma jakiego naczynia, w którym możnaby go ugotować. Dał mi jakiś imbryk z czerwonej gliny. Za to wszystko zapłaciłem mu 10 franków.

Wyszędlszy na ulicę, usłyszałem rozpaczliwe krzyki i ujrzałem jakąś kobietę, płaczącą nad trupem, zatrzymała mnie, błagając o zwrot tego, co jej zabrano.

— Od wczoraj mieszkam u tych podłych żydów—mówiła.—Mąż mój był bardzo chory. W nocy zabrano nam wszystko, a gdy poszłam szukać sprawiedliwości, wyrzucono mi męża na ulicę i za powrotem nie uzyskawszy nic, zastałam trupa. Panie, nie opuszczaj mnie! Pomóż mi!

Odpowiedziałem jej, że to jest niemożliwem

i opuściłem ją, kierując się w stronę Kowna, do którego przybyłem wpośród szczątków całej armii.

Spotkałem się z kapitanem młodej gwardyi, który siedł ze swym pułkownikiem, służącym i koniem. Opowiedziałem mu moje nieszczęsne przygody. Dał mi trochę herbaty i kawałek cukru, ale w tejże chwili pojawiła się nowa masa ludu i rozłączyła nas. Na czele pierwszej kohorty doboisz bębnił do odwrotu. Po godzinie drogi wyszliśmy po za przedmieścia. Każdy siedł, jak chciał. Po za miastem gorzko rozmyślać zacząłem nad zmiennością losu: przed pięciu miesiącami wchodziliśmy tam dumni i silni, a dziś wychodzimy nędzni i uciekający.

III.

Z Wilna do Kowna.—Pies pułkowy.—Marszałek Ney.—Skarb armii.—Jestem otruty.—Stary grenadyr.—Falopa.—Generał Roguet.—Z Kowna do Elblągu.—Dwie markietanki.—Spotykamy się z Picartem.—Żydowskie sanie.—Wiedźma.—Eylau.—Przybycie do Elbląga.

O jakie ćwierć mili od Wilna ujrzelśmy na lewo od nas oddział kozaków, którzy nie śmieli się jednak zbliżyć. Po kilku chwilach marszu znalazłem opuszczonego oficera, który miał na głowie rodzaj czapki baraniej, przymocowanej rzemykami. Tego mi tylko potrzeba było. Miałem nożyczki w pudełku chirurga, chciałem więc niemi odciąć rzemienie, ale niestety, prawa ręka moja była zupełnie odmrożona, tak,

że nie mogłem nic nią zrobić. Na szczęście, przechodził jakiś żołnierz, silniejszy odemnie, który odciął ową czapkę i dał mi ją, a ja natychmiast włożyłem ją na głowę i ruszyłem dalej.

Naraz rozległy się strzały armatnie. Marszałek Ney, który ostatni opuszczał miasto, walczył z Rosyanami. Ci, którzy niezdolni już byli do boju, przyspieszyli kroku, ażeby odejść jak najdalej; chciałem zrobić jak i oni, ale moje odmrożone nogi, a także i gwałtowne kurcze, które co chwila mnie łąpały, nie pozwalały mi iść prędko i zawsze zostawałem na końcu. Naraz zostałem przewrócony przez uciekających żołnierzy konfederacji reńskiej, wielu z nich przeszło po mojem ciele. Z trudnością podniosłem się, a że zanadto przywykłem już do cierpień, więc nie odezwałem się nic. W dali posuwała się straż tylna gwardyi, czułem się zgubionym, jeżeli przejdzie koło mnie, na szczęście jednak marszałek rozkazał im zatrzymać się, aby poczekać na tych, co wychodzili dopiero z miasta.

Niedaleko odemnie szedł jakiś żołnierz z naszego pułku, uginający się pod ciężarem czegoś, co niósł na plecach. Zbliżyłem się do niego i przekonałem się, że niósł dużego psa. Był to stary sierżant Daubenton, a pies należał do całego pułku.

Zdziwiony byłem bardzo, że dźwiga psa, gdy sam ledwie ciągnie nogi, i nie dając mu czasu na odpowiedź, zapytałem się, czy go jako pożywienie niesie sobie, ale w takim razie koń jest o wiele lepszym.

— O nie! — odpowiedział — raczejbym z głodu pożarł kozaka, niż jego; czyż nie poznajesz w nim Moutona? ma on łapy odmrożone i nie może iść dalej.

— Prawda — odpowiedziałem — ale: cóż chcesz z nim zrobić?

Tymczasem Mouton podniósł leń, jakby mnie poznawał. Daubenton opowiedział mi, że o godzinie 7-ej rano Rosyanie zajęli przedmieścia, że cała gwardya wymaszerowała o godz. 6-ej i że pewną jest rzeczą, że więcej niż 12,000 ludzi, oficerów i żołnierzy dostało się w moc nieprzyjaciela. Co do niego, spotka go prawdopodobnie podobny los przez poświęcenie dla psa, którego będzie zapewne musiał porzucić na drodze. Dziś rano widząc, że pies iść dalej nie może, chciał odejść niepostrzeżenie, ale biedny Mouton, domyślając się tego, zaczął wyć przeraźliwie, tak, że w końcu zdecydował się zabrać go z sobą.

Maszerując ciągle, znaleźliśmy na drodze rozbitą skrzynię, pełną płóciennych worków, ale wszystkie były próżne. Zaproponowałem Daubentonowi, ażebyśmy zatrzymali się chwilę, gdyż straszliwe boleści chwycić mnie zaczęły, zgodził się chętnie na to, tembardziej, że za jakąbądź cenę chciał pozbyć się psa.

Zaledwieśmy usiedli na skrzyni, gdy po za rowem ukazał się pluton żołnierzy heskich, który miał czekać w tem miejscu na marszałka Ney'a. Z drugiej strony znów ukazał się pluton kawaleryi, w którym poznaliśmy nieprzyjaciół, maszerujących w stronę naszych, aby przeciąć im odwrót, a także kilkunastu maruderów, którzy ujrawszy ich, zaczęli biedz w stronę armii, wołając:

— Na pomoc, kozacy!

Heseńcy, pod dowództwem dwóch oficerów, zaczęli szykować się do walki, a dla lepszej obrony

cofnęli się trochę na lewo, zostawiając sobie swobodny odwrót w stronę marszałka.

Jakiś grenadyer liniowy przebiegł koło nas, pędząc, aby dostać się w szeregi heskie. Chciałem zrobić to samo, ale położenie moje nie pozwalało mi na to. Daubenton chciał wsadzić Moutona do skrzyni, poczem iść do naszych, ale w tejże chwili kawaleria galopem puściła się na naszych, domagając się złożenia broni. Zamiast odpowiedzi, dano ognia.

Spodziewaliśmy się, że po tych strzałach przy najmniej połowa nieprzyjaciół ranioną zostanie, stało się jednak przeciwnie, bo nawet oficerowi nic się nie stało, tylko koń jego podskoczył.

Rosyanie rzucili się zaraz na naszych i w przeciągu dwóch minut zostali wszyscy zarąbani. Kilkunastu ratowało się ucieczką, a za nimi rzucili się w poгон kozacy.

Daubenton wołał na mnie, abym mu pomógł oswobodzić się od psa, gdy przejechało koło nas 3-ch kawalerzystów, goniąc naszych. Wtedy Daubenton chciał schować się pod skrzynię, gdzie siedziałem już, cierpiąc straszliwie od mrozu i kurczów, ale było już za późno, bo go dojrzano i otoczono. Schwycił wtedy za broń i zaczął szykować się do obrony; kawalerzysta, sądząc, że nie mamy prochu, zbliżył się do niego i zamierzył szablą, którą tenże odbił karabinem, wtedy jeździec uderzył po raz drugi i zranił Moutona szablą. Biedne zwierzę zaczęło skomleć w sposób rozdzierający serce. Zdawało mi się, że Daubenton już jest stracony.

Wyczołgałem się ze skrzyni, kierując broń na kawalerzystę, ale karabin nie wystrzelił, bo proch

spalił na panewce. Nieprzyjaciel wydał dziki okrzyk, rzucając się na mnie z gołym pałaszem, ale ja zdążyłem skryć się pod skrzynię i wystawiłem bagnety.

Widząc, że nic mi nie zrobi, zwrócił się do Daubenton'a, który nie mógł się ruszyć z powodu psa, rwącego się i skowyczącego przeraźliwie. Jakkolwiek na wpół martwy z zimna i nędzy i pomimo swojej mizernej postaci, Daubenton był jeszcze pełnym sił i energii. Oczy jego błyszczały wściekłością i niepohamowanym gniewem, że z powodu tak błahej przyczyny znajdował się na łasce nieprzyjaciela, który kiedyindziej pewnie nie stałby żywy tak długo przed nim. Chcąc go pokrzepić, podałem mu dłoń pełną śniegu, a następnie nabilem broń i w takiż sam sposób ofiarowałem mu ją, wtedy to zmieniły się role.

Po całym zachowaniu się kawalerzysty łatwo było poznać, że nie jest trzeźwym; posunął się trochę na lewo z podniesionym pałaszem, a wtedy Daubenton odezwał się do mnie:

— Nie bój się niczego i nie ruszaj się wcale, ja zaraz tu z nim skończę!

Wyrzekłszy te słowa, strzelił i trafił kawalerzystę w piersi, który, wydawszy dziki okrzyk bólu, poruszył się kilkakrotnie i wyrzuciwszy masę krwi ustami, pochylił się całym ciałem na głowę konia i pozostał w tem położeniu nieruchomy.

Zaledwie Daubenton oswodził się od przeciwnika i swego psa i posuwał się powoli dla zabrania konia, usłyszeliśmy za sobą krzyki:

— Naprzód! Na bagnety!

Natychmiast wysunąłem się z pod skrzyni, roz-

glądając się, z której strony pochodzą owe krzyki, i spostrzegłem marszałka Ney'a z karabinem w dłoni, spieszącego na czele swojego wojska.

Na widok jego Rosyane rozpięchli się na wszystkie strony, ale wielu zostało schwytanych, których trzeba było wkrótce porzucić, bo sami ledwieśmy się wlekli.

Nie zapomnę nigdy imponującej miny marszałka, jego pogardliwego spojrzenia, jakim obrzucił nieprzyjaciół, a także tego zaufania, jakie wzbudzał w nieszczęśliwych chorych i rannych. Wyglądał w tej chwili jak starożytny bohater. Nie przesadzam, jeżeli powiem, że w ostatnich dniach tego nieszczęsnego odwrotu stał się zbawcą szczątków armii.

Wszystko to trwało zaledwie dziesięć minut. Daubenton odrywał od siebie psa, aby dostać się do konia, gdy naraz zjawiła się jakaś postać, zrzuciła z konia zwłoki kawalerzysty na ziemię, poczem złapawszy konia za uzdę, oddaliła się. Daubenton zaczął krzyczeć za nim:

— Zatrzymaj się, łotrzel! To mój koń! To ja zabiłem kawalerzystę!

Ale tamten najspokojniej uciekał sobie dalej, wtedy Daubenton zwrócił się do mnie i rzekł:

— Pilnuj Moutona! Ja biegnę za nim, musi mi oddać konia lub będzie miał do czynienia ze mną!

Nie skończył jeszcze mówić, gdy więcej niż 4,000 maruderów nadciągnęło, rozdzieliło mnie z nimi i Moutonem i nie widzieliśmy się już nigdy.

Ponieważ miałem sposobność mówić o psie, muszę opowiedzieć jego biografję:

Mouton dostał się do nas w 1808 r., znaleźli-

śmy go w Hiszpanii koło Benawentu, na brzegu jakiejś rzeki. Był z nami w Niemczech w 1809 r., był w bitwie pod Essling i Wagram, następnie w Hiszpanii w 1810 i 1811 r. Następnie poszedł z nami na wyprawę do Rosyi, w Saksonii ktoś go nam ukradł, ale w dziesięć dni po naszym przybyciu do Moskwy zjawił się nagle.

Maszerując dalej pośród mężczyzn, kobiet, a nawet i dzieci, rozglądałem się ciągle, czy nie zobaczę Daubentona, ale ujrzałem w tyle tylko marszałka Ney'a, zajmującego pozycyę, na której walczyli Heńczycy.

Wkrótce musiałem się zatrzymać, ponieważ dostałem znów gwałtownych kurczów. Przedemną leżały Góry Ponarskie, na lewo od nich ciągnęła się droga, doskonale odcinająca się przez masę wozów, naładowanych skrzyniami pełnymi złota i srebra, wartości siedmiu milionów franków, a które ciągnęły konie, ledwie się wlokące, tak, że w końcu musiano porzucić wszystko.

W kwadrans potem doszedłem do stóp góry, pod którą biwakowano w nocy, tlało jeszcze kilka ognisk, wkoło których się grzano. Dowiedziałem się tu, że wozy owe nie mogą iść dalej; jedna skrzynia spadając otworzyła się, złoto wysypało się i w jednej chwili zostało rozchwyte.

Podczas gdy mi to opowiadano, usłyszeliśmy strzelaninę w wojsku marszałka Ney'a, a w dali z lewej strony ujrzeliśmy kozaków, czekających na przejście wojska, ażeby bezpiecznie rzucić się na nas.

Udałem się w drogę, lecz nie głównym traktem, ale okrążyłem górę, po za którą stało kilka wo-

zów, pełnych skrzyń z mantelzakami. Chciałem zdobyć choć jeden, ale w takim stanie osłabienia, w jakim byłem, nie mogłem ryzykować wdrapania się na wóz. Na szczęście, jakiś dozorca szpitalny z Wilna, widząc mój kłopot, zrzucił mi jeden mantelzak, w którym znalazłem cztery płócienne koszule, tak bardzo mi potrzebne, i krótkie spodnie sukienne.

Szczęśliwy i zadowolony ze zdobycia bielizny, której nie zmieniałem od 5-go listopada, a której lachmany pełne były robactwa, zapakowałem to wszystko do swojego worka.

Trochę dalej znalazłem pudełko z dwoma przepyszniemi kapeluszami stosowanemi. Zabrałem to z sobą nie wiedząc dobrze po co, prawdopodobnie, ażeby przy zdarzonej sposobności zamienić na co innego.

Po półgodzinnej uciążliwej drodze usłyszałem gwałtowną kanonadę i głośnie okrzyki, dochodzące od strony głównej drogi. Marszałek Ney, widząc, że nie zdoła uratować skarbów, rozdał je pomiędzy wojsko, posyłając jednocześnie kozakom gęste strzały, aby się zbytnio nie zbliżali.

Ztąd, gdzie byłem, widać ich było doskonale. Posuwali się wolno, ale nieustannie. Wdrapywałem się na górę, napiwszy się przedtem wódki, gdy naraż spadłem z wysokości pięciu stóp, zagłębiając się w śnieg, który dochodził mi prawie do oczu. Wydobyłem się z trudem, drżąc cały od zimna.

Trochę dalej stała jakaś stodoła, w której było ludno, zatrzymałem się w niej i ja; gdy mnie ujrzało, zaczęło wołać:

— Kto chce sto franków za sztukę złotą dwudziestofrankową?

Ponieważ nie znalazł nabywców, ofiarował je temu, kto ich nie miał wcale. Byłem zanadto chory, aby myśleć o pieniądzach, odmówiłem mu, tembardziej, że miałem około ośmiuset franków w złocie i więcej niż sto franków w sztukach pięciofrankowych.

Pozostałem w stodole dotąd, dopóki nie obwiązałem sobie głowy, a szczególnie uszów kozuchem, lecz nie mogłem zmienić bielizny.

Strzały zaczęły się coraz bardziej zbliżać, tak, żeśmy zmuszeni byli przyspieszyć kroku. Trzcę dalej napotkałem wielu żołnierzy, wracających od strony skrzyń, niosących w rękach pełne wory pieniędzy; wołali oni na tych, co nie otrzymali swej części, aby im ją oddać.

Dotarłem w końcu do drogi, a ponieważ nie było mi bardzo zimno, zatrzymałem się chwilę, aby odpocząć. Widziałem ciągle przybywających żołnierzy, obciążonych złotem, którzy odwracali się co chwila, aby posłać kulę kozakom. Wyżej trochę wojsko zatrzymało się, ażeby maruderzy, niosący rannych, mogli bezpiecznie przejść. Jednakże to nie powstrzymało wielu chciwych na pieniądze i wieczorem na biwaku opowiadano mi, że wpadli wszyscy w ręce kozaków.

Z trudnością wlokłem się dalej. Spotkałem się z oficerem Prinier z młodej gwardyi, doskonale wyglądającym i porządnie ubranym, którego zapytałem się, wołając po imieniu, gdzie idzie? Zapytał się, kto jestem. Na to zapytanie wcale niespodziane, uczy-

nione przez starego towarzysza, z którym przez pięć lat służyłem w jednym pułku, nie mogłem powstrzymać się od płaczu, na myśl, że nędza zmieniła mnie tak straszliwie. Gdym mu się wreszcie dał poznać, zawołał:

— Jak to! to ty drogi przyjacielu, ty tak strasznie wynędzniał!

Mówiąc te słowa, podsunął mi butelkę z winem, a ponieważ miałem tylko jedną wolną rękę, dzielny Prinier sam wlał mi trochę w usta.

Spytałem się go, czy nie spotkał gdzie szczątków armii, odpowiedział, że nie, gdyż spał wczoraj w młynie, oddalonym od drogi o ćwierć mili, że wojsko przeszło prawdopodobnie w tym czasie, ale że widział smutne ślady rozrzuconych trupów po drodze i że dopiero wczoraj dowiedział się o zniszczeniu i niedoli armii i że teraz chciałby połączyć się z nią:

— Ależ armia nie istnieje już!

— A cóż znaczą strzały, które słychać w oddali?

— To są strzały tylnych szeregów, dowodzonych przez marszałka Ney'a.

— W takim razie połączę się z nim.

Ucałowawszy mnie, zabierał się do drogi, gdy spostrzegłszy pudełko, zapytał się, co w nim jest? Odpowiedziałem mu, że są w nim kapelusze i że jeżeli chce, to dam mu je z ochotą. Podziękował mi za nie serdecznie.

Wino, które mi dał, rozgrzało mi żołądek, postanowiłem więc sobie dojść do pierwszych biwaków i w godzinę po rozstaniu się z Prinier'em ujrzałem ogień.

Zbliżyłem się do nich, błagając o przyjęcie. Odpowiedziano, nie patrząc na mnie:

— Zrób jak inni, idź, poszukaj drzewa i rozpal sobie ognisko!

Byłem pewny tej odpowiedzi, bo podobna spotykała zawsze opuszczonych. Było ich sześcioro, a ogień nie był duży.

Stałem za nimi dość długo, wyciągając się, ażeby zachwycić trochę ciepła. W końcu, znużony snem, przypomniałem sobie o wódce. Ofiarowałem ją im za miejsce, zgodzono się na to. Zasnąłem, siedząc na worku, z głową wspartą na dłoniach. Spałem blisko dwie godziny snem przerywanym zimnem i bólem. Gdy się obudziłem, ugotowałem sobie w imbryku trochę ryżu, kupionego od żyda. Ponieważ nie miałem łyżki, jak również i jeden ze strzelców, z którym podzieliłem się, wyleliśmy sobie zupę ryżową na denko kasku i w ten sposób dopiero zjedliśmy ją. Potem zasnąłem znów.

Dnia 11-go grudnia obudziłem się o świcie. Obejrawszy sobie nogi, wstałem, ażeby udać się w dalszą drogę, bo koniecznie musiałem złączyć się z towarzyszami, aby nie umrzeć z nędzy. Maszerowałem do białego dnia sam jeden, zatrzymując się na chwilę koło opuszczonych ognisk. We dniu spotkałem się z kilku żołnierzami z pułku.

Trochę dalej spotkałem jakiegoś człowieka wleżącego się z trudem. Poznałem w nim trębacza naszego pułku. Na mój widok wydał okrzyk zdziwienia i radości, gdyż powiedziano mu, że dostałem się w Wilnie do niewoli. Biedny Rossi miał obydwie nogi odmrożone i obwinęte w futro. Opowiedział mi,

że rozłączył się z pułkiem dlatego, że nie mógł iść tak prędko, jak inni, i że przyjaciele moi byli bardzo niespokojni o mnie. Dwie duże łzy spływać mu zaczęły po policzkach. Na moje pytanie o ich przyczynę, odpowiedział:

— Moja biedna matko! gdybyś ty wiedziała, co się ze mną dzieje! Nie ujrę już nigdy Montauban!—

Było to nazwisko jego wsi. Staralem się go pocieszyć, zwracając mu uwagę na moje położenie, stokroć gorsze niż jego. Szliśmy razem większą część dnia, zatrzymując się tylko dla koniecznej potrzeby, gdyż wszystko cokolwiek zjadłem, wkrótce oddawałem.

Koło południa zaproponowałem mu, abyśmy zatrzymali się w wiosce, którą widać było przed nami. Weszliśmy do jakiejś chaty, w której leżało trzech nieszczęśliwych, nie mogących iść już dalej wskutek straszliwego stanu swych nóg, u których brakowało im wszystkich palców, a kolor skóry był zupełnie niebieski. Należeli do korpusu marszałka Ney'a.

Ugotowaliśmy sobie ryżu i upiekli kawałek korniny na zapas, poczem ruszyliśmy, przyrzekając sobie, że się nie rozłączymy, ale nadszła zwarta masa maruderów, która, pomimo wysiłków z naszej strony, rozdzieliła nas.

Dowiedziałem się w drodze, że pułk, jeżeli można go było tak nazwać, ma nocować w Żyźmorach. Aby się tam dostać, musiałbym zrobić pięć mil drogi. Postanowiłem je przebyć, choćby mi przyszło czołgać się na kolanach. Ale co trudu i sił kosztowała mnie ta droga! Przewracałem się niezliczoną ilość razy, szczęściem mroz zelżał znacznie. Po nad-

ludzkich wysiłkach wszedłem do wsi. Czas już był, bo zrobiłem wszystko, co tylko człowiek zrobić może, ażeby wyrwać się ze szponów śmierci.

Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegłem wchodząc, było duże ognisko, do którego ledwie się dowlokłem. Siedzieli przy nim moi towarzysze; ujrzawszy ich, padłem bez czucia.

Grangier, poznawszy mnie, zerwał się natychmiast z innymi, aby nieść mi pomoc; położono mnie na słomie: po raz to czwarty już odnajdywałem ich szczęśliwie od chwili wyruszenia z Moskwy. Dano mi trochę wódki, później rosolu z konia, osolonego solą, przez co wydał mi się doskonałym.

Naraz schwyciły mnie kurcze, silniejsze aniżeli przedtem, zawołałem Grangier'a i wypowiedziałem mu swoje przypuszczenie o zatruciu. Natychmiast ugotował mi w imbryku herbaty, którą niósł z Moskwy, a która bardzo mi pomogła.

Nadszedł biedny Rossi w towarzystwie sierżanta Bailly, tego samego, z którym piliem kawę u żyda, również chorego, jak i ja. Zobaczywszy mnie, spytał jak się czuję, a gdy powiedziałem mu, że ciągle od owej chwili jestem chory, nie wąpiliśmy już, że chciano nas jeżeli nie zatruć, to obezwładnić.

Położywszy się na słomie, zalierałem się do spania, gdy poczułem naraz szalony ból w nogach i udach, który zmuszał mnie do krzyków. Usłyszałem, jak mówiono:

— Jutro już nie wstanie!

Myślałem to samo, dlatego postanowiłem zrobić testament. Zawołałem Grangier'a, mojego serdecznego druha, i prosiłem go, aby kilka drobnych przed-

miotów oddał mojej rodzinie, jeżeli będzie miał szczęście wrócić do Francji. Oddałem mu pieniądze, zachowując sobie kilka sztuk złota, schowane w skórze, którą okręcone miałem nogi, przypuszczając, że Rosyanie, złapawszy mnie, nie będą szukali w łachmanach.

Grangier zapytał się w końcu, czy nie marzę przypadkiem, lub czy nie mam febry? Odpowiedziałem mu na to, że febrę mam rzeczywiście, ale gorączki nie. Zaczął prawić mi morały, przypominając moją odwagę w gorszych jeszcze chwilach, niż ta.

— Prawda—odpowiedziałem—ale wtedy byłem silniejszy, niż dziś!

Zapewnił mnie, że mówiłem mu to samo pod Berezyną, gdzie niemniej byłem chory jak dziś, a jednak zrobiłem 80 mil, a przy pomocy przyjaciół nie miałbym zrobić piętnastu, ażeby dojść do Kowna.

— Staraj się odpocząć, zabierz sobie napowrót to wszystko, zostaw mi tylko imbryk.

— A mnie—dodał drugi—tę szkatułkę (doktora), która ci pewno przeszkadza.

Wtedy rzekł do mnie Rossi:

— Drogi przyjacielu, nie zostaniesz tu sam, bo i ja podzielę twój los, dzisiejszy dzień tak mnie osłabił, że nie sposób, abym szedł dalej. Gdy nadejdzie wojsko Ney'a, będziemy mogli przyłączyć się do niego, a gdybyśmy nie czuli się na siłach iść z nimi, usuniemy się na bok. Pierwsza wioska, pierwszy dwór, będzie do naszej dyspozycji, gdyż zlitują się zapewne nad nami; umiem malować trochę, zarobi-

my więc sobie w Prusach lub w Polsce na życie, bo Rosyanie nie pójdą zapewne dalej, jak do Kowna.

Odpowiedziałem mu na to, że zgadzam się na wszystko.

Rozpalono duże ognisko i umieszczono mnie przy niem. Gorąco wpłynęło na zmniejszenie bólu mojego, wskutek czego zasnąłem na kilka godzin. Rossi spał także.

W 1830 roku zostałem mianowany majorem w Breście. W dniu mego tam przybycia poszedłem na obiad z żoną i dziećmi do hotelu de Provence. Naprzeciwko mnie siedział jakiś pan, który natarczywie mi się przyglądał. Zwróciła na niego uwagę i moja żona.

— Zaczyna mnie on intrygować — odezwałem się; — pytam go się, czego chce?

W tejże chwili zerwał się i poszedł zajrzeć do księgi podróżnych, poczem wrócił, wołając:

— To on! Nie omyliłem się. To mój stary przyjaciel!

Poznałem go zaraz po głosie i rzuciliśmy się sobie w objęcia. Był to Rossi, którego nie widziałem od 1813 r. Myślał, że umarłem, a ja myślałem to samo o nim, gdyż powróciwszy z niewoli, dowiedziałem się, że został raniony pod murami Paryża. Spotkanie to zainteresowało obecnych, którym musieliśmy opowiedzieć nasze przygody w Rosyi, tak, że jeszcze o północy siedzieliśmy przy stole, pijąc za pamięć Napoleona.

Nic dziwnego, że go nie poznałem, wyglądał teraz doskonale i dostatnio, a włosy miał prawie si-

we. Mieszkał w Montauban, gdzie był bogatym przemysłowcem.

W chwili odjazdu postanowiłem iść dalej, choć nie mogłem myśleć o tem, aby iść samemu; Granger i Leboude wzięli mnie pod rękę, a Rossi'ego dwaj inni. Po półgodzinnym marszu uczułem się znacznie silniejszym, choć ciągle potrzebowiałem pomocy przynajmniej jednego ramienia. W ten sposób doszliśmy do niewielkiej wioski, gdzieśmy mieli nocować; chaty były już jednak zajęte, trzeba było spać na dworze; szczęściem, znaleźliśmy dużo słomy, ale ktoś nieostrożnie przysunął ją do ognia i zapaliła się, każdy ratował się jak mógł, a na niektórych zapaliły się już płaszcze. Gdyby nie pomoc towarzyszków, z pewnością byłbym się spalił; wzięto mnie za głowę i nogi i zaniesiono do stodoły, gdzie miał nocować generał Roguet i kilku wyższych oficerów, którzy ją opuścili ze strachu, sądząc, że to ona płonie

Zerwał się wkrótce silny wiatr północny, weszliśmy więc wszyscy, cisnąć się jeden na drugiego; wielu musiało stać całą noc; w każdym razie było to lepszem, niż pozostawanie na odkrytem powietrzu przy takiej strasznej pogodzie, w czasie której z pewnością z połowęby nas zginęło. Mielśmy nazajutrz przebyć dziesięciomilową przestrzeń, to też generał Roguet wyruszyć rozkazał przededniem.

W nocy padał deszcz połączony ze śniegiem, który marzył natychmiast, to też droga była prawie niemożliwą i gdyby nie pomoc moich kolegów, z pewnością byłbym zakończył, jak wielu innych, moją wielką podróż w ostatnim dniu pobytu w Rosyi.

Za dnia doszliśmy już do góry całkiem pokry-

tej lodem, którą musieliśmy przebyć; można sobie wyobrazić z jakim to nam przyszło trudem! Zwarto się w ścieśnione szeregi, podtrzymując jeden drugiego; zauważyłem wtedy, że o wiele chętniej i częściej pomagano sobie, prawdopodobnie dlatego, że odczuwane zbliżający się koniec cierpień. Przypominam sobie, że jeżeli kto upadł, rozlegały się wtedy wołania:

— Zatrzymajcie się, bo jeden z nas upadł!

Słyszałem jak sierżant naszego batalionu wołał:

— Zatrzymajcie się! Przysięgam, że nikt kroku nie zrobi, dopóki nie podniesiecie tych dwóch ludzi, co upadli!

Dzięki jego wystąpieniu zostali uratowani.

Gdyśmy dostali się na wierzchołek góry, było jeszcze dość widno, aby dojrzeć, że spadek góry był nadzwyczaj gwałtowny i cały pokryty lodem. To też nikt nie ośmielił się wyruszyć. Generał Rognet, kilku oficerów i kilku saperów idących naprzód, przewrócili się. Kilku podniosło się, silniejsi szli, trzymając się rękami, słabsi zdali się na wolę Bożą, wielu stoczyło się na dół. W liczbie tych ostatnich byłem i ja i gdyby nie Grangier, stoczyłbym się z pewnością w duży rów i zaryłbym się tam w śniegu. Grangier podtrzymywał mnie w gorszych miejscach, kierując zawsze w stronę, w którą powinienem być iść. Do stałem się na dół potłuczony, zgnieciony i z pokrąwioną lewą ręką.

Generał rozkazał się zatrzymać dla przejrzania, czy wszyscy doszli, i przekonano się z radością, że nie brakowało nikogo. Gdy się rozwidniło zupełnie,

przekonaliśmy się, zapóźno niestety, że można było ominąć górę, kierując się na prawo. Przejście to zmęczyło mnie w niemożliwy sposób, posuwać się mogłem bardzo powoli, nie chcąc więc korzystać z poświęcenia moich przyjaciół, prosiłem ich, ażeby szli za pulkiem. Pozostał ze mną żołnierz Faloppa, który pochodził z Piemontu, a którego nie widziałem już od kilku dni.

Ci, którzy byli tak szczęśliwi, że utrzymali się w stanie zdrowia, i którzy nie mieli odmrożonych nóg i zawsze maszerowali w szeregach, nie widzieli całej nędzy tak, jak ci, co jak ja chorzy i wynędzniali, maszerowali wśród długiego sznuru martwych i umierających.

Faloppa, który został ze mną, nie był zdaje się w lepszym położeniu odemnie. Nie traciliśmy wojska przez jakie pół godziny z oczu, co dowodziło, żeśmy szli dość prędko. Droga poprawiła się znacznie, ale nie na długo, gdyż wkrótce zrobiła się znów ślizką i nierówną, podobnie jak rano. Mróz zwiększył się znacznie. Faloppa przewrócił się kilka razy i sądzę, że gdyby mnie tam nie było, z pewnością byłby został na drodze.

Droga znów poprawiła się, przed nami ciągnęły długie szeregi wojska. Przyśpieszyliśmy kroku, ażeby ich dopędzić, lecz nie mogliśmy tego dokonać. Trafiliśmy na wioskę, składającą się z sześciu domów, których połowa płonęła, zatrzymaliśmy się w niej. Wkoło leżało mnóstwo ludzi, nie mogących już iść dalej, a także kilkanaście zdychających koni. Faloppa uciął kawałek mięsa jednemu z nich, które upiekliśmy sobie na końcu pałaszy,

Naraz rozległy się strzały w stronie, z której przychodziliśmy. Obróciwszy się, ujrzałem tłum maruderów pędzących w nieładzie przez całą szerokość drogi, a po za nimi szedł marszałek Ney, który, zdaje się, strzelał kilkakrotnie dla napędzenia strachu maruderom, że Rosyanie idą tuż za nami, i w ten sposób chciał ich zmusić do przyśpieszenia kroku, ażeby jeszcze w tym dniu dojść do Kowna.

Mięso nie upiekło się nam jeszcze, gdy uznaliśmy za pewniejsze oddalić się spiesznie, ażeby nas ta nowa falanga nie pociągnęła za sobą.

Do Kowna było jeszcze koło sześciu mil drogi, a siły nasze były już strasznie wyczerpane. Mogła być godzina jedenasta. Faloppa odezwał się do mnie:

— Sierzancie, nie dojdziemy dziś zapewne; wy dostać się z tej dyabelskiej krainy jest chyba niemożliwym, nie ujrzę już nigdy moich pięknych Włoch!

Biedny chłopiec mówił prawdę!

W godzinę spotkaliśmy kilkanaście grup, złożonych z oficerów, podoficerów i kilku żołnierzy, w liczbie czterdziestu, niosących pomiędzy sobą orły swoje. Ci ludzie zdawali się być dumni, że mogli dołączyć zachować i uchronić ten święty depozyt.

Szliśmy tak długo z temi małemi oddziałami, o ile mogliśmy im nadażyć, gdy naraz rozległa się na nowo kanonada, wtedy jeden z nich, o którym nie mogę powiedzieć, jakie zajmował stanowisko, zwrócił się i zakomenderował tonem, którego nigdy nie zapomnę:

— Stać, dzieci Francyi! Nie pozwólmy na to, aby powiedziano o nas, że na huk strzałów przyśpieszyliśmy kroków! Marsz w tył!

Nie odezawszy się ani słowa, zawrócili się wszyscy w stronę, z kąd pochodziły strzały. My, nie mając sił iść w tamtą stronę, oddaloną pewnie o milę od nas, ciągnęliśmy dalej. Mróz dnia tego nie był bardzo mocny i gdyby był taki, jak dnia poprzedniego, zostalibyśmy pewnie na drodze.

Przeszedłszy kawał drogi, spotykając co chwila opuszczonych żołnierzy, spostrzegliśmy przed sobą cały szereg poruszający się chwilami, a chwilami zatrzymujący się. W miejscu tem znajdował się wąwóz. Droga zwężała się znacznie, z jednej strony przez pagórek, a z drugiej strony przez rzekę bardzo szeroką, która, o ile mi się zdaje, zwała się Niemnem. Ludzie, zmuszeni tu zatrzymać się, aby przepuścić kilka skrzyń, jadących od strony Wilna, tłoczyli się w największym nieładzie, chcąc dostać się pierwsi. Wielu schodziło na zamarznąłą rzekę, aby przedostać się na koniec wąwozu, na brzegu którego stało kilku, których zepchnięto na dół z wysokości pięciu stóp.

Kiedy dotarliśmy do owego miejsca, trzeba było poczekać. Spotkałem się tu z sierżantem Poumo z naszego pułku, który zaproponował nam, abyśmy razem przeszli rzekę, obiecując nam znaleźć na drugiej stronie kilka domów, w których spędzimy noc i nazajutrz wypoczęci łatwiej dojdziemy do Kowna, oddalonego ztąd o jakie dwie mile. Zgodziłem się na to chętnie, bo czułem, że braknie mi sił. Poumo zszedł pierwszy, poszedłem za nim, ześlizgując się ciągle, ale zaledwie zrobiłem kilka kroków, spostrzegłem całą niemożliwość podobnej drogi. Dałem znak Faloppie, aby nie schodził.

Poumo, obejrzawszy się za nami, choć widział, że nie idziemy, nie zatrzymał się, ale poszedł dalej z trzema starymi grenadyerami z gwardyi i choć z trudem, doszli jednak do przeciwnego brzegu.

Zbliżyłem się do Faloppy, oddzielony od niego wysokością grobli, i powiedziałem mu, aby poszedł drogą, a ja pójdę brzegiem rzeki, a na końcu jej oczekiwać na niego będę. Ruszyłem też zaraz w drogę, mając nad głową całą masę ludzi, posuwającą się powoli, aby za chwilę zatrzymać się, krzycząc i przeklinając z obawy, aby nie zostać zepchniętym na dół, jak przytrafiło się to kilku rannym, których nie myślano wcale podnieść i którzy też zapewne nigdy nie powstałi.

Przebiegłem może trzy czwarte długości wąwozu, kiedy spostrzegłem naraz, że rzeka zwraca się gwałtownie na lewo, podczas kiedy droga, rozszerzając się, szła na prawo. Trzeba było wrócić się do środka wąwozu, gdzie grobla była niższa i tam wdrapać się na nią. Ale czy było to możliwem dla mnie, tak słabego i o jednej ręce?

Wdrapałem się na kawałek wystającego lodu, błagając, aby podano mi rękę. Było to próżne, nikt mi nie odpowiedział, a nawet robili takie wrażenie, jakby mnie wcale nie słyszeli.

W końcu zlitował się Pan Bóg nademną. W jednej chwili cała ta masa zatrzymała się; podniósłszy głowę, ujrzałem starego grenadyera z gwardyi cesarskiej, pieszo, mającego brodę i wąsy pokryte lodem, do którego zwróciłem się tonem błagającym:

— Towarzyszu, proszę cię na wszystko, podaj mi rękę, a uratujesz mi życie!

— Ty chcesz, abym ja ci rękę podał? Ależ ja jej nie mam wcale!

Na taką odpowiedź zdawało mi się, że spadnę, lecz dodał:

— Ale jeżeli potrafisz schwycić się za połę mego płaszcza, to może uda [mi się wyciągnąć cię ztamtąd.

Schwyciłem się jej rękami, a nawet i zębami i po chwili byłem już na drodze. Szczęściem, że w tej chwili nie było ruchu, inaczej bowiem zgniecionoby mnie do szczętu. Stary grenadyer zaproponował mi, abyśmy poszli razem, na co zgodziłem się chętnie, gdyż wysiłek ten strasznie mnie osłabił.

Po chwili ruszono dalej. W końcu doszliśmy do miejsca, gdzie wąwóz się kończył i gdzie każdy mógł maszerować swobodniej. Stary brygadyer odezwał się:

— Zatrzymajmy się na chwilę, aby odetchnąć! Prawda, że oddałem ci wielką przysługę — ciągnął dalej.

— Ależ naturalnie i to nawet ogromną, gdyż uratowałeś mi życie.

— Nie mówmy o tem więcej — rzekł — źle się wyraziłem wtedy, gdy powiedziałem, że nie mam rąk, nie, brakuje mi tylko palcy, wszystkie mi odpadły. Teraz ja prosić cię będę o pewną rzecz. Potrzebuję wyjść, a nie mogę dać sobie sam rady.

— Rozumiem cię, stary przyjacielu, i czuję się bardzo szczęśliwym, że mogę ci w czemkolwiek pomódz!

W jakiś czas potem nadszedł Faloppa, płacząc i przeklinając, że nie może iść dalej. Stary grenady

dyer spytał mi się, co to za zwierzę, co płacze jak kobieta. Powiedziałem mu, że jest to Piemontczyk. Staralem się natchnąć odwagą biednego Faloppę, podałem mu ramię i ruszyliśmy w drogę.

Mogła być godzina piąta, a do Kowna mieliśmy jeszcze dwie mile drogi. Stary grenadyer powiedział mi, że palce odinroził sobie jeszcze przed Smoleńskiem, że straszliwie cierpiał, przeprawiając się przez Berezynę, że w Ziembinie znalazł mieszkanie i właśnie tam w nocy poodpadały mu palce, jeden po drugim, ale od tego czasu nie cierpi już tak bardzo.

Po półgodzinnym marszu weszliśmy do niewielkiej wioski, w której zatrzymaliśmy się, aby odpocząć i rozgrzać się trochę. Chaty były przepelnione umierającymi, którzy wydawali rozdzierające krzyki, złożone z przekleństwem, jeżeli ktokolwiek dotknął się ich. Znaleźliśmy jakąś pustą stajnię, w której był tylko grenadyer z tegoż pułku, co i nasz stary.

Mieliśmy jeszcze półtorej mili drogi; od jakiegoś czasu mróz stopniowo zwiększał się; obawiając się, aby nie stał się gwałtownym, odezwałem się do Faloppy, że trzeba nam jechać, ale tenże nie mógł powstać. Przy pomocy grenadyera, który miał konia, udało się nam wynieść go ze stajni i postawić na nogi. Podałem mu ramię i ruszyliśmy w drogę, ale przez cały czas nie odezwał się ani słowa.

Wokoło nas widać było tylko nieszczęśliwych, wlokących się z trudem i gonących resztkami sił. Wielu leżało już na śniegu, dając znaki zbliżającej się śmierci.

Naraz Faloppa, którego rozweselałem ciągle,

mówiąc: „Otóż idziemy! Jeszcze trochę odwagi!“ upadł najpierw na kolana, a później na ręce; myślałem, że skończył życie i runąłem obok niego, pozbawiony sił. Mróz zmusił mnie do podniesienia się, albo raczej napad wściekłości, gdyż przeklinając i zlorzecząc, ukląknęłam. Następnie, schwyciwszy Faloppę za włosy, posadziłem go. Patrzył się na mnie, jak nieprzytomny. Widząc, że żyje, odezwałem się do niego:

— Odwagi, przyjacielu! Kowno już niedaleko, bo widać już klasztor na lewo. Czy go nie widzisz?

— Nie, sierżancie — odpowiedział — widzę tylko śnieg, gdzie jesteśmy?

Odpowiedziałem mu, że niedaleko miejsca, w którym nocować mamy i gdzie dostaniemy chleba i wódki.

Los zesłał nam w tej chwili pięciu wieśniaków, dwóm z nich zaproponowałem, aby zaprowadzili Faloppę do Kowna, a dostaną po pięć franków. Zaczęli się wzdragać, że już późno i mroźno, domyślając się, że im szło o zapłatę, dałem im naprzód pięć, obiecując drugie po przybyciu.

Wieśniacy podnieśli Faloppę, ale ten nie mógł iść wcale, wtedy kazałem go posadzić na karabinach i nieść w ten sposób, ale nie zaszliśmy daleko. Postanowiłem, aby go wieśniacy nieśli na plecach, zmieniając się kolejno. Przestrzeń półmilową, jaka oddzielała nas od miasta, przeszliśmy przeszło w godzinę, zatrzymując się ze szesć razy, aby spożyć.

Chwilami dochodziły jeszcze strzały, lecz były to ostatnie podrygi naszej armii. Nakoniec doszliśmy do Kowna małą drożyną, którą znali wieśniacy, a przez którą armia nie przechodziła. Pierwszy budynek, jaki wpadł nam w oczy, była stajnia, weszliśmy tam. Przed zapłaceniem wieśniaków błagałem ich, aby przynieśli nam słomy i drzewa. Przynieśli nam jedno i drugie, a nawet rozpalili ognisko, gdyż nie miałem sił zająć się tem, a Faloppa siedział w kącie stajni, jak martwy, nie mówiąc ani słowa, tylko chwilami wykrzywił się straszliwie, lub też podnosił ręce do ust, jakby chciał je zjeść. Ogień zdawało się, że dodał mu trochę sił. Zapłaciłem wieśniaków, którzy przynieśli nam jeszcze drzewa, dając mi do zrozumienia, że przyjdą wkrótce. Wierząc w ich obietnicę, dałem im jeszcze po pięć franków, prosząc, aby przynieśli nam za nie chleba, wódki lub cokolwiek innego. Obiecali mi solennie, ale się więcej nie ukazali.

W tym czasie w mieście działy się smutne bardzo sceny. Szczątki armii, które co chwila się zwiększały, nie mogąc znaleźć mieszkań, biwakowały na ulicach, rozgrabiwszy magazyny z mąką i wódką. Wielu z nich upiło się i spało na śniegu, aby nie obudzić się więcej. W ten sposób zginęło podobno blisko 1,500 ludzi.

Po odejściu wieśniaków przybyło do stajni pięciu ludzi z naszego pułku. Przedtem jeszcze spotkali kilku żołnierzy, wracających z miasta, którzy powiedzieli im, że w mieście jest wódka i mąka. Dwóch z nich udało się tam zaraz, zostawiając broń i worki, ale nie wrócili. Dla dopełnienia miary nieszczęść

moich nie miałem w czym ugotować ryżu, gdyż Grangier wziął mój imbryk, a trzech ludzie owi nie mieli nic takiego, coby nam do tego służyć mogło, a żaden nie chciał się ruszyć, aby cośkolwiek poszukać. Strzały rozlegały się ciągle, chociaż oddalone o jaką milę od nas. Wicher dał przeraźliwie, a wpośród tej piekielnej muzyki, zdawało mi się, że słyszę rozdzierające krzyki umierających na śniegu, którzy nie mieli sił dostać się do miasta.

Choć mróz dnia tego nie był dość silnym, jednakże zginęła wielka ilość ludzi, gdyż wszyscy, którzy wracali z Moskwy, czynili nadludzkie wysiłki. W liczbie czterdziestu lub pięćdziesięciu tysięcy ludzi, pokrywających przestrzeń dziesięciomilową, połowa była w Moskwie, były tam dalej garnizony ze Smoleńska, z Orszy, z Wilna, szczątki korpusów generała Victora i Oudinota, dywizyi generała Louison, których spotkaliśmy umierających z zimna jeszcze przed Wilnem.

Ludzie, którzy byli z nami w stajni, poszli spać wokoło ognia. Miałem jeszcze kawałek ugotowanej koniny, zjadłem ją, aby nie umrzeć z głodu. Był to ostatni kawałek, jaki pochłonąłem przed opuszczeniem tej krainy nieszczęścia.

Poczem zasnąłem snem, przerywanym cierpieniami. Gdy się obudziłem, spostrzegłem, że tamci zabierają się do drogi, choć do dnia było jeszcze daleko. Spytałem ich dlaczego odchodzą, odpowiedzieli, że idą spać do domu, który odkryli niedaleko ztąd, a w którym znajduje się słoma i gorący piec, dom ten zajmują cztery kobiety, jakiś mężczyzna i czterech żołnierzy z garnizonu kowieńskiego.

Chciałem iść z nimi, ale nie mogłem opuścić Falopy. Spojrzawszy na miejsce, na którym leżał, zadziwiłem się bardzo, nie ujrawszy go tam, ale żołnierze powiedzieli mi, że już od godziny czołga się jak zwierzę na czterech łapach i mruczy jak niedźwiedź. Ognisko nie dawało dostatecznego światła, ledwie go też odnalazłem. Gdy się do niego zbliżyłem, zaczął się śmiać, wydając głos podobny do głosu niedźwiedzia, posuwając się ciągle na czworakach. Kilkakrotnie odzywał się, ale po włosku, zdawało mu się widać, że jest w swoim kraju, wpośród swych gór, że gra z przyjaciółmi dzieciństwa, wzywał chwilkami rodziców. Biedny Faloppa zwaryował.

Ponieważ trzeba go było zostawić samego, gdyż musiałem obejrzeć nowe mieszkanie, przedsięwziąłem wszelkie ostrożności, aby nic mu się złego nie zrobiło w czasie naszej nieobecności. Zgasiliśmy ognisko i zamknęliśmy drzwi. Przyszedszy do owego domu, zastaliśmy żołnierzy zajadających jakąś zupę i wcale nie wynędzniałych, resztą było to naturalne, gdyż od września stali w Kownie.

Zanim się położyłem, spytałem się wieśniaka, czy nie przyprowadziłby za pięć franków, które mu pokazałem, chorego żołnierza. Wieśniak jeszcze nie zdążył odpowiedzieć, gdy żołnierze prosili o pierwszeństwo:

— My— powiedział jeden — pójdziemy chętnie zadarmo.

— A my damy mu zupy!—powiedział drugi.

Zacząłem im dziękować, mówiąc, iż widać, że są prawymi Francuzami. Wzięli z sobą krzesło, by przynieść na nim chorego, i ruszyliśmy, ponieważ

jednak wlokłem się z trudem, podali mi ramię. Opowiedziałem im w drodze, w jak smutnem położeniu znajduje się Faloppa i że prawdopodobnie będę musiał zdać go na łaskę Rosyan:

— Jakto?—zapytał się jeden z nich.

— Naprawdę—odpowiedziałem — na łaskę kozaków, których tylko patrzeć!

Myśleli oni, że prześladowuje nas tylko nędza i mróz.

Wszedłszy do stajni, znaleźliśmy Faloppę uśpionego pod drzwiami. Wsadzono go na krzesło i tak przyniesiono do domu. poczem umieszczono na słomie koło pieca. Tu, wymówił kilka wyrazów bez związku. Był do niepoznania zmieniony, twarz miał całą zakrwawioną, była to krew z rąk, które pogryzł sobie, chcąc je zjeść, usta miał pełne słomy i ziemi. Dwie kobiety obmyły mu twarz z litości, a żołnierze rozebrali go i znalazłszy w worku czystą bieliznę, zmienili mu ją, następnie dali mu pić, otwierając siłą usta, bo ścisnął mocno zęby. Faloppa tymczasem zbierał słomę wokół siebie, chcąc się nią przykryć, co miało być oznaką śmierci, jak mi powiedziała jedna z kobiet. Zrobiłem wszystko, co mogłem, by go uratować, a co z pewnością zrobiłby i on dla mnie, bo dał tego już nieraz dowody, szczególnie w Hiszpanii.

Ciepło, rozchodzące się po całym pokoju, pozwoliło mi się przespać ze trzy godziny tak smacznie, jak nie spałem ani razu od chwili opuszczenia Moskwy.

Obudził mnie jeden z żołnierzy, mówiąc: „Sierzancie, zdaje mi się, że odchodzą, bo słyhać stra-

szny hałas. Mamy się zebrać na placu, wskutek rozkazu, jaki nam wczoraj wydano. Co do waszego żołnierza, to nie macie co o nim myśleć, jest to człowiek stracony.

Wstałem, by mu się przyjrzeć. Dwie kobiety krzątały się koło niego. Młodsza wręczyła mi skórzany woreczek, zawierający pieniądze, mówiąc, że wyleciał mu z kieszeni. Zawierał w sobie koło 30 franków, które dałem kobietom, prosząc, by miały o nim staranie do ostatniego jęgo tchnienia.

Hałas na ulicy powiększał się ciągle. Zrobiło się już widno, pomimo tego nie widzieliśmy i tak nic, bo małe okna w domu były zupełnie zamaznięte. Mieliśmy już wyjść, gdy rozległy się strzały armatnie od strony Wilna, ale bardzo blizkie, do tego przyłączyły się krzyki i przekleństwa. Przeraziliśmy się, że Rosyane są w mieście i że się biją; chwyciliśmy za broń, która była nabitą. Prochu nam nie brakowało. Jeden z żołnierzy miał ukrytą butelkę wódki, sądząc teraz, że będzie nas potrzebował, podzielił się nią z nami, a drugi dał nam po kawałku chleba.

Jeden z nich odezwał się do mnie:

- Sierżancie, a może dać broń wieśniakowi?
- Można—odrzekłem.
- Więc naprzód, wieśniaku!—rzekł żołnierz.

Biedak, nie wiedząc, co ma robić, pozwolił się prowadzić. Kazano mu wziąć karabin, mówiąc, że ma nim zabijać kozaków. Usłyszawszy to, upuścić strzelbę, podniesiono ją i grożąc, rozkazano mu ją trzymać. Wieśniak odrzekł, że jeżeli Rosyane po-

znają w nim chłopą, to go zabiją. Wtedy rozległ się płacz dwóch kobiet. Biedny Faloppa skonał!

Żołnierz wziął kapotę zmarłego i wsadził ją na wieśniaka. W kilka minut był uzbrojony od stóp do głów, bo dano mu i pałasz i ładownicę i czapkę. Scena ta odbyła się tak szybko, że jej dwie kobiety płaczące nad Faloppą nie zauważyły wcale.

Hałas na ulicy zwiększał się coraz bardziej, usłyszałem głos generała Roguet, wołającego, by się spieszyć i rozkazującego przeglądać domy, czy kto w nich nie pozostał.

Spostrzegłem strzelca z gwardyi, opartego o okno. Zbliżyłem się do niego z zapytaniem, czy Rosyane wtargnęli do miasta.

— Ależ nie, nie!... Czyż nie widzisz, że generał Roguet spędza wszystkich? Lecz cóż mnie to obchodzi? Czekać będę tylko!...

Nie wyszliśmy jeszcze z domu, gdy adjutant major zatrzymał się przed domem; ujrawszy mnie, odezwał się:

— Cóż ty tam robisz, wychodźże. Nie wolno nikomu pozostawać w domu, bo wypędzać będą wszystkich przy pomocy kija.

Wyszliśmy nie myśląc o wieśniaku, który pozostał naturalnie u siebie i zamknął zā nami drzwi. Adjutant dojrawszy to, a sądząc, że to jakiś żołnierz pragnie się ukryć, zawrócił i rozkazał mu wyjść. Wieśniak patrzył się na niego, nic nie mówiąc. Adjutant schwycił go za kołnierz i wyrzucił za drzwi, wtedy tenże zaczął tłómaczyć się w swoim języku. Adjutant, sądząc, że ubolewa po worku i strzelbie, wrócił po jedno i drugie i przyniósł mu je. Widząc

w chałupie dwie płaczące kobiety i zmarłego, odezwał się:

— To bydlę nie takie głupie, jak się zdaje. Chciał zostać, by pocieszyć wdowę! Do jakiego pułku należy, bo o ile mi się zdaje nigdy go nie widziałem!

Nikt nie myślał wtedy nad słowami adjutanta, gdyż zanadto zajęty był samym sobą.

Kobieta, usłyszawszy głos męża, pobiegła do drzwi, gdyśmy tam jeszcze byli. Wieśniak, ujrzawszy ją, zaczął krzyczeć, ale nie mógł dać się jej poznać wpośród nas tylu, zresztą nie czuł sobie tego za zaszczyt, że on, Litwin, miał zostać żołnierzem francuskim z gwardyi cesarskiej, co prawda nie idącej wtedy ku chwale, ale ku niedoli. Wszystko to nie trwało dziesięciu minut nawet. Przypuszczam, że gorzkie musiał mieć myśli, idąc pomiędzy nami.

Udano się w drogę, ale bardzo powoli. Na ulicy leżało mnóstwo trupów, zmarłych w nocy, ale o wiele więcej znajdowało się ich w mieście, w którym nie byłem wcale.

Ulica ta prowadziła nad Niemen. Na moście był szalony tłok, wielu przechodziło po lodzie, by dostać się na drugą stronę, bo każdemu zdawało się, że uratowanym będzie, gdy ujrzy się tam. Przyszłe przygody przekonały nas, jak bardzo myliliśmy się.

Oczekując na swobodniejsze przejście, pułkownik Bodelin, dowodzący naszym pułkiem, wydał rozkaz, by oficerowie o ile możliwości zgromadzili wszystkich w szeregi. Było nas wtedy koło sześćdziesięciu kilku ludzi, resztki dawnych dwu tysięcy.

Zgrupowaliśmy się wkoło niego, patrzącego ze smutkiem i bólem na szczątki swego pięknego pułku, myśląc, że przed pięciu miesiącami most ten przechodziła cała nasza armia taka piękna, błyszcząca i świetna. By wlać nam trochę odwagi, zaczął do nas w ten sposób:

— Chodźmy, dzieci, nie przypominam wam o odwadze, bo przekonany jestem, że wam jej nie brak, gdyż w czasie tych trzech lat, jakie spędziłem z wami, daliście jej zawsze dowody, a szczególnie w tej strasznej kampanii, przez to, żeście ją zniesli, pozbawieni tyłu potrzeb życiowych. Ale pamiętajcie, że im kto więcej zniesie trudów i niebezpieczeństw, tem większa dla niego sława i honor, a tem większe będzie miał prawo do wdzięczności potomności!

Następnie spytał się, ilu jest obecnych. Skorzystałem z tego, by powiedzieć Serraris'owi, że Faloppa umarł rano. Spytał się, czy jestem tego pewien, odpowiedziałem mu, że widziałem go umierającego, a adjutant major Roustan widział go martwym.

— Co, ja? — spytał się major. — A gdzie?

— W domu, z któregośmy wyszli, a do którego wszedłeś, by kazać wyjść ztamtąd komu innemu.

— To prawda — odpowiedział — widziałem jakiegoś człowieka zmarłego na słomie, ale był to człowiek domowy, którego kobiety oplakiwały.

Powiedziałem mu na to, że ten, któremu kazał wyjść, był właściwie mężem, a ten, który leżał na słomie, był właśnie Faloppą. Opowiedziałem mu

w kilku słowach całą scenę z wieśniakiem, zaraz też szukaliśmy go w szeregach, ale już znikł.

Poprzednicy nasł przeszli już wszyscy rzekę. Ruszyliśmy w porządku, ale nie mogliśmy iść tak dalej, gdyż drogę tamowały rozbite skrzynie, rzucił się więc każdy, jak chciał i umiał. Kilku mych przyjaciół wzięło mnie pod rękę i skierowaliśmy się na lewo. Szedłem obok Grangiera, którego odnalazłem na szczęście, a który myślał więcej o mnie, niż o sobie samym. Szedł przedemną, torując mi drogę w śniegu, lecz ja mu nie mogłem nadażyć; uszedł już z jakie trzy czwarte drogi, gdy ja zaledwie trzecią część. Zatrzymał się, dając mi znak, że będzie na mnie czekał. Lecz ja byłem tak osłabiony, że nie mogłem wyciągnąć już nóg, wreszcie potknąwszy się, stoczyłem się w Niemen na lód.

Nie zrobiłem sobie nic złego, bo śniegu było dosyć, jednakże stłukłem sobie ramię i zakrwawiłem twarz o krzaki. Podniosłem się, nic nie mówiąc, jakby to było rzeczą naturalną, bo przywykłem już tak do cierpienia, że nic mnie poruszyć nie mogło.

Podniosłszy strzelbę, chciałem wdrapać się na powrót, ale było to rzeczą niemożliwą. Przyszła mi myśl, że może wdrapię się łatwiej przy początku mostu, przy pomocy jaszczyków, dlatego pociągnąłem w tamtą stronę. Gdym się tam dostał, ujrzałem kilkunastu strzelców i grenadyerów, zgarniających pełnymi rękami pieniądze z jaszczyków. Mnie nie przyszło to nawet na myśl, myślałem tylko, by

się wydostać. Ale w tej chwili rozległy się krzyki:

— Do broni, do broni! Kozacy! — a zaraz też zahuczała strzelanina.

Pociągnąłem jednego z grenadyerów za nogi, odwrócił się, pytając, czy nie mam pieniędzy. Odpowiedziałem mu, że nie, dodając:

— Ale kozacy idą!

— Jeżeli tylko to — odrzekł — to nie trzeba było mnie poruszać, mogę im bowiem zostawić pieniądze! Kto chce? Daję każdemu! — Mówiąc to, rzucił na ziemię dwa pełne duże wory.

Wziąwszy karabin jednego z grenadyerów, zostawiłem mu wzamian mój, poczem skierowałem się na most, gdyż innej drogi dla mnie nie było.

Przy samym moście spotkałem kapitana Débouez, z którym rozmawiałem kilkakrotnie. Szedł w towarzystwie porucznika i żołnierza, był to cały jego oddział. Opowiedziałem mu, w jak rozpaczliwym znajduję się położeniu. Za całą odpowiedź dał mi kawałek cukru nasyconego wódką, poczem rozstaliśmy się. Zaledwie uszedłem nieco drogi, gdy usłyszałem, że ktoś mnie woła, odwróciłem się: był to dzielny Grangier, który mnie szukał na wszystkie strony. Spytał się, dlaczego nie idę, powiedziałem mu tego przyczynę. Wtedy Grangier szedł obok mnie i gdyby nie jego pomoc, nigdy zapewne nie przebyłbym mostu.

Z miejsca, na którym staliśmy, widać było doskonale drogę do Wilna, Rosyan idących na Kowno i wielu innych po za Kownem, którym jednakże nie pozwolił zbliżyć się marszałek Ney.

Było to dnia 14 grudnia, koło godziny 9 zrana. Niebo było pochmurne i mróz nieznośny, śnieg nie padał. Z początku nie wiedzieliśmy, gdzie idziemy, ale doszedłszy do drogi, ujrzeliliśmy tam słup, na którym przybita była tablica, wskazująca drogę.

Poszliśmy drogą wskazaną gwardyi cesarskiej. Na kilka kroków przed nami szło sześciu nieszczęśliwych żołnierzy, podobnych do wilm, o twarzach chudych, pokrytych krwią zastygłą. Szliśmy do godziny 3-ej po południu, zrobiwszy tylko trzy mile, z przyczyny sierżanta Potou, który cierpiał sztrazliwie.

Po prawej stronie, o jakie ćwierć mili od drogi, znajdowała się wioska, w której postanowiliśmy przenocować. Znaleźliśmy tam dwóch żołnierzy liniowych, którzy zabili przed chwilą krowę. Przyłączyliśmy się naturalnie zaraz do nich.

Wieśniak, do którego krowa ta należała, dzielił ją sam między nami, rozpaliliśmy ogień, przyniósł dwa garnki z wodą, by nagotować zupy, następnie przyniósł nam słomy. Jakże dawno nie czuliśmy się tak szczęśliwi, jak w owej chwili. Po chwili zjadłszy zupę, ułożyliśmy się spać.

Spałem koło Potou, który przeraźliwie stękał i skarżył się. Spytałem się, co mu jest, odpowiedział mi na to:

— Mój kochany, jestem pewny, że nie zrobię kroku dalej!

Pocieszałem go jak mogłem, mówiąc, że gdy odpocznie, to zrobi mu się o wiele lepiej. Przez całą noc płakał i jęczał, zrywając się co chwila, by coś pisać na kartkach, a następnie drzeć je w kawałki.

W chwili gdy zasnąłem smacznie, Potou zbudził mnie, mówiąc:

— Przyjacielu, nie wyjdę ztąd z pewnością, musisz więc mi zrobić przysługę, rachuję na ciebie, że w razie, gdy będziesz tak szczęśliwym, że wrócisz do Francyi, wypełnisz zlecenie, jakim cię obarczyę. Gdybyś nie mógł wrócić, powierz je Grangierowi. Masz tu oto paczkę papierów, które oddasz mej matce, według podanego tu adresu, napiszesz do niej list, w którym przedstawiś całe smutne położenie, w jakim mnie porzucicie, (nie robiąc jej jednak żadnej nadziei, by mnie kiedykolwiek ujrzeć mogła.

Oddał mi następnie niewielką paczkę, dodając, że liczy na mnie. Obiecałem mu zrobić wszystko, ale nie wierzyłem w to, byśmy go mieli opuścić.

Nazajutrz w chwili odjazdu powtórzyłem przyjaciółom o zleceniu, jakie dał mi Potou. Myśleli, że był to brak odwagi. Ale nieszczęśliwy Potou pokazał nam dwie ruptury, na które cierpiał oddawna, a które teraz wyszły wskutek szalonego wysiłku, jaki zrobił, wchodząc na górę pod Kownem. Przekonaliśmy się, że rzeczywiście ruszyć się nie może. Postanowiono więc powierzyć go wieśniakom za zapłatą, ale przedtem zaszyliśmy mu złoto w pas i przywoławszy chłopą, mówiącego po niemiecku, wytłómaczyliśmy mu, czego od niego żądamy. Obiecał nam wszystko, przysięgając się na Boga. Poczem pożegnawszy się z biednym naszym towarzyszem, wyruszyliśmy dalej.

Błagał mnie, bym o nim nie zapomniał i ucałowawszy się serdecznie, wyszedłem od niego ze ściskaniem serca. Nie wiem, czy wieśniak dotrzymał

słowa, ale już nigdy nikogo nie słyszałem, wspominającego o Potou, który był doskonałym chłopcem, dobrym towarzyszem i który otrzymał świetną edukację, rzecz rzadką w ówczesnych czasach. Był on szlachciem bretońskim, a pochodził z najlepszej rodziny w tamtych stronach.

Wypełniłem święcie powierzoną mi misję, gdyż przyjechawszy do Paryża w maju, wysłałem zaraz podług podanego adresu paczkę mi powierzoną, a która zawierała testament i rozdzierające serce pożegnanie, pisane w czasie febrzy. Oto jego kopia:

„Adieu bonne mère,
 Mon amie;
 Adieu ma chère,
 Ma bonne Sèphie!
 Adieu Nantes, ou j'ai reçù la vie
 Adieu belle France, ma patrie,
 Aieu mère chérie,
 Je vois quitter la vie
 . Adieu!“

Od kilkunastu już lat przestałem pisać mój pamiętnik o kampanii rosyjskiej, a raczej uporządkować moje *wspomnienia*, pisane w r. 1813, gdy siedziałem w więzieniu. Teraz napadała mnie dziwna mania niewierzenia, czy to wszystko, com widział, przeniósł z taką cierpliwością i odwagą w tej straszliwej kampanii, czy to nie było tylko wymysłem wybujalej mej wyobraźni.

Jednakże, gdy śnieg zaczyna padać i gdy znajduję się w gronie mych druhów, starych weteranów cesarstwa, kilku jeszcze gwardyi cesarskiej, z których żyje już niewielu (w r. 1829), którzy byli ra-

zem ze mną w tej pamiętnej wyprawie, to jest byli w Moskwie, wspomnienia nasze zgadzają się zawsze i tak im, jak i mnie, pozostawiły po sobie niezatarte ślady. Z dumą mówimy zawsze o naszych pełnych chwały wyprawach.

Dziś, gdy mi i matka zwróciła kilka listów, które pisałem do niej z Rosyi, a które pragnąłem posiadać, by uzupełnić moje wspomnienia, zaczynam nabierać odwagi, przyłączywszy jeszcze do tego rady przyjaciół, by dzieło doprowadzić do końca. Być może, że którego dnia opowiadania moje, choć nie świetnie pisane, zaciekawia czytelnika, gdyż cóż nam zostało do zobaczenia, nam, cośmy tyle wspaniałych rzeczy widzieli? Geniusz wielki znikł, ale imię jego istnieć będzie wieki! Postanowiłem je pisać i dlatego, by wnuki moje, czytając je kiedy powiedzieć mogły: „Dziadek nasz walczył w zwyciężkich bitwach, razem z cesarzem Napoleonem!“ Przekonają się, jakżeśmy to gnietli Prusaków, Austryaków, Anglików w Hiszpanii i tylu innych; przekonają się także, że dziadek ich nie zawsze spał na łożku puchowem i chociaż nie należy do dobrych katolików we Francyi, pościł, a nawet suszył niejednokrotnie, nietylko w Wielki Tydzień!

Było to 15 grudnia o godzinie 7-ej rano. Wyszedszy ze stajni, skierowaliśmy się na drogę i doszedszy do miejsca, które opuściliśmy wczoraj, zatrzymaliśmy się.

Grangier, obawiając się, by mu nie ukradziono mego imbryka, oddał mi go, przypuszczając, że mo-

gę go potrzebować, gdyż ciągle zostawałem w tyle.

Niebo było jasne, mróz straszliwy. Na drodze widać było niewielu ludzi; to przekonało nas, że wczoraj przeważna część poszła dalej i w rozmaitych kierunkach.

Na drodze od Kowna ukazała się kolumna, ale nie mogliśmy odróżnić, czy to byli Francuzi, czy Rosyanie, dlatego też, nie będąc tego pewni, ruszyliśmy dalej.

Maszerowałem dosyć dobrze, gdy schwyciły mnie naraz gwałtowne kurcze, zmuszając do zatrzymania się. Były to jeszcze skutki mojej niedyspozycyi z Wilna, a powtórzenie tego przypisałem rosolowi z krowy.

W ten sposób ledwie się posuwając, szedłem do godziny 3-ej po południu, niedaleko widać było las, w którym chciałem spędzić noc. Zbliżywszy się do niego na wystrzał karabinowy, spostrzegłem dom na prawo od drogi, wkoło którego przy ognisku siedziało kilkunastu żołnierzy z różnych korpusów, większość jednak z gwardyi cesarskiej. Zbliżyłem się, by się cokolwiek rozgrzać, a ponieważ zaproponowano mi, bym został, chętnie zgodziłem się na to.

Mróz zmniejszył się znacznie, o nieprzyjaciół, zdawało się, że można było być zupełnie spokojnymi, ale ludzie przybywający uprzedzali nas o zbliżaniu się kawaleryi, która, jak im się zdawało, była rosyjska:

— Choćby to był sam dyabeł — odpowiedział strzelec z gwardyi, — nie powstrzyma mnie on od przepędzenia tu nocy. Przyjaciele, zróbcie jak i ja, nabijcie broń i naszykujcie bagnety!

Wypełniliśmy rozkaz ten, nie odezwawszy się ani słowa.

— Zresztą — dodał — mamy w zapasie las, który jest naprawdę, piękną i doskonałą pozycją!

Następnie, ukrąjawszy sobie kawał mięsa, siadł spokojnie koło ogniska i piekł koninę na końcu palasza.

Wprost owego strzelca siedziała jakaś kobieta, z głową ukrytą w dłoniach, z łokciami wspartymi na kolanach. Ubrana była w szary żołnierski płaszcz i w baranią czapkę na głowie. Strzelec zwrócił się do niej z następującymi słowami:

— Odezwiż się, matko Magdaleno...

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Wtedy żołnierz jakiś trącił ją w ramię, mówiąc:

— To do was, matko, odezwijcie się.

— Do mnie? — rzekła. — Ja mam na imię Marya. Czegóż chcecie odemnie?

— Kieliszek wódki.

— Wiecie dobrze, że nie mam wcale wódki.

I zamyśliła się nanowo.

Obok niej siedziała druga kobieta, ubrana w płaszcz grenadyera z gwardyi. Kobieta ta na głos strzelca podniosła głowę, pytając się o tego, który żądał wódki.

— Ach, to ty, matko Gâteau — odpowiedział strzelec — tak, to ja pytałem się o wódkę. To ja, Michał, dziwisz się pewnie, widząc mnie. Zdziwiony jestem również, widząc was tak zmienioną, matko Gâteau.

— Niemądry — odpowiedziała matka Gâteau — zginiesz ty pierw, niż ja. Chcesz wódki, stary pija-

ku? Dosyć się jej napięś w Wilnie i Kownie. Jedna rzecz dziwi mnie tylko, żeś nie zdechł, opanowały się jej, jak tylu innych, co leżą na ulicach. Tylu dzielnych ludzi zostało tam, podczas gdy takie nicponie, jak ty, żyją ciągle.

— Dosyć, matko Gâteau—odezwał się strzelec—możesz sobie wymyślać, co chcesz, na mnie, ale wara ci od nicponiów i złych żołnierzy.

Po chwili odezwał się znów, pytając się jej, czy przechodziła górę pod Wilnem.

— Naturalnie—odpowiedziała—tegoż dnia w nocy okradziono mnie, szczęściem miałam trochę zaszytych pieniędzy i te starczą mi do Elbląga.

Poczem umilkła, jedząc kawałek koniny, którą dał jej stary strzelec.

Marya tymczasem wstała i z trudem posuwać zaczęła się dalej. Była strasznie zniszczoną zmęczeniem i nędzą. Matka Gâteau poszła za nią, przeklinając i mrużąc pod nosem. Domyśliłem się, że to na starego strzelca.

Było nas około czterdziestu, a liczba ta zwiększała się co chwila. Spostrzegłem między nowoprzybyłymi sierżanta Humblot, który, zobaczywszy mnie, spytał, co tu robię. Odpowiedziałem mu, że odpoczywam i że namyślałem się, czy nie lepiej byłoby spędzić tu nocy i ruszyć dopiero nazajutrz.

Humblot, dobry chłopiec i mój przyjaciel, zwrócił mi uwagę na to, że czas jest teraz dogodny i że po drugiej stronie lasu znajdują się dobre domy, w których możemy spędzić wygodnie noc, nazajutrz zaś dojdziemy do Wirbalen, (Wierzbołowa) niedużego miasteczka, w którym zastaniemy towarzyszków i znajdziemy ży-

wność. Namówił mnie w końcu i ruszyliśmy razem:

W drodze uprzedził mnie Humblot, że choć jesteśmy już na pruskim Pomorzu, to jednakże nie jest rzeczą bezpieczną maszerować samemu, gdyż mnóstwo kozaków przedostało się na tę stronę Niemna. Dalej opowiedział mi, że opuścił Kowno wczoraj i nie niepokoił się o nie, gdyż marszałek Ney walczył ciągle z nimi, i nie pozwolił im dostać się do miasta, aby dać czas wyjść pozostałym żołnierzom. Niemcy, stanowiący część garnizonu kowieńskiego, doskonale się trzymający i którym nigdy nic nie brakło, byli nędznymi żołnierzami, i gdyby nie Francuzi, byłiby rzucili broń i uciekli.

— Opowiem ci—mówił dalej—co mi się wczoraj zdarzyło, a co zapewne wpłynie na to, abyś użył wszystkich sił, by jak najprędzej wydostać się z tej krainy.

Po przejściu Niemna, o jakie ćwierć mili za miastem, spostrzegliśmy w dali 2,000 kozaków konno. Zatrzymaliśmy się, aby przyszykować się do obrony i aby poczekać na tych, co szli za nami. Było nas wszystkiego 400, utworzyliśmy kolumnę, aby w razie potrzeby zwinąć się w czworobok. Oficerowie przyjęli na siebie dowództwo. Przyłączyło się jeszcze dwudziestu dwóch Polaków.

— Ruszyliśmy odważnie na nieprzyjaciela, który stanął po obu stronach drogi. Kolumna, zbliżywszy się, zatrzymała się, aby poczekać jeszcze na naszych, z których kilku tylko doszło, gdyż kozacy zatrzymali bardziej oddalonych, poczem weszliśmy w środek nich z okrzykiem: „Niech żyje cesarz!“

Zaledwie Humblot skończył swe opowiadanie,

gdy musiałem się zatrzymać znów z przyczyny mej choroby. Podczas gdy się załatwiałem, maszerował dalej powoli, abym mógł go dogonić. Jednakże drogą szło wielu ludzi, przeszkadzających mi pospieszać. Naraz rozległy się krzyki:

— Uwaga, kozacy!

Myślałem, że był to fałszywy alarm, ale ujrzałem kilku oficerów, szykujących się do walki i wołających:

— Nie bójcie się, pozwólcie im się zbliżyć!

Obejrzałem się po za siebie, ujrzałem ich tak blisko, że dotknąłem się prawie konia: trzech było przedemną, dwóch za mną.

Natychmiast rzuciłem się w las, sądząc, że będę tam bezpieczny, ale trzech kozaków weszło tam prawie równocześnie ze mną, a las w tem miejscu, na nieszczęście, był bardzo rzadki. Zacząłem szukać gęstszego miejsca, gdy naraz, przez jakąś dziwną fatalność losu, napadła mnie moja niedyspozycja i to bardzo gwałtownie. Proszę wystawić sobie moje położenie! Chciałem się zatrzymać, było to jednak rzeczą niemożliwą, gdyż kozacy byli oddaleni odemnie zaledwie o kilka kroków, w końcu, nie wiedząc co robić, zmuszony byłem zatrzymać. Na szczęście drzewa były tu gęste, kozacy nie mogli się posuwać tak szybko na koniach i musieli zwolnić kroku, podczas gdy ja go przyspieszałem, ale potknąwszy się naraz o gałęzie, ukryte pod śniegiem, runąłem jak długi, chciałem się podnieść, ale poczułem wtedy, że trzyma mnie ktoś za nogę. Obawa kazała mi przypuścić, że to kozak, ale tak nie było, tylko zaplątała mi się ona między gałęzie. Wysiłkiem woli

wstałem i obejrzałem; się kozacy nadjechali, szukając dogodnego miejsca do przejścia. Ja tymczasem oddalałem się coraz bardziej.

Trochę dalej zagroziło mi drogę zrąbane drzewo, byłem jednak tak słaby, że nie miałem sił podnieść nóg, by je przybyć, a obawiając się powtórnego upadku, usiadłem.

Siedziałem może z pięć minut, gdy ujrzałem jak kozacy, zsiadłszy z koni, przywiązali je do krzaku. Sądziłem, że chcą mnie w ten sposób schwytać, podniosłem się, by uciekać, ale wtedy ujrzałem, że zajęli się trzecim swym towarzyszem, straszliwie ciętym pałaszem przez twarz, gdyż trzymał jedną ręką kawałek ciała, który mu wisiał, podczas gdy inni szykowali chustkę, by mu nią przewiązać głowę. Wszystko to działo się o dziesięć kroków odemnie. Patrzyli ciągle na mnie, rozmawiając między sobą.

Gdy skończyli z towarzyszem, ruszyli wprost na mnie; widząc, że jestem zgubiony, uczyniłem ostatni wysiłek, wlałem na drzewo, skierowałem nabity na szczęście karabin na nich, decydując się strzelić do pierwszego, co się do mnie zbliży; miałem do czynienia tylko z dwoma, gdyż trzeci cierpiał widocznie jak potępieniec, oba, chodząc w lewo i w prawo, wymachiwał ciągle rękami i krzywił się przeraźliwie.

Widząc mnie w obronnej pozycji, kozacy zatrzymali się, dając mi znak, bym się do nich zbliżył i że mi nic złego nie zrobią. Nie dowierzałem im jednak i nie zmieniłem położenia.

Rozważywszy oplakany stan, w jakim się zna-

lazłem, jasnym, było że bez zmiany ubrania nie sposób było, bym szedł dalej. Miałem koszulę i spodnie białe sukienne, które zdobyłem z mantelzakim na górze Ponarskiej.

Otworzywszy worek, wyciągnąłem koszulę, następnie spodnie i położyłem je na drzewie; rozebrałem się naprzód z płaszcza wojskowego, potem z kamizelki żółtej, jedwabnej, na wacie, którą zrobiłem sobie jeszcze w Moskwie, odwinałem potem płótno, którym miałem obwinięte całe ciało i które podtrzymywało me spodnie. Co do koszuli, to ta nie sprawiała mi żadnego kłopotu, gdyż składała się z samych łachmanów. Nakoniec zostałem zupełnie goły, mając tylko zniszczone buciki na nogach, wśród dzikiego lasu, dnia 15 grudnia, o 4-ej godzinie po południu, przy dwudziestostopniowym mrozie i przy wietrze północnym, wyjąłym coraz silniej.

Spojrawszy się na moje ciało, brudne, wychudzone, pocięte przez robaki, nie mogłem powstrzymać się od łez. W końcu, zebrawszy siły, zabrałem się do ubierania, zebrałem wszystkie łachmany i przy pomocy śniegu, chciałem się trochę umyć. Następnie wdziałem moją nową płócienną koszulę. Spodnie moje były niemożliwe do włożenia, wciągnąłem zaraz nowe, ale były strasznie krótkie, gdyż dochodziły mi zaledwie do kolan, buty zaś tylko do kostek, tak, że całe łydki miałem gołe. Następnie wsadziłem kamizelkę, płaszcz i czapkę. Ubrany byłem zupełnie, z wyjątkiem łydek.

Ruszyłem następnie zaraz w drogę. O jakie dwieście kroków spotkałem się z dwojgiem ludzi, kobietą i mężczyzną, w których poznałem Niemców,

będących pod wrażeniem strachu. Spytałem się ich, czy nie pójdą ze mną, ale mężczyzna drzącym głosem odpowiedział, że nie i wskazując na drogę, powiedział jeden wyraz:

— Kozacy!

Żona radziła mi, by poszedł ze mną, ale ten nie chciał się zgodzić, w końcu musiałem go opuścić.

Błąkając się jeszcze jakie pół godziny, stanąłem, by zorientować się, gdyż noc się zbliżała.

Śniegu w tej części lasu było mnóstwo; zakrywał on wszystkie ślady i drogi. Opartem się o pień drzewa i stałem tak nieruchomy. Naraz usłyszałem szczekanie psa, rozejrzałem się wkoło i ujrawszy światło, wydałem westchnienie nadziei. Zebrawszy siły jakie mi pozostały, posunąłem się w tym nowym kierunku. Zbliżywszy się na trzydzieści kroków, ujrzałem wokoło ognia czterech siedzących kozaków i trzech wieśniaków, między którymi był Niemiec i jego żona.

Patrzyłem się na nich dość długo, myśląc nad tem, czy nie zrobię lepiej, gdy zbliżę się do nich i zdam się na ich łaskę i niełaskę. Ogień mnie pociągał, ale jakaś siła odpychała mnie i kazała iść dalej. Cofnąłem się i obejrzałem napowrót. Zauważyłem, że nie brakowało im nic, bo koło ognia stało mnóstwo garnków. Mieli także masę słomy, a konie siana.

Z powodu drzew nie mogłem posuwać się w kierunku, który sobie obrałem, zmuszony byłem zwrócić się na lewo i tu o kilka kroków las stał się o wiele rzadszym, ale za to śniegu było dużo więcej, tak, że się przewróciłem kilkakrotnie. Podnosząc się, po raz ostatni wzniosłem oczy ku Niebu, wzywając

Boga, który opiekował się mną dotąd, i w chwili, gdy chciałem już zawrócić do kozaków, znalazłem się na końcu lasu i na drodze. Tu, upadłszy na kolana, zacząłem dziękować Bogu, przeciw któremu począłem się już buntować.

Maszerowałem wprost przed siebie; droga była dobrą i właśnie tą, którą powinienem był iść, tylko wiatr, którego nie czułem wcale w lesie, dał z siłą i dawał się szczególniej uczuć gołym mym łydkom.

Rozglądając się wokoło, ujrzałem jakąś chatę, w której drzwi były przymknięte, nie namyślając się więc, wszedłem tam. Zaledwie jednak zrobiłem dwa kroki, gdy jakiś gruby głos odezwał się:

— Kto idzie?

— Przyjaciel—odpowiedziałem—żołnierz z gwardyi!—Ah! ah! — rzekł tenże sam głos — a zkądże ty idziesz, że nie widziałem cię?

Odpowiedziałem mu moje przygody z kozakami, o których nie wiedział, że są tak blisko.

Wyszliśmy, by ruszyć dalej. Spostrzegłem wtedy, że nowy mój towarzysz był to stary strzelec z gwardyi, który niósł swój worek, z którego wyglądały mu spodnie, jemu zapewne niepotrzebne, a mnie mogące oddać wielką przysługę. Prosiłem, by mi je odstąpił za jakąbądź cenę, pokazując mu na gość mych łydek.

— Mój biedny towarzyszu—odpowiedział,—ależ chętnie ci je dam bez niczego, tylko wątpię, by ci się na co zdały, gdyż są nawpół spalone i bardzo dziurawe.

— Nic nie szkodzi, daj mi je, a uratujesz mi może w taki sposób życie!

Wyciągnął je z worka, mówiąc:

— Oto są, bierz je!

Wtedy dałem mu dwie sztuki po pięć franków, pytając go się, czy to dosyć.

— Dobrze — odpowiedział — spiesz się tylko i chodźmy, gdyż spostrzegam w dali dwóch kawalerzystów, którzy mogą być wysłańcami kozaków.

Podczas gdy on to mówił, wsparł się o drzwi, wciągałem spodnie, które obwiązałem następnie płótnem, poczem ruszyliśmy.

Zrobiwszy może sto kroków, towarzysz mój wyprzedził mnie nieco. Ujrzałem, jak się po coś schylił, nie mogłem zrazu odróżnić, coby to mogło być, przyszedłszy jednak na to samo miejsce, przekonałem się, że był to trup grenadyera z gwardyi cesarskiej. Pozbawiony był worka i czapki, ale miał jeszcze strzelbę, ładownicę, szablę i wysokie kamasze na nogach. Postanowiłem mu je ściągnąć, poczem wdział je na nogi i zakryć moje dziury. Zrobiwszy to, zacząłem prawie uciekać, jakbym się bał, by ten, którego ograбіłem, nie gonił mnie czasem.

W tym czasie sztelec uszedł taki kawał, że go nie mogłem już dojrzeć. Niezadługo potem ujrzałem przed sobą jakiś duży budynek, w którym poznałem stację pocztową. Stojący na straży zawołał:

— Kto żyje?—Odpowiedziałem mu na to:

— Przyjacieli! i wszedłem.

W środku było około trzydziestu żołnierzy, zajętych gotowaniem koniny i ryżu. Upadłem koło nich, dopiero w kilka chwil potem zacząłem z nimi mówić. Najpierw pociągnąłem jednego za kaptę. Spojrzał się na mnie, nic nie mówiąc, wtedy błaga-

jącym tonem, odezwałem się do niego szeptem, by mnie inni nie słyszeli:

— Towarzyszu, proszę cię, sprzedaj mi kilka łyżek ryżu, a wyrządzisz mi tem wielką usługę, bo uratujesz mi życie!

Jednocześnie pokazałem mu dwie pięciofrankówki. Wziął je, mówiąc:

— Idź!

Dał mi swój talerz i łyżkę, ustępując nawet miejsca przy ogniu. Zjadłem około czternastu łyżek za dziesięć franków.

Skończywszy jeść, obejrzałem się wokoło, czy nie ujrzę gdzie starego strzelca. Siedział koło drabiny, a zajęty był czapką, którą zabrał temu samemu grenadyerowi, co ja kamasze. Zbliżyłem się ku niemu, ale zaledwie rozciągnąłem się na słomie, gdy wartownik zawołał:

— Bacność! Kozacy!

Wszyscy podnieśli się zaraz, chwytając za broń, gdy naraz ktoś się odezwał:

— Przyjaciel i Francuz!

Weszło dwóch kawalerzystów, dając się nam poznać, ale kilku przerwało im, szczególnie stary strzelec mówiąc:

— Jakto, wy jedziecie konno i przebrani za kozaków? Prawdopodobnie, by lepiej grabić swoich, rannych i chorych?

— Ależ to wcale nieprawda — odpowiedział jeden z nich.—Możemy wam dowieść tego, tylko zróbcie nam miejsce, a opowiemy wam wszystko.—Ten, który to mówił, dał koniowi jeść, następnie wrócił do swego

towarzysza, ledwie się trzymającego na nogach i wzięwszy go za nogi, posadził przy mnie. Gdy zjedli kawałek chleba i napili się wódki, którą poczęstowali strzelca i mnie, ten, który już raz się odzywał, zaczął tak mówić:

— Wczoraj wieczorem wyratowałem brata z rąk kozaków, których był więźniem, a do tego ranym. Muszę wam opowiedzieć, bo zakrawa to na cudowną historię. W przeddzień przybycia do Kowna, wyczerpany z głodu i chłodu, maszerowałem z dwoma oficerami z 71-go pułku, chcąc dotrzeć do jakiejś wsi, by w niej przenocować. Przeszedłszy pół mili może i nie mogąc iść dalej bez narażenia się na śmierć ze zmęczenia, postanowiliśmy spędzić noc w nędznej, opuszczonej chałupie, w której jakoś bardzo szczęśliwie znaleźliśmy drzewo i słomę, a ponieważ miałem jeszcze trochę mąki z Wilna, rozpaliłszy ogień i ugotowaliśmy sobie zupy.

Nazajutrz bardzo rano chcieliśmy ruszyć w drogę, ale w chwili, gdy wychodziliśmy z domu, ujrzeliliśmy wokoło kozaków w liczbie 15-tu, co nam jednak nie przeszkodziło wyjść. Zatrzymaliśmy się na chwilę, by im się przypatrzeć; tamci dali nam znak, byśmy się ku nim zbliżyli, lecz myśmy wrócili do domu i zamknawszy drzwi, otworzyliśmy dwa okna, poczem zaczęliśmy strzelać, kozacy cofnęli się trochę, wtedy wyszliśmy i posławszy im raz jeszcze kule, następnie ruszyliśmy spiesźnie w drogę, a oni za nami.

Wkrótce straciliśmy ich z oczu i weszliśmy na drogę prowadzącą do Kowna. Szliśmy wśród tysięcy maruderów i, jak to zdarzało się często, roz-

dzielili mnie oni od mych towarzyszków. O zmierzchu byłem oddalony o milę od Kowna, nad brzegiem Niemna, który postanowiłem przejść po śniegu.

Na drugiej stronie stało kilka domów, gdzie przyjęto mnie dosyć dobrze i gdzie spędziłem spokojną noc. Nazajutrz zaledwie ruszyłem w drogę, by dojść do Kowna, ujrzałem się otoczonym przez kozaków, którzy wzięli mnie w środek, nic mi złego nie robiąc, poczem ruszyli w tym właśnie kierunku, w którym pragnąłem iść i ja. Byłem jeńcem, a nie mogłem w to uwierzyć.

Po godzinie marszu doszliśmy do jakiejś wsi. Tu odebrali mi broń i pieniądze; zrzuciłem z głowy mój kaszkiet i włożyłem tę oto baranią czapkę. Zauważyłem przytem, że kozacy zajęci byli więcej złotem niż mną, postanowiłem więc skorzystać z pierwszej sposobności, by od nich uciec.

Koło godziny 10-tej ruszyliśmy dalej, spotkawszy na drodze oddział kozaków, eskortujących jeńców, z których kilku było z gwardyi cesarskiej, a do których mnie przyłączono.

Maszerowaliśmy około trzech godzin, przed nocą doszliśmy do wioski, gdzie spędziliśmy noc w jakiejś stodole. Zaledwie umieściliśmy się, usłyszałem, że jakiś jeńiec, którego, nie znałem, zawołał na mnie po imieniu, odpowiedziałem mu:

— Obecny!

Drugi jeńiec odpowiedział to samo. Wtedy, zbliżając się w stronę, z której wyszedł ów głos, spytałem się, kto nazywa się Dussonville:

— Ja!— odpowiedział mój brat.—Wyobraźcie sobie naszą radość, gdyśmy się poznali! Opowiedział

mi, że został raniony w dniu 28 listopada pod Berezyną. Zwierzyłem się z zamiarem ucieczki przed przejściem Niemna, ponieważ jesteśmy na Pomorzu, należącym do Prus.

— Wieśniacy dostarczyli nam kartofli i wody, które podzielono pomiędzy nas; rzuciliśmy się na nie żarłocznie. Na chwilę, by mieć kartofle, o wiele lepiej było być jeńcem, niż zamrzeć z głodu i zimna swobodnym i wolnym na drodze. Co do mnie, to uważałem, że najlepiej byłoby wydostać się z ich szponów. Kto wie, mówiłem, czy nie wyślą nas na Syberję? Pokazałem im, że odkryłem dwie ruszające deski, które łatwo było wyjąć i wyjść przez nie. Przyznano mi słusność, ale dziwne jakieś fatum wisiało nad nami, gdyż w godzinę potem rozkazano nam ruszać w drogę, zmuszając nieposłusznych nahajkami. Brat mój wskutek rany nie mógł się podnieść odrazu, zamierzono się na niego, ale odebrałem przeznaczony mu raz, poczem zamiast wyjść, schowaliśmy się za drzwi stodoły i na szczęście, nikt tego nie zauważył.

Gdy jeńcy i kozacy wyszli, nie śmieliśmy przez długi czas odetchnąć nawet, tembardziej, że trzech kozaków przebiegło konno stodołę, rozglądając się, czy wszyscy wyszli. Po chwili wszedł jakiś wieśniak, ale przeciwnymi wrotami niż te, za którymi staliśmy, i nie zauważywszy nas wcale, zamknął obu. Nakoniec znaleźliśmy się sami.

— Mogła być godzina 6-ta. W godzinę potem chciałem wyjść przez wrota, ale nie mogłem ich otworzyć, trzeba więc było wrócić się do pierwotne-

go projektu i wyjść przez deski. Kazałem poczekać na mnie bratu, a sam ruszyłem na zwiady.

— Na brzegu wsi ujrzałem światło w chacie. Zbliżywszy się do okna, ujrzałem trzech kozaków, liczących pieniądze. W tejże chwili jeden z kozaków wyszedł na podwórze, a ja zaledwie zdążyłem skryć się za drzewo. Kozak, załatwiwszy swe potrzeby, wrócił do chaty, a ja, bojąc się przechodzić pod oknami, by mnie nie dojrzano, skierowałem się na prawo. Zaledwie zrobiłem dziesięć kroków, gdy znów drzwi się otworzyły i kozak z wieśniakiem wyszli z latarnią w ręce. Skryłem się do stodoły, a oni tymczasem weszli tam za mną. Czułem się zgubionym, kozak przywiązał mantelzak do konia, którego obejrzał, poczem wyszli.

Miałem już wychodzić, gdy przyszła mi do głowy myśl, by ukraść konia, mantelzak i lancę kozacką. Dojechawszy do stodoły, pomogłem bratu sięść na konia, poczem ruszyliśmy w drogę. Nad wieczorem dostaliśmy się do jakiejś wioski, w której nocowaliśmy. Razem z nami spało także kilku kozaków. W nocy wysunęliśmy się po cichu z bratem i zabrawszy im jeszcze jednego konia, ruszyliśmy w drogę.

— Jechaliśmy cały dzień, spotykając co chwila kozaków, aleśmy zawsze uciekali od nich, dzisiaj jednak natknęliśmy się na kilku, którzy spostrzegli nas, zwolnili kroku, zatrzymali się i przywitali nas słowami, których znaczenia nie rozumieliśmy wcale, ja tymczasem uderzyłem jednego silnie pałaszem przez głowę. Zdziwieni takim przyjęciem, zaczęli uciekać i wkrótce zniknęli nam z oczu. Zawróciliśmy w bok

i po wielu trudach natrafiliśmy na właściwą drogę, która doprowadziła nas tutaj.

— Teraz—kończył sierżant—musimy odpocząć cokolwiek, by rano wyruszyć dalej.

Każdy z nas ułożył się, jak mógł najwygodniej, a żołnierze z garnizonu kowieńskiego zgodzili się dobrowolnie pilnować nas po kolei przez całą noc.

Spaliśmy blisko godzinę, gdy zbudziło nas głośne pytanie: Kto żyje? Jakaś postać po chwili upadła tuż około nas. Kilku mniej zmęczonych podniosło się zaraz, by mu pomódz. Był to puszkarz z gwardyi cesarskiej, straszliwie poraniony. Ponieważ chciano zmienić mu bieliznę, dałem jedną z mych najlepszych koszul. Sierżant dał mu trochę wódki, a stary strzelec szarpi. Starano mu się ulżyć wszystkimi siłami. Na szczęście, nie miał ran na nogach, tylko na plecach i głowie.

Zbliżyłem się, by spytać go, jak się teraz czuje, gdy tenże, spojrzawszy na mnie, zawołał:

— To ty, sierżanciel!

Dobrześ zrobił, żeś nie chciał zostać z nami wczoraj, gdyż w kwadrans po twojem odejściu napadło na nas 400 kozaków. Schwyciliśmy zaraz za broń, a było nas tylko stu. Widząc, że bronić się będziemy, kozacy zatrzymali się, poczem wysłali oficera, który wzywał nas po francusku do poddania się.

Ale stary strzelec z gwardyi, Michaut, wyszedł z szeregów i odezwał się w te słowa:

— Powiedzno mi, czyś widział kiedy, by Francuz poddał się z bronią w rękę? Zbliźcie się, my was oczekujemy!

Oficer odjechał, a kozacy zaczęli się szykować do ataku, a gdy się cokolwiek zbliżyli, strzeliliśmy razem, zabijając kilku. Tamci, sądząc, że broń nasza nie nabita, rzucili się z krzykiem hurra! Ale przyjęliśmy ich takim ogniem, że blisko połowa została na miejscu. Zaczęli wtedy uciekać, sądząc, że jesteśmy już oswobodzeni od nich, gdy w pięć minut potem powrócili o wiele liczniej. Nie mieliśmy czasu nabić powtórnie broni, nic też dziwnego, że prawie wszyscy zostali zabici lub ranni.

— Udałem zmarłego, a ponieważ leżałem tuż nad rowem, stoczyłem się weń, to też gdy kozacy i chłopci obdzierali trupów i rannych, nie dojrżeli mnie wcale, a gdy się oddalili, ruszyłem w drogę. Nakoniec, przyjaciele moi, udało mi się szczęśliwie z wami spotkać, ale co dalej ze mną będzie, tego nie wiem?

— Poprowadzimy cię—odpowiedziano mu.—Ja ci pożyczę konia—powiedział jeden z braci.

Pomimo ogarniającego mnie snu, szykowałem się już do drogi, dlatego, że będąc bardzo osłabionym, posuwałem się powoli. Jeden z żołnierzy ofiarował się towarzyszyć mi, jeżeli ruszę zaraz, zgodziłem się na to tem chętniej, że był on silnym i nie doznał nędzy, mógł mi więc być pomocnym w razie potrzeby.

Weszliśmy do lasu, który przecinał drogę. Żołnierz chciał nieść mi broń, którą oddałem mu chętnie, gdyż mógł posiłkować się nią lepiej, niż ja. Przeszedłszy dość sporo drogi, podtrzymywany przez towarzysza; koło godziny 4-ej dostaliśmy się do środka lasu. Było to dnia 16-go grudnia.

Przez pół godziny szliśmy jeszcze na chybi-trafi

szczęściem przyświecał księżyc, ale potem zerwał się wichur i śnieg padać zaczął, przeszkadzając nam widzieć drogę.

Cierpiałem strasznie, zwalczając sen i gdyby nie pomoc poczciwego żołnierza, byłbym upadł, zasypiając na wieki. Towarzysz wskazał mi duży budynek, w którym poznałem stację pocztową, z czego zacząłem wnioskować, że uszliśmy trzy mile. W kwadrans potem staliśmy już pod drzwiami. Wszedłszy rzuciłem się zaraz do ognia, opuszczonego przez wojskowych z gwardyi cesarskiej, których było jeszcze kilku, ale którzy szykowali się już do drogi.

Zasnąłem natychmiast, ale w niespełna dziesięć minut zbudził mnie ktoś, chwytając gwałtownie za ramię. Chciałem się otrząsnąć, ale podniesiono mnie gwałtem, wołając: Kozacy! Wstawaj chłopczel! Jeszcze trochę odwagi!

Spostrzegłem jedenastu stojących kozaków, oczekujących tylko odjazdu, by zająć nasze miejsca:

— Chodźmy, trzeba ustąpić i ruszyć do Wirbalen! Mamy tylko milę drogi, ruszajmy!

Ruszyliśmy w sześciu. Było to 16 grudnia, a drugi miesiąc drogi od chwili odjazdu z Moskwy. Wichur był gwałtowny, a mróz trzaskający. Zachwiałem się naraz, pomimo tego, że towarzysz mój podtrzymał mnie. Z trudem postawiono mnie na nogi, lecz spałem ciągle, dopiero gdy potarli mi twarz śniegiem, rozbudziłem się trochę, następnie wiano mi trochę wódki, co dodało mi sił, dwóch wzięło mnie pod ręce i ruszyliśmy w ten sposób o wiele szybciej, niż przedtem. Wchodząc do Wir-

balen, dowiedzieliśmy się że stał tam król Murat ze szczątkami gwardyi cesarskiej.

Pomimo mrozu ruch był znaczny w mieście, dlatego, że żołnierze biegali po mieście, szukając wódki i chleba. Przed drzwiami każdego domu stała warta, a gdy kto zbliżył się, chcąc wejść do środka, odpowiadano, że dom zajęty przez generała lub pułownika, lub że niema wcale miejsca. Inni zaś odpowiadali: szukajcie sobie swego pułku! Zaczynałem już rozpaczać, gdy jakiś chłop powiedział mi, że w ulicy na lewo jest dosyć miejsca. Lecz i tu stała warta i tu czekała nas ta sama odpowiedź. Rzeczywiście przez okna widać było, że ściskali się jak śledzie w beczkach. Jednakże pozostać nie mogliśmy w żaden sposób na ulicach, bo czekała nas tam śmierć z zimna.

Trudno mi wypowiedzieć, jak straszliwie cierpiałem dnia tego od mrozu, a jeszcze bardziej ze smutku, widząc, że odpychany byłem wszędzie, gdziekolwiek się ukazałem i to przez kolegów.

Jeden z grenadyerów odezwał się do mnie, że wszędzie dużo ludzi, ale też dużo złej woli i egoizmu, że nie trzeba zwracać uwagi na wartę, gdyż znajduję się w rozpaczliwym stanie!

Skierowałem się zaraz ku pierwszemu domowi, dając znaki towarzyszowi, by szedł za mną. Stary jakiś niedźwiedź zastąpił mi drogę, mówiąc, że stoi tu pułkownik i że niema miejsca. Odpowiedziałem mu na to, że choćby stał tu sam cesarz, to i tak wejdę. W tejże chwili ujrzałem grenadyera, zajętego przy szywaniem szlif do płaszcza, poznałem w nim Picarta, mego starego przyjaciela, którego nie widziałem od

Wilna, to jest od 9 Grudnia. Odezwałem się zaraz do grenadyera:

— Powiedz pułkownikowi Picart, że sierżant Bourgogne prosi go o miejsce.

— Mylisz się—odpowiedział.

Ale nie słuchając go więcej, dałem znak towarzyszowi i weszliśmy.

Zaledwie Picart mnie poznał, rzucił szlify i zawołał:

— Boże wielki! To mój sierżant, to mój rodak? Jakże to się stało, że idziesz sam jeden? Przecież byłeś w tylnej straży? Nic mu na to nie odpowiedziawszy, rzuciłem się na słomę, wyczerpany bezsennością i osłabieniem, a także rozebrany gorącem, bijącym z dużego pieca. Picart wydobyl z worka butelkę z wódką i dał mi kilka kropli, które ożywiły mnie trochę. Prosiłem go tylko, by mi pozwolił odpocząć. Mogła być godzina 8 rano, gdy zasnąłem, a obudziłem się o 2-iej po południu.

Picart postawił przedemną miskę z zupą ryżową, którą zjadłem z ochotą, spoglądając w lewo i w prawo. W końcu wszystko odżyło w mej pamięci, wszystko, co przytrafło mi się od dwudziestu czterech godzin.

Rozmyślałem jeszcze nad tem wszystkim, gdy Picart zaczął mi opowiadać wszystkie swe przygody od rozstania się ze mną w Wilnie:

— Rozpędziwszy Rosyan, którzy ukazali się na wzgórzach pod Wilnem, wróciliśmy na miejsce, stąd poszliśmy na przedmieście, a dalej na drogę do Kowna, by iść z królem Muratem, który miał opuścić miasto. Szukałem cię wszędzie, lecz nie mogłem

znaleźć. O północy wyruszyliśmy, towarzysząc królowi Muratowi i księciu Eugeniuszowi, przybywszy jednak do stóp góry, nie mogliśmy jej przebyć z powodu znacznej ilości śniegu i wielkiej liczby jaszczaków, leżących na drodze. Gdy zrobiło się widniej, król i książę postanowili iść dalej, omijając górę, ale ja i kilku jeszcze, będąc pieszo, ruszyliśmy drogą. Dobrześmy zrobili, bośmy dostali się wpięrw na trakt, i znaleźli kilka sztuk złota.

W ten sposób opowiadał mi Picart szczegóły swej drogi, aż do chwili, gdy los złączył nas znowu.

Powiedziałem mu, że zawsze spotkanie z nim przynosi mi szczęście, a tym razem czuję się stokroć szczęśliwszym, mogąc powitać w nim pułkownika. Zaczął się śmiać serdecznie, mówiąc, że jest to tylko podstęp wojenny, do którego ucieka się zawsze, ilekroć chce zdobyć sobie wygodne mieszkanie; od wczoraj stał się pułkownikiem i za takiego uznają go wszyscy, tembardziej, że towarzysze oddają mu honory.

Picart zawiadomił mnie, że o 3-ej ma być rewia króla Murata, ale przedtem ogłoszą, gdzie mamy się zejść. Postanowiłem iść na nią, by złączyć się z kolegami. Picart ogolił mi brodę, gdyż nie była ruszaną od pobytu w Moskwie, brzytwą, którąśmy znaleźli w mantelzaku kozaka, zabitego dnia 23 listopada.

O oznaczonej godzinie wyszliśmy, kierując się na naznaczone miejsce, na które spieszyli żołnierze ze wszystkich pułków. Kilku gwardzistów wystroiło się jak w dniu wielkiej parady, to też patrząc na nich,

zdawało się, że wracają raczej z Paryża niż z Moskwy. Na miejscu apelu spotkałem się z tymi, z którymi nocowałem wczoraj, a także z moimi towarzyszami. Grangier odezwał się do mnie:

— Sądzę, że już nas nie porzucisz, pójdziesz teraz z nami, a jak tylko pozwolą na jazdę saniami, już my się o nie postaramy. Czekaliśmy dość długo na króla Murata. Ucieszyłem się bardzo, ujrzawszy sierżanta Humblot, z którym podróżowałem wczoraj, a z którym rozdzieliłem się w czasie burzy. Dowiedziałem się także, że markietanki Marya i matka Gâteaua, szczęśliwie tu przybyły.

Król nie przybył wcale, spisano tylko nazwiska ludzi niezdolnych do dalszej drogi, aby wysłać ich nazajutrz o godzinie 6-ej rano na saniach. Towarzysze moi chcieli się o jakie wystarać, ale nie mogli znaleźć ich nigdzie. Trzeba było poprzestać na tem, że mamy możliwość przespać się wygodnie.

Picart uprzedził mnie, że pragnie pomówić ze mną przed odjazdem, to też gdy pozwolono się tylko rozejść, zbliżył się ku mnie, dając znak i Grangierowi, byśmy szli za nim. Gdy już nikt nie mógł nas usłyszeć, odezwał się:

— Okażecie mi dowód swej przyjaźni, jeżeli przyjmiecie odemnie po kieliszku reńskiego wina!

— Ależ to niemożliwe—zawołałem.

Za całą odpowiedź kazał nam iść za sobą, opowiadając w drodze, że wczoraj znalazł żyda, z którym zawarł znajomość, mówiąc mu, jak to zresztą często czynił, że jest żydem, że matka jego była córką rabina ze Strasburga i że ma na imię Salomon, że pragnie wymienić u niego, jako u swe-

go współwyznawcy, rozmaite niepotrzebne mu graty. Żyd zachwycony nim, jak również i nadzieją zysku, wskazał mu swe mieszkanie, zapewniając, że mu dostarczy doskonałego wina.

Poszliśmy za synagogę, obok której przez niedużym domem zatrzymał się Picart. Obejrzawszy się naokoło, czy kto nie idzie za nami, nosowym głosem zawołał:

— Jakóbie! Jakóbie!

Po chwili ujrzelśmy wyglądającą z jakiejś dziury dużą głowę, w olbrzymiej futrzanej czapie, o olbrzymiej brodzie; był to żyd Jakób. Poznawszy Picarta, odezwał się po niemiecku:

— Ach! to ty, drogi Salomonie, zaraz ci otworzę!

Weszliśmy do izby gorącej, ale brudnej i cuchnącej. Po chwili przybyło jeszcze trzech żydów, których Jakób przedstawił jako swą rodzinę.

Picart, dobrze ich znając, wyciągnął z worka szlify marszałkowskie, paczkę galonów, następnie kilka półmisków srebrnych, pochodzących jeszcze z Moskwy. Żydzi oniemieli. Wtedy Picart kazał przynieść wina i chleba. Wino było doskonałe, chleb gorszy, ale i tak było to więcej, niż można się było spodziewać.

Gdyśmy zajęci byli piciem, żydzi spytali się, ile mają za to zapłacić:

— Ileż dacie?—spytał Picart.

Żyd powiedział cenę bardzo niską w porównaniu z tem, czego żądał Picart, który rzekł:

— Niel Jakóbie, dołożysz jeszcze trochę.

Tym razem Picart, na którego wino wywarło

już swój wpływ, spojrział się na żyda pogardliwym wzrokiem i schwyciwszy go za nos, zaczął przedeźniać nie słowa, ale śpiew rabina w synagodze w dniu sabatu.

Żydzi zaczęli się kołysać, jak Chińczycy i śpiewać. Śpiewy te trwałyby pewno długo, gdyby nie dobijanie się do drzwi. Jakób przez dziurę ujrzał kilkunastu żołnierzy, którzy powiedzieli mu po niemiecku, że dostali tu bilety na mieszkanie u niego i że jeżeli nie otworzy natychmiast, to wywala drzwi. Rozstaliśmy się zaraz z Picartem, obiecując się zobaczyć w Elblągu, do którego rozkazano iść nam.

Na noclegu zjedliśmy zupełnie ryżową, poczem zająłem się nogami i obuwiem, i położyłem się spać.

Nazajutrz, dnia 17-go, o godz. 5-ej miasto było jeszcze puste, ludzie, którzy od dwóch miesięcy nie spali pod dachem, nie spieszyli się wyjść z wygodnego posłania. Dwóch ocalałych doboszów zagrało pobudkę do drogi. Wyszedszy na ulicę, przekonaliśmy się, że mróz znacznie zelżał. Naraz ujrzeliśmy jakieś sanie żydowskie, zaprzężone w dwa konie. Zaproponowaliśmy żydom, by dowieźli nas do Darkehmen, a w razie odmowy z ich strony, postanowiliśmy zabrać im je gwałtem. Wahali się trochę, w końcu zgodzili się z tym warunkiem, że zapłacimy im połowę naprzód, to jest 20 franków. Popelniliśmy wielką nieostrożność, pokazując żydom, że mamy dużo pieniędzy przy sobie. Od tej chwili zaczęli szwargotać między sobą po żydowsku, myślny zaś nie mogli zrozumieć, co między sobą mówią.

Było nas pięciu: Leboude, Grangier, Pierson, Oudiet i ja. Usiedliśmy na saniach, umieściwszy

strzelby w głębi, a worki na wierzchu. Była godzina 6-ta, wszystko już się ruszało, ale bez najmniejszego porządku i organizacyi. Chciano odebrać nam sanie lub zająć na nich miejsce.

Wydostawszy się przecież z trudem z iniastra, żydzi powiedzieli, że pojedą boczną drogą dlatego, że będzie wolną i swobodną, gdy tymczasem główna pełna jest ludzi. Powinniśmy byli spytać się ich: dlaczego, jeżeli droga owa jest tak dobrą, inne sanie nie jadą nią, tylko główną, aleśmy o tem nie myśleli wcale. Po kwadransie drogi zauważyłem, że ta skręca ciągle na lewo, przez co oddalaliśmy się ciągle od armii, że idzie z jednej strony nad brzegiem kanału, a z drugiej nad brzegiem rowu. Chcąc zwrócić na to uwagę towarzyszków, zawolałem:

— Stój!

Grangier spytał się, czego chcę. Zawolałem teraz głośniejszemi głosem:

— Oszukują nas te łotry!

Wtedy Pierson zaczął wołać:

— Stój! stój!

Wtedy żydzi, zeskoczywszy z sani na ziemię, chwycili konie za uzdę, zawrócili sanie i strącili je w rów. Szczęściem, mając nogi za saniami i zauważywszy ich ruchy, wyskoczyłem unikając tym sposobem upadku z wysokości dwudziestu pięciu stóp, jak moi towarzysze, którzy mając ręce i nogi odmrożone, jęczeli teraz przeraźliwie, uraziwszy się w nie. Jęki te zamieniły się w krzyki wściekłości przeciw żydom, którzy podnieśli sanie, nie zdoławszy strącić ich przedtem na dół, i szykowali się do ucieczki z naszymi pakunkami. Ponieważ karabin mój był

na saniach, wyciągnąłem pałasz i ciąłem nim żyda przez głowę, której nie rozplatałem na dwoje dzięki futrzanej czapie. Ciąłem go po raz drugi, a tymczasem przybył mi na pomoc i Pierson, gdy inni nie mając sił podnieść się sami, krzyczeli tylko i klęli żydów. Ten, który otrzymał cios, uciekł, a drugi biegał o łaskę, zwalając winę na towarzysza.

Pierson, wzięwszy lejce, rozkazał zejść mu na dół i pomódz naszym wdrapać się na górę. Gdy już wszyscy wydostali się, Lebaude objawił, że zdobyliśmy i sanie i konie, gdyż łotry chcieli nas zabić i ograbić.

Rozkazaliśmy żydowi wieźć nas dalej w pełnym galopie najkrótszą drogą do armii, ale trzeba było wracać się po to.

Pod miastem żyd chciał doń wstąpić po coś, widocznie miał zamiar wydać nas kozakom, którzy je już zajęli. Zagroziliśmy mu śmiercią, jeżeli zrobi jeszcze jeden krok ku miastu. Zawróciłem więc na lewo na drogę, którą szła armia, a której ostatnie sanie widać było w oddali. W kwadrans dojechaliśmy do nich, spieszenie je omlijając.

Koło godziny 9-ej dojechaliśmy do jakiejś dużej wsi, pełnej już wojska, weszliśmy dla ogrzania się do chaty, zabrawszy z sobą pakunki i żyda, w obawie, by nam z niemi nie uciekł.

Żołnierze powiedzieli nam, że we wsi dostanie śledzi i wódki. Ponieważ towarzysze moi mieli nogi bardziej odmrożone, niż ja, i okazywali mi zawsze wiele współczucia, postanowiłem iść na poszukiwania, prosząc ich tylko, by pamiętali o saniach:

— Bądź spokojny—rzekł Pierson—odpowiadam za nie!

Ruszyłem z żydem, który miał mnie zaprowadzić i rozmówić się.

Zaprowadził mnie do swego współwyznawcy, gdzie dostałem śledzi i wódki. Podczas, gdy się rozgrzewałem, pijąc kieliszek wódki, spostrzegłem, że żyd mój znikł z tym drugim. Widząc, że nie wracają, poszedłem z zapasami do przyjaciół, ale jakież było moje zdziwienie, gdy nie ujrzałem przed chałupą sani. Towarzysze moi grzali się spokojnie, a gdy wszedłem, spytano się zaraz o zapasy, ja zaś o sanie. Spojrzeli na ulicę, sani nie było! Nie powiedziałszy ani słowa, rzuciłem jedzenie na ziemię i z sercem ściśniętem położyłem się spać pod piecem na słomie. W pół godziny zabębiono do drogi, zawiadamiając, że o dwie mile ztąd są sanie dla wszystkich, by można było tegoż dnia dojechać do Gębina.

Przybywszy tam, znaleźliśmy rzeczywiście mnóstwo sani, to też odjechalśmy natychmiast. Chorowałem w czasie drogi, ruch sani wywołał chorobę morską, gdyż miałem ciągle wymioty. Chciałem przejść się trochę, ale obawiałem się zginać od mrozu, który się ciągle zwiększał. Szczęściem towarzysze zauważyli moją chorobę i zatrzymali sanie. Ledwie dojechałem do Gębina. Rozdano nam bilety na mieszkanie; dostaliśmy duży i ciepły pokój i obficie słomy.

Umieściwszy się tam, dopytywać się zaczęliśmy, czy za pieniądze nie dostaniemy pić i jeść. Mieszczanin, wyglądający pocziwie, obiecał się nam postarać o wszystko i rzeczywiście, w godzinę przy-

niósł nam zupe, gęś pieczoną, kartofle, piwo i wódkę. Pożeraliśmy to wszystko oczyma, ale cóż, gęś była tak łykowata, żeśmy jej jeść nie mogli, trzeba było poprzestać na kartoflach.

Ruszyłem z sierżantem Oudiet na miasto, na poszukiwania; los zawiódł nas do domu, w którym Oudiet spotkał znajomego sobie chirurga, dwóch oficerów i trzech żołnierzy. Znajdowali się wszyscy w stanie godnym litości, pętracili prawie wszystkie palce u rąk i nóg. Podczas, gdyśmy rozmawiali z nimi, jakieś indywiduum zaproponowało nam, że ma do odprzedania konia i sanki, które kupiliśmy natychmiast za 80 franków.

Nazajutrz, dnia 18-go, zjadłszy naszą gęś, nie mniej twardą, jak wczoraj, siedliśmy na sanie, by dojechać do Welawy, gdzieśmy zamierzali nocować. Zaledwie jednak wyjechaliśmy za miasto, Pierson, który powoził, najechał nieostrożnie na kamień, wywrócił nas i złamał hołoble. Weszliśmy do domu, p i którym stał się ów wypadek, by prosić wieśniaka, aby je naprawił. Gdyśmy, rozgrzawszy się trochę, wyszli na ulicę, брони nie było. Prusacy ukradli ją nam. Zaczęliśmy wołać i wyklinać, że podłożymy ogień, gdy nam брони nie oddadzą, ale nic nie pomogło, tembardziej, że wieśniak zaklinał się na wszystko, że nic nie widział. Trzeba było jechać bez брони. Na szczęście, spotkaliśmy na drodze furgon z bronią z gwardyi cesarskiej, którą mogliśmy sobie wziąć. O godzinie 3-iej przyjechaliśmy do Welawy.

Przed ratuszem koło dwóch tysięcy żołnierzy oczekiwało na bilety. Jakiś olbrzymi Prusak zbliżył się ku nam, proponując, że za niewielką opłatą prze-

nocuje nas u siebie, że ma dosyć słomy, ciepłą izbę i stajnię dla konia. Zgodziliśmy się chętnie na to. Przybywszy na miejsce, weszliśmy do izby niemożliwie brudnej, ale cieplej, co było główną rzeczą.

Zjawiła się jakaś kobieta na sześć stóp wysoka, przedstawiła się nam jako gospodyni domu, mówiąc, że jeżeli potrzebujemy czego, to przyniesie nam wszystkiego za pieniądze. Tegośmy tylko pragnęli. Dałem jej pięć franków, by dostarczyła nam chleba, mięsa i piwa. Za chwilę przyniosła wszystko. Zjadłszy i upewniwszy się, że koniowi nie brakuje niczego, położyliśmy się spać.

Przed odjazdem daliśmy gospodyni naszej 5 fr. za nocleg, lecz ta powiedziała, że to za mało, daliśmy jej drugie tyle, ale i to było za mało, gdyż domagała się od każdego z nas po pięć franków, a oprócz tego osobno za konia.

Krzyknąłem wtedy ze złością na nią, że nie otrzyma ani grosza więcej. Odpowiedziała mi, dając mi w twarz

— Biedny mały Francuziku, przed sześciu miesiącami, gdyś tędy przechodził, mógłbyś tak mówić, ale dziś zupełnie co innego! Albo dasz mi, co chcę, albo zawołam męża, który sprowadzi na was kozaków!

Odpowiedziałem jej na to, że kpię sobie jak z kozaków, tak i z Prusaków.

— Tak — rzekła — bo nie wiesz, że są bardzo ztąd blisko.

Widząc całą złośliwość tej kobiety, chciałem ją zadusić, ale była o wiele silniejszą odemnie, przewróciła mnie na słomę, chcąc teraz mnie udusić, ale

jeden z towarzyszków kopnął ją silnie i przewrócił. Na to wszedł jej mąż po to tylko, by otrzymać silne uderzenie od swej kochanej połowicy, latającej jak furya, wymyślającej mu w ostatni sposób i krzyżującej, że jeżeli nie sprowadzi natychmiast kozaków, to mu oczy wydrapie. Było nas pięciu, ich tylko dwoje, wyszliśmy więc śpiesznie z domu i zaprzęgli konia, trzeba było jednak zapłacić, co ta wiedźma chciała, gdyż kozacy byli blisko. Przed odjazdem nawymyślałem jeszcze tej dyablicy, że wrócimy niezadługo, a wtedy odda mi z procentem to, co zabrała nam teraz. Skoczyła mi do twarzy, ale odepchnąłem ją karabinem.

Dnia tego spaliśmy w Wystruciu u bardzo zacnych ludzi.

Nazajutrz, dnia 20 go, była niedziela, wyjechaliśmy wcześniej, by dojechać przed nocą do Iłowa, gdzie udaliśmy się zaraz do ratusza i tu bez najmniejszych trudności dano nam bilet na mieszkanie u bardzo zacnych ludzi, u których znaleźliśmy słomę, ogień i wódkę. Następnie daliśmy naszej gospodyni bilety nasze, by przyniosła nam żywności, bo mówiono, że ją za nie wydają.

Ogrzawszy i najadłszy się trochę, poszliśmy zwiedzić pole bitwy, na którem stało mnóstwo wiele mówiących pomników, były to proste krzyże z drzewa, mniej więcej z takimi napisami:

„Tu spoczywa dwudziestu dziewięciu żołnierzy z dzielnego 14-tego batalionu, poległych na polu chwały.“

Już w nocy dojechaliśmy do Heilsbergu. Zaraz też pojechaliśmy po bilety na mieszkanie. Przyjęto

nas dobrze. Dano nam kolację, składającą się z mięsa, kartofli i piwa. Kupiliśmy sobie butelkę wina za 4 franki, wcalego dobrego, jak za tę cenę. Przed spoczynkiem prosiliśmy gospodyni, by obudziła nas o 5-ej rano, bośmy chcieli wyjechać jak najwcześniej.

Nazajutrz, dnia 22 grudnia, wstaliśmy bardzo rano, służący przyniósł nam świece i śniadanie, prosiliśmy go, by zaprzągnął nam konia, a dostanie za to na piwo. Każdy z nas zaczął pochlebiać gospodyni, mówiąc i klepiąc ją po ramionach:

— Dobra kobiecina! piękna kobiecina!

Gdyśmy zjedli i szykowali się już do odjazdu, żegnając się z nią, odezwała się w te słowa:

— Wszystko to piękne, moi panowie, ale przed odjazdem nie zapomnijcie mi zapłacić.

— Jakto zapłacić? Przecież byliśmy tu za biletami?

— Tak—odpowiedziała—ja też nie chcę zapłaty za wczorajsze jedzenie, ale za dzisiejsze, a mia nowicie należy mi się dwa talary (10 franków).

Oznajmiłem jej, że nie zapłacimy wcale, wtedy ta kazała pozamykać drzwi; weszło dwunastu olbrzymich Prusaków z batami w łapach, nie było co robić, trzeba było zapłacić. Inne czasy, inne zwyczaje!

Do Elbląga mieliśmy jeszcze dwanaście mil, a ponieważ nie chcieliśmy męczyć bardzo konia, postanowiliśmy stanąć o trzy mile od miasta.

Na drodze spotykaliśmy mnóstwo sani, jadących także do Elbląga. To dało nam do myślenia, że nie poszliśmy drogą, którą szła armia. Zamiast na Iłowo, powinniśmy byli iść na Friedland.

Po półgodziny drogi natrafiłszy na dom, dość ładnie się przedstawiający.

Gospodarz oznajmił strzelcom, że mają już sarnie do rozporządzenia i że za trzy talary dowiezie ich o trzy mile przed Elblągiem. Ruszyliśmy za nimi, bośmy dobrze nie znali drogi.

Grangier i ja czuliśmy się ciągle niezdrowi i odaliśmy wszystko, cośmy zjedli od wczoraj. Ruszyliśmy jednakże w drogę, spodziewając się natrafić na jaką wieś, gdzieby przyjęli nas gościnniej, gdy naraz przy drodze ujrzelśmy jakiś dom, do którego postanowiliśmy wdrzeć się siłą, gdyby nas nie przyjęto.

Podczas gdy chłop poszedł umieścić konia naszego w stajni, żona jego szepnęła nam pocichu, że wieśniacy są dlatego źli bardzo na Francuzów, że gdy armia w maju przechodziła przez wieś, strzelcy z gwardyi stali w niej przez dwa tygodnie; jeden z nich bardzo piękny począł zalecać się do wójtowej. Jednego dnia wójt schwytał oboje na całowaniu się i zaczął bić żonę. Strzelec zaś rzucił się na niego. Śmiałyśmy się z tego serdecznie.

— To jeszcze nie wszystko—ciągnęła dalej—podobne rzeczy przytrafiły się i innym kobietom we wsi, dlatego to panuje takie oburzenie na Francuzów, takich pięknych chłopców!

Zaledwie skończyła to mówić, gdy jeden ze strzelców rzucił jej się na szyję i ucałował serdecznie.

— Ostrożnie, bo oto mój mąż!

Rzeczywiście wszedł gospodarz, zawiadamiając nas, że koniowi nie brak niczego, ale że jeżeli chce-

my zrobić mu przyjemność, to wyjedziemy przededniem, by nikt nas nie zobaczył.

— Za niewielką opłatą podwozę tych, co nie mają sani — dodał.

Strzelcy zgodzili się chętnie na to.

Na kolację dano nam mleko i kartofle, poczem położyliśmy się spać, mając obok siebie nabitą broń.

Nazajutrz o 4-ej godzinie rano wieśniak obudził nas, przyspieszając drogę. Zapłaciwszy mu i ucałowawszy jego żonę, odjechaliliśmy.

W sąsiedniej wiosce mieszkańcy obrzucili nas kamieniami i śniegiem. W końcu dojechaliliśmy do Elbląga, zatrzymując się w gospodzie na przedmieściu, by się ogrzać, bo mróz zwiększał się ciągle. Napiwszy się kawy, o godzinie 9-ej weszliśmy do miasta razem z innymi wojskowymi armii, przybywającymi innymi drogami.

IV.

Pobył w Elblągu.—Pani Gentil.—I Styczeń 1813 roku.—Picart i Prusacy.—Ojciec Eliot.—Moi świadkowie.

Udaliśmy się, nie tracąc czasu, do ratusza po bilety na mieszkanie, który był już przepelniony wojskowymi, wpośród których znajdowało się wielu strasznie wynędzniałych, bez palców u rąk i nóg, a kilku nawet i bez nosów; wzbudzali oni litość, a jednocześnie i wstręt swym wyglądem. Przyznać muszę, że radcy miasta zrobili wszystko, by przyjść im z pomocą, dając im dobre mieszkania i rozkazując mieć o nich staranie.

W pół godziny dostaliśmy i my bilety dla siebie i konia, w dużej karczmie, albo raczej dystrybucyi, gdzie przyjęto nas bardzo źle. Dano nam zamiast pokoju, długi, nieogrzany korytarz, nie dano jednak słomy. Zwróciliśmy im na to uwagę, odpowiedzieli, że to aż za dobre dla Francuzów i jeżeli się nam to nie podoba, to możemy iść sobie na ulicę. Niezadowoleni podobnem przyjęciem, wyszliśmy z domu, obiecując im, że zanieśmy na nich skargę do magistratu.

Postanowiliśmy postarać się o zmianę biletów. Obciążono mnie tem zadaniem, a towarzysze mieli czekać na mnie w gospodzie.

W ratuszu nie było już dużo ludzi. Zwróciłem się do burmistrza, mówiącego po francusku, opowiadając mu, w jak brutalny sposób przyjęto nas. Pokazałem mu moje odmrożone nogi, jak również i prawą rękę, której środkowy palec ledwie się trzymał. Wtedy on zwrócił się do wydającego bilety o nowe dla nas, ale ten powiedział, że wszyscy razem nie możemy się pomieścić.

— Oto—powiedział—bilet dla czterech i konia, a drugi dla jednego z was, który radzę zachować dla siebie, bo jest to u Francuza, co się ożenił z mieszkanką miasta.

Podziękowawszy mu serdecznie, poszedłem odszukać towarzyszków.

Poszliśmy zaraz odszukać mieszkanie dla czterech i konia. Był to dom rybaka nad brzegiem kanału, gdzie przyjęto nas dobrze. Gdy się już upewniono, że dobrze tu będzie, ofiarowałem wtedy bilet pojedynczy, ale nikt go wziąć nie chciał. Zacho-

wałem go dla siebie, pytając się, czy to daleko ztąd, powiedziano mi, że mam tylko przejść most.

Dom wydał mi się bardzo zachęcającym. Wchodząc, pierwszą osobą, jaką spotkałem, była duża służąca, Niemka, o kwitnących policzkach. Pokazałem jej bilet. Powiedziała mi, że czterech już mieszka tu, ale że pójdzie do gospodyni, która powiedziała mi to samo, pokazując mi ich nawet. Postanowiłem już wrócić do mych towarzyszków, gdy dama, przeczytawszy na bilecie, że jestem podoficerem z gwardyi cesarskiej, odezwała się:

— Wydaję mi się, że musisz pan cierpieć bardzo, nie mogę więc pozwolić na to, byś tak odszedł. Chodź za mną, a dam panu osobny pokój z wygodnym łóżkiem, gdzie nic panu nie przeszkodzi!

Podziękowałem jej za litość nademną, mówiąc, że nic nad słomę i ciepło nie jest mi potrzebnem.

— Będiesz miał pan to wszystko — odpowiedziała, prowadząc mnie do niedużego pokoju czystego i ciepłego, w którym stało łóżko.

Prosiłem, jak o łaskę, o trochę słomy i wody, bym się mógł umyć.

Przyniesiono mi wszystko, o co prosiłem, razem z dużą miską gorącej wody. Ale nie było to jeszcze wszystko, od 16 grudnia nie strzygłem ani głowy, ani brody. Poprosiłem służącego Krystyana, by sprrowadził mi golarza, który ostrzygł mnie, albo raczej obdarł, tłómacząc się tem, że skóra zanadto stwardniała mi od mrozu, mnie się zaś zdaje, że brzytwy jego były bardzo tępe.

Nie umiem wyrazić, jakiej doznawałem rozkoszy, siedząc w kąpieli. Siedziałem w niej widocznie długo, gdyż służąca zajrzała, obawiając się, czy nie stało mi się co złego. Wchodząc spostrzegła, że nie mogę umyć sobie dobrze pleców. Nie pytając się o pozwolenie, przyniosła kawał czerwonej flaneli i zaczęła mnie szorować nią całego. Pozwoliłem na to. Pytała mi się ciągle, czy mi to sprawia przyjemność, odpowiadałem, że tak. W końcu, wymywszy mnie i wytarłszy, wyszła, śmiejąc się głośno i nie dając mi nawet czasu na podziękowanie.

Włożyłem następnie czystą koszulę, szerokie nowe pantaloney i boso poszedłem do przeznaczonego mi pokoju, gdzie padłem zaraz na łóżko. Był już czas na to, bo straszliwie osłabłem i straciłem przytomność. Nie wiem, jak długo trwał ten mój stan, ale gdy się obudziłem, ujrzałem przy sobie gospodynię, służącą i dwóch żołnierzy, po których posłano, sądząc, że to co groźnego. Nic nie było takiego, a zemdlałem wskutek długiej kąpieli, długiej niedoli i zmęczenia.

Pani Gentil—tak się nazywała moja gospodyni—przyniosła mi rosółu i podniósłszy mi głowę, karmiła mnie sama. Pozwoliłem jej robić z sobą, co tylko chciała, gdyż dawno już tak nikt mnie nie pieścił.

Pani Gentil była bardzo ładna, przytem bardzo zgrabna. Oczy miała czarne, cerę białą i świeżą, właściwą pięknym kobietom północy. Lat miała 24. Przypomniałem sobie, że burmistrz mówił, że wyszła za Francuza. Powiedziała mi, że to prawda.

W r. 1807 konwój rannych Francuzów przybył z Gdańska do Elbląga, a ponieważ szpitale były

przepełnione, umieszczano rannych po mieszkaniach.

— Nam — opowiadała — dostał się huzar, ranny w piersi. Razem z matką opiekowałyśmy się nim bardzo.

— Przez wdzięczność za te starania ożenił się z panią?—odezwałem się.

Odpowiedziała mi, śmiejąc się, że tak.

Powiedziałem jej, że zrobiłbym to samo, bo jeszcze tak pięknej kobiety nie widziałem w moim życiu.

Pani Gentil zaśmiała się i zarumieniła na te słowa.

Nazajutrz obudziłem się o godz. 9-ej rano. Przez chwilę nie mogłem zdać sobie sprawy, gdzie się znajduję, ale weszła pani Gentil i służąca, niosąc mi kawę, herbatę i bułki. Jakże dawno nie jadłem tego. Zapomniałem o wszystkim, nawet o towarzyszach, by myśleć o teraźniejszości i p. Gentil.

Pani tymczasem patrzyła się na mnie uważnie, poczem rzekła, że przychodził wczoraj podoficer z gwardyi, dopytując się, czy nie mieszka u niej jakiś podoficer. Wtedy pokazała mu mnie, ale powiedział, że to nie ten.

W tejże samej chwili wszedł Grangier i spojrzawszy się na mnie, zaczął się cofać, mówiąc:

— Przepraszam, ale od wczoraj szukam mego towarzysza i nie mogę go znaleźć. Powinien być tu, gdyż jest ulica i numer, który on dostał.

— Ach, więc to tak!—rzekłem--lecz czy przypadkiem nie mnie szukasz?

Zawiadomił mnie, że o godz. 3-ej nastąpi przegląd resztek wszystkich korpusów z całej gwardyi

i że potrzeba, by wszyscy, kto żyw, stawił się tam, i że idąc wstąpi po mnie. O godzinie 2-iej stawił się po mnie, jak obiecał, w towarzystwie innych, którzy, ujrawszy mnie, zaczęli śmiać się tak serdecznie, że wargi ich, popękane od mrozu, krwawić się zaczęły.

Byłem głęboko zadowolony, mogąc przyjąć ich winem reńskim i ciastkami, których dostarczyła nam pani Gentil. Spytałem się, gdzie podziewa się jej mąż, ponieważ chciałbym wypić z nim razem zdrowie ojczyzny naszej, zdrowie Francyi. Odpowiedziała mi, że jest nieobecny od kilkunastu dni, gdyż pojechał z jej ojcem nad morze Bałtyckie, by wysłać owoce do Petersburga.

Na tej pierwszej rewii było nas niewielu, ale zebrano się na nią chętnie, gdyż od Wierzbołowa, to jest od 17 grudnia, szedł sobie każdy oddzielnie i rozmaitemi drogami.

Odtąd codzień powtarzały się one. Czwartego dnia naszego pobytu w Elblągu dowiedzieliśmy się o śmierci oficera z młodej gwardyi, zmarłego wskutek rozpaczki po tragicznym zgonie rodziny rosyjskiej, którą namówił na drogę, a której końca byłem świadkiem przed przybyciem do Smoleńska.

Dnia 22 grudnia uczułem się znacznie lepiej, obrzmienie mego ciała zniknęło, nogi odmrożone zaczęły mi się goić, również i ręka, wszystko to dzięki staraniom p. Gentil, pielęgnującej mnie, jak dziecko. Mąż jej wrócił już z podróży, ale go nie widział, gdyż był tylko dwa dni w domu, poczem odjechał. Opowiedziała mi, że służył przez trzy lata w 3-im pułku huzarów, ale otrzymawszy ciężką ra-

nę pod Gdańskiem, czyniącą go niezdatnym do dalszej służby, opuścił ją i ożeniwszy się, pozostał tu.

Nazajutrz 30 grudnia odwiedziliśmy z Grangierem Picarta, którego mieszkanie wskazał mi stary grenadyer. Gdyśmy tam przybyli, smutna kobieta jakaś, czarno ubrana, pokazała nam jego pokój na końcu długiego korytarza. Drzwi były uchylone, a Picart przyśpiewywał sobie ulubiony swój kawalek:

Ahl tu t'én souviendras, larira,
Du départ de Boulogne!

Ucieszył się bardzo, ujrawszy nas, poczem opowiedział swe przygody, dodając:

— Słuchaj, druhu, czuję już, że nic nie jestem wart! Ta nieszczęśliwa kampania wyczerpała me siły. Zobaczysz, że przytrafi mi się nieszczęście.

Mówiąc te słowa, nalał trzy kieliszki wódki, byśmy je wypili za nasze zdrowie.

— Musimy spędzić dzień cały razem, zapraszam was na obiad.

Obiad przeszedł nam bardzo wesoło, ale gdyśmy przypomnieli sobie o naszej niedoli, o losie porzuconych kolegów, o tych, co zginęli w czasie odwrotu i o tych, o których nie wiadano, co się z nimi stało, żal ścisnął nam serce i wesołość uleciała.

Nad wieczorem przyszła do nas gospodyni, zapraszając do siebie na kawę. Poszliśmy za nią. Picart na końcu. Przy długim oświetlonym stole siedziało czternaście czarno ubranych kobiet, przed każdą stała filiżanka i leżała fajka, gdyż w tym kraju prawie wszystkie kobiety palą, szczególnieżony ma-

rynarzy. Na stole stały butelki wina reńskiego i wódki gdańskiej.

Rozmowa stawała się coraz bardziej ożywioną, kobiety bowiem paliły i piły, jak huzarzy. Wkrótce nie można było odróżnić słowa, taki wszczął się hałas.

W końcu przecież wyszły, życząc nam wesołego wieczoru. Ponieważ śnieg padał duży i dał silny wichur, postanowiliśmy spędzić noc u Picarta; słomy mu nie brakowało, pokój był ogrzany; było to wszystko, czegośmy potrzebowali.

Rano nazajutrz służąca przyniosła nam kawy. Gospodyni przysłała także, życząc nam dzień dobry i pytając się, czy nam czego nie trzeba. Podziękowaliśmy jej bardzo. Służąca zaczęła opowiadać damie, że armia rosyjska znajduje się o cztery dni drogi od miasta i że żyd jakiś, wracający z Tylży, spotkał kozaków pod samem Iłowem. Ponieważ rozumiałem trochę po niemiecku, usłyszałem odpowiedź pani:

— Mój Boże, a cóż się stanie z tymi dzielnymi młodymi ludźmi?

Wyraziłem dobrej Niemce całą naszą wdzięczność za przejmowanie się jej naszym losem, mówiąc, że teraz, gdy mamy jeść co i pić, kpimy sobie z Rosyan.

Przypomniałem Picartowi, że następny dzień jest dniem Nowego Roku 1813 i że proszę ich na ten dzień do siebie. Ponieważ nie wiedział, gdzie mieszkam, umówiliśmy się, że przyjdę po niego o godz. 11-ej na plac przed pałacem króla Murata, a następnie pojedziemy do mnie. Ale napadało tyle śniegu, że mu-

sieliśmy wziąć sanie. Wróciłem do domu z bólem głowy i dreszczami. Były to skutki uczt.

P. Gentil była niespokojną o mnie. Przepraszałem ją za to, tłumacząc się złą pogodą. Uprzedziłem ją, że nazajutrz będę miał dwóch przyjaciół na obiedzie, obiecała mi zrobić wszystko, co możliwe, byleby tylko zadowolnić mnie. Była dobrą ta pani Gentil!

Resztę dnia spędziłem prawie ciągle śpiąc, przyjmując starania i pociechę mej uroczej gospodyni.

Gdy wieczór nastał, zacząłem się namyślać nad podarkiem dla niej w dniu noworocznym. Postanowiłem sobie nazajutrz rano przejść się między żydami i poszukać czego stosownego.

Nazajutrz 1 Stycznia 1813 roku, dziewiątego dnia pobytu naszego w Elblągu, wstałem o godz. 7-jej rano, by wyjść za sprawunkiem, przedtem jednak przeliczyłem pieniądze. Miałem jeszcze 485 franków, z których 400 w złocie, a resztę w sztukach pięciofrankowych. Wyjeżdżając z Wilna miałem 800 fr., wydałem więc 315 franków. Była to rzecz bardzo możliwa! Mogłem wydać od 20 do 30 franków na podarek dla mej milutkiej gospodyni.

Skierowałem się na plac, na który zaledwie wszedłem, spotkałem dwóch żołnierzy, uginających się pod ciężarem broni i których nęcza straszliwie zjadła. Ujrawszy mnie, zbliżyli się ku mnie i na wielkie moje zdziwienie poznałem w nich ludzi z mego oddziału, a których nie widziałem od Berezyny, Byli tak nieszczęśliwi, że kazałem iść im za sobą do gospody, gdzie dostali odemnie kawy.

Opowiedzieli mi, że 29 listopada rano, przed

przejściem korpusu przez Berezynę, rozkazano im pogrzebać kilkunastu ludzi, zmarłych w wigilię tego dnia. Wypełniwszy ten smutny rozkaz, odjechali, sądząc, że idą śladami armii. Omylili się na nieszczęście i poszli za Polakami, wracającymi do kraju i dopiero w dwa dni przekonali się o tem.

— Blisko już od miesiąca—mówili—idziemy po nieznanym, pustym kraju, ciągle po śniegu, nie wiedząc, gdzie jesteśmy, lub gdzie idziemy. Picniądze nie zdały się nam na nic. Nie byliśmy sami, kilkunastu żołnierzy z różnych oddziałów maszerowało z nami, nie wiedzących także, gdzie idziemy, gdyż Polacy, za którymi szliśmy, znikli, i tylko doprawdy los szczęścia przywiódł nas tutaj i pozwolił was spotkać.

Ze swojej strony wyraziłem im moją radość z ich widoku, gdyż od czterech lat służyliśmy razem.

Naraz jeden z nich odezwał się w te słowa:

— Sierzancie, mam ci coś oddać. Przypomniesz sobie zapewne, że przed odjazdem z Moskwy powierzyłeś mi paczkę, oto ona!

Paczka zawierała płaszcz wojskowy, który kazałem sobie zrobić w Moskwie przez krawca, zawdzięczającego mi życie, i kałamarniczany z pałacu Roztopczyna.

Rok nowy zaczynał się dla mnie dobrze, chciałem, by zaczął się tak samo i dla tego, co oddał mi taką usługę. Dałem mu za to 20 fr., następnie wdziękłem natychmiast na siebie nowy płaszcz.

Włożywszy rękę do kieszeni mego nowego palta, wyciągnąłem z niej szal indyjski, a w kącie znalazłem pudelko, zawierające pięć pierścionków z per-

łami. Był to doskonały dar dla pani Gentil. Najpiękniejszy wybrałem dla niej. Kazawszy żołnierzom, by poczekali tu na godzinę apelu, w czasie którego wrócą do pułku i dostaną bilet na mieszkanie, wróciłem do siebie.

Po drodze kupiłem jeszcze duży placek, który ofiarowałem mej gospodyni razem z pierścionkiem, prosząc, by zachowała go sobie jako pamiątkę, gdyż pochodzi z Moskwy. Spytała mnie się za ile go kupiłem, odpowiedziałem jej na to, że kupiłem go bardzo drogo i teraz nawet za miliony nie poszedłbym szukać podobnego.

O godz. 11 byłem na placu przed pałacem. Było tam mnóstwo żołnierzy, których liczba w ostatnich dniach znacznie się zwiększyła. Przyszli tu, by życzyć sobie nawzajem Nowego Roku, ale strasznie smutno było patrzeć na nich, większość była bez nosów, lub palców u rąk i nóg, kilku łączyło oba te zła w sobie. Rozeszła się pogłoska o zbliżaniu się Rosyan, rozkazano więc być gotowymi do bitwy.

Rewia nie skończyła się jeszcze, gdy uderzył mnie ktoś po ramieniu, śmiejąc się głośno. Był to Picart, który rzucił mi się na szyję, całując i życząc dobrego roku. Z drugiej strony stał Grangier, robiąc to samo i wtykając mi w rękę 30 fr., towarzysze sprzedali sanie i konia za 150 franków, oddawał mi teraz mą część. Zarzucono mnie pytaniami, co do mego nowego płaszcza, następnie poszliśmy do mnie na obiad. Przyszedszy, zastaliśmy dwie jakieś obce damy. Każdy więc z nas miał swoją. Za chwilę siedzieliśmy przy stole bez żadnych ceremonii. Obiad

skończył się późno i tak, jak się zaczął, bardzo wesoło.

Nazajutrz rano przyszedł do mnie Picart, oznajmiając, że w mieście mówią ciągle o zbliżaniu się kozaków. Pewnego dnia, było to 11 stycznia, przyszedł rano, mówiąc, że radzi mi się pożegnać z panią Gentil, bo podobno mamy odjeżdżać.

Grangier przyszedł także, radząc odjechać. Przybył w samą porę na śniadanie do nas, gdyż wina nam nie brakowało.

Mogła być godzina 8-ma rano. Zasiadliśmy zaraz do stołu, a godzina 11-ta jeszcze nas przy nim zastała, gdy naraz Picart zawołał:

— Słuchajcie! zdaje mi się, że to strzał armatni!

Rzeczywiście hałas się zwiększył i wszyscy rzuciliśmy się do broni. Pani Gentil wpadła, wołając:

— Panowie, kozacy!

Picart odpowiedział jej:

— Zatańczą nam oni.

Załatwiłem wszystkie me interesa i w godzinę potem z bronią i pakunkami na plecach, ucałowałem panią Gentil i wypiwszy kieliszek wina, wyszliśmy na ulicę.

Tuż zaraz za domem usłyszałem, że woła mnie ktoś. Była to służąca, dająca mi znak, bym wrócił się. Pani Gentil stała w głębi domu, a ujrzawszy mnie, zawołała:

— Zapomniał pan swego imbryka!

Był to imbryk, który kupiłem sobie w Wilnie od żyda, co mnie otruł. Wróciłem do domu, by raz jeszcze ucałować tę dobrą kobietę, która pielęgno-

wała mnie jak brata i prosić ją, by zachowała imbryk na pamiątkę.

Strzały coraz bardziej zwiększały się, wyszedłem na ulicę, ale tym razem, by już nie wracać więcej.

Na niewielkim moście stał Grangier, oczekując mnie niecierpliwie. Uszedłszy kilka kroków, spotkałszy Picarta, przeklinającego i złorzeczącego, który trzymał pod nogą Prusaka, a wkoło niego stało czterech pruskich weteranów. Oto rzecz tak się miała. Wprost kawiarni stało kilku ludzi i gdy przechodził, obrzucili go kulami ze śniegu. Zatrzymał się, wymyślając im, wtedy wyszedł jakiś człowiek z kawiarni i uderzywszy go kijem bilardowym, zaczął wołać:

— Hurra! kozacy!

Wtedy Picart, odwróciwszy się, rzucił go na ziemię, twarzą w śnieg. Następnie postawił nogi na jego plecach i nabijając karabin, zwrócił się w stronę kawiarni, kpiąc sobie z obecnych tam.

Posłano po policję, wtedy Picart dał do zrozumienia leżącemu, że jeżeli zrobi najmniejszy ruch, to zakłuje go bagnetem. Powiedział to samo i gościom kawiarni. W tem położeniu znalazła ich policja, która bynajmniej nie przeraziła Picarta. Wyglądał w tej chwili na lwa, trzymającego zdobycz swą w szponach i spoglądającego na wszystkich dumnie. Byliśmy już blisko niego, ale nie widział nas.

Policja drżała ze strachu, a kobiety mówiły między sobą:

— Ma rację, gdyż przechodził sobie spokojnie, zaczepiono go.

W końcu jakiś pastor, świadek całego zajścia,

zbliżył się do komisarza i wytłómaczył mu rzecz całą. Wtedy ten powiedział Picartowi, by puścił leżącego na ziemi i że mu oddadzą sprawiedliwość. Wtedy Picart puścił go, mówiąc:

— Podnieś się!

Ten nie kazał sobie powtarzać tego dwa razy.

Gdy wstał, Picart kopnął go porządnie, mówiąc:

— Oto moja kara dla ciebie!

Podczas tego komisarz zbierał jałmużnę w kwocie 25 fr. od tych, którym Picart nawymyślał, jak również i tego, którego rzucił na ziemię. Połowę schował do kieszeni: „to dla króla i na kosztą sądowe”—dodał—a resztę oddał Picartowi; ten z początku nie chciał ich wziąć, ale namyśliwszy się, dał połowę weteranom, a drugą pastorowi, mówiąc:

— Jeżeli spotkasz żonę starego żołnierza, to dasz jej to odemnie.

Zaczęto tłómaczyć sobie różnie tę bezintereso-wność starego żołnierza, a myśmy tymczasem ruszyli w kierunku pałacu, Grangier i ja, czyniąc uwagi nad Prusakami, a Picart przyśpiewując sobie ulubiony swój dwuwiersz:

Ah! tu t'en souviendras, larira,
Du départ de Boulogne!

Na placu wprost pałacu, w którym mieszkał król Murat, stał oddział negrów, należących do króla. Śmieszny doprawdy był widok czarnych tych postaci; na placu, pokrytym śniegiem, stali w kolumnach dywizjami. Saperzy mieli niedźwiedzie białe czapki. Nie wiem, którzy oni wrócili, ale o ile mi się zda-je, to przeszli Wisłę pod Marienwerdrem.

Strzały armatnie prawie ustały. Rosyanie zostali wypędzeni z okolic miasta przez korpusy świeżo przybyłe, nie przyjmujące udziału w kampanii.

Zbiorowisko rozmaitych wozów, należących do różnych korpusów, zatamowało nam drogę z miasta. Znaleźliśmy się tuż przed mieszkaniem Picarta, który zawołał naraz:

— Stać. Towarzysze, muszę pożegnać się z gospodynią moją, muszę wziąć mój płaszcz biały, fajkę i lisią czapkę nieboszczyka, którą mi darowano, a także kilka butelek wina, ukrytego w słomie!

Weszliśmy do domu i nie spotkawszy nikogo, udaliśmy się wprost do pokoju Picarta, który nie tracąc czasu, odkorkował zaraz pięć butelek, dwie wina, a trzy wódki, mówiąc, byśmy je włożyli do worków, następnie zawołał gospodyni, która się natychmiast zjawiała:

— Nie gniewaj się na mnie — zawołał Picart — i pozwól, bym cię na pożegnanie pocałował, gdyż odjeżdżamy!

— Nie wątpię o tem, że jak tylko wyjdziecie za miasto, to Rosyanie zabiorą wasze miejscel! Co za nieszczęście! Ale przed odjazdem dam wam coś jeszcze, gdyż tak odjechać nie możecie.

Wyszła i po chwili przyniosła dwie butelki wina, szynkę i chleb.

Wkrótce strzały armatnie rozległy się bardzo blisko. Kobiety krzyknęły: „Jezus Marya!“ a myśmy wyszli zaraz.

Szedłem naprzód, przedemną szedł jakiś człowiek, który wydał mi się znajomym, zbliżyłem się ku niemu i nie omyliłem się: rzeczywiście był to naj-

starszy żołnierz z pułku nagrodzony krzyżem, a który znikł nam z oczu od 24 grudnia, a mianowicie był to ojciec Elliot, przyjmujący udział w wyprawie do Egiptu. Znajdował się w stanie wzbudzającym litość, obydwie nogi miał odmrożone, obwinięte w baranią skórę, uszy także w nią obwinięte, bo i one były odmrożone, broda i wąsy pokryte lodem. Patrzyłem na niego wzruszony, nie mogąc ani słowa przemówić.

W końcu odezwałem się:

— Ojczye Elliot, co się z wami stało! Zkądże, u dyabła, wracacie? Zdaje się, że strasznie cierpicie?

— Ha! przyjacielu—odezwał się—od dwudziestu lat, jak jestem wojskowym, nie płakałem ani razu, ale dziś płaczę raczej z wściekłości, niż z niedoli, czując, że wpadnę w ręce kozaków, nie broniąc się wcale, ponieważ ledwie żyję z zimna i głodu. Od czterech tygodni maszeruję sam jeden, przebywszy Niemen, w kraju dzikim, pokrytym śniegiem, nie mogąc dojść do armii. Miałem dwóch towarzyszków, jeden umarł przed ośmiu dniami, a drugi wcześniej jeszcze. Przychodzę sam, jak widzisz; oto w taki sposób przybyłem czterysta mil po śniegu, nie odpoczywając nigdzie długo, z nogami i rękami odmrożonemi, a nawet i nosem.

Duże łzy zaczęły się toczyć z oczu starego wojaka.

Picart i Grangier złączyli się z nami; Grangier poznał natychmiast ojca Elliot, gdyż należeli obaj do tego samego pułku. Weszliśmy do jakiegoś domu, gdzie przyjęto nas bardzo serdecznie.

Picart posadził przed ogniem swego starego towarzysza broni, następnie wyciągnawszy z kieszeni butelkę wina nalał kieliszek i podał go ojcu Elliot:

— Napij się tego, stary druhu, to zrobi ci dobrze.

Po raz ostatni pił w Moskwie wino, to też napiwszy się, zapomniał o całej swej nędzy. Żona gospodarza obmyła mu twarz z lodu i brudu.

W kilka chwil potem wrócił Grangier, który poszedł dowiedzieć się, czy już nie ruszają, z wiadomością, że przed domem zatrzymał się wóz z bagażami króla Murata, a na którym można umieścić ojca Elliot.

— Naprzód! — zawołał Picart — i przy pomocy gospodarza, wsadziliśmy ojca na wóz. Picart dał mu butelkę wina i płaszcz biały na plecy.

W chwilę potem zaczęto się posuwać i w pół godziny byliśmy już za Elblągiem. Tegoż dnia przeszliśmy Wisłę po lodzie i po dość długim marszu zatrzymaliśmy się w dużym mieście, gdzie mieliśmy zamieszkać według rozkazu marszałka Mortier.

Pamiętniki te spisałem nie przez dumę lub chęć chwalenia się, chciałem tylko zostawić wspomnienie po tej behaterskiej wyprawie, tak zgubnej dla nas. Sława żołnierzy naszych zwiększa się codzień! Wyypadki przezemnie opowiedziane wydać się mogą niemożliwymi i nieprawdopodobnymi. Wszystko jednak, com tu napisał, jest prawdziwem, nic nie dodałem dla upiększenia lub ubarwienia opowiadania, przeciwnie, wierzę w to, że nie powiedziałem jeszcze wszystkie

go. Jest to rzeczą możliwą, gdyż wierzę zaledwie sam sobie, że działo się to w rzeczywistości, chociaż wspomnienia te pisałem, będąc w więzieniu w roku 1813 i po uwolnieniu mojem w r. 1814, jeszcze pod wrażeniem, jakie wypadki owe wywarły na serce moje i umysł.

Ci, którzy przetrwali tę nieszczęśliwą, ale pełną chwały kampanię, według słów samego cesarza, byli z żelaza, gdy mogli oprzeć się takiej nędzy i niedoli, dali też dowód najwyższej wytrzymałości, jaką człowiek okazać może.

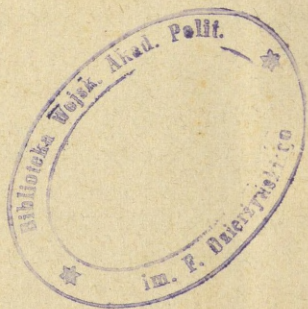
Może zapomniałem czegokolwiek, daty lub imienia jakiej miejscowości, lub ją mylnie podałem, z pewnością jednak nie dodałem nic od siebie.

Bourgogne,

były grenadyer z gwardyi cesarskiej,
Kawaler Legii Honorowej.

K O N I E C.

M. Hebelka





71 662 /
P18 1.